Cena zł. 1.50

NUMER ŚWIĄTECZNY

Dziś 24 strony
(75 ilustracyj)



WIADOMOSCI LITERACKIE

TYGODNIK

Prenumerata kwartalna zł. 9.–
z przesyłką pocztową.
Konto w P.K.O. nr. 8.515
Pocztowe konto
rozrachunkowe nr. 73
Administracja
Warszawa, Królewska 13
W Warszawie prenumeratę
można zgłaszać
telefonicznie nr. 223-04

Nr. 17 (756) Warszawa, Niedziela 17 kwietnia 1938 r. Rok XV

TADEUSZ NALEPIŃSKI (1884—1918)

AVE PATRIA

z teki pośmiertnej

Od autora



ANDRZEJ STRUG i TADEUSZ NALEPIŃSKI

Opowieść niniejsza, poczęta w pierwszych miesiącach wielkiej wojny, przebiegowi jej w Polsce poświęcona, eposem we właściwem tego słowa znaczeniu nie jest — i być nie może. Brakło mi do tego nie tylko perspektywy dziejowej, niezbędnej do epicznego ogarnięcia całości zjawisk, ale także możności **sprawdzenia**, a nieraz nawet **wiadomości** samych faktów. Pisałem bowiem tę książkę, począwszy od grudnia r. 1914, na emigracji włoskiej, dokąd od maja r. 1915 przestały dolatać nawet najdalsze echa z kraju. O walkach legjonowych wieściły zrzadka zabłąkane, przemycane świstki ulotne.

Tem się tłumaczy niewspółmierność opowieści w stosunku do podjętego tematu. Pięć ksiąg opisuje zdarzenia pierwszych tygodni wielkiej wojny w Polsce. Szósta nawiązuje wątek narracji do pamiętnego maja r. 1915 w Rzymie. Intermezzo końcowe zamyka niniejszy tom pierwszy jesienią tegoż roku.

Całość tomu uważać można za rzecz zamkniętą, nie tyle w znaczeniu kompozycji literackiej ile jako etapu duchowego. Względy cenzuralne sprawiają, że dla ogłoszenia drukiem niniejszego utworu szukać muszę gościny na wolnej ziemi amerykańskiej, na szczęście nie obojętnej sprawom, o których tu mowa.

Wojna trwa nadal z udziałem całego świata. Świeżo rewolucja rosyjska dokonała przewrotu w samej ideologji światowego konfliktu. Podminowała ona wszystkie kombinacje polityczne, wniosła zamęt w ostateczne rachuby, wstrzymała wreszcie broń w ręku tych, co legjony do walki z caratem stwarzali. Niepodległość Polski proklamowały nam już w aktach uroczystych wszystkie rządy rozbiorcze, a przyklasnęły temu zasadniczo wszystkie narody i rządy obu półkuli. W rzeczywistości jednak Polski niepodległej dziś, gdy słowa te piszę, jeszcze niema. Naród, nanowo upaństwowiony, boryka się z ogromem niedoli, jaką mu wojna przyniosła, a sam o własnych losach stanowić czynnie nie może. Wierzymy jednak wszyscy, ba — nie tylko wierzymy, ale już wiemy, że państwo polskie wyjdzie z tej wojny jako jej największy tryumf, jako jedyny bodaj wielki, przez nikogo w r. 1914 nie planowany, a jednak przed innemi ziszczony postulat, i zmartwychwstaniem swem zadośćuczyni potrzebie ekspiacji dziejowej.

Decydując się na wydanie pierwszego tomu „Ave Patria!...“ autor czuje, że zarówno formalnie jak rzeczowo, poemat jego jest tylko nikłym fragmentem tej przepotężnej kompozycji, której na imię Rzeczywistość. Nie marzę też ani o tem, aby treść jej duchową „objawiać“, ani o tem, aby przebieg jej zewnętrzny w kronice wierszowanej „uwiekopomniać“. Zamiarem, a może tylko marzeniem mojem było, aby całość poematu sczasem, gdy może uda mi się wojnę aż do końca ogarnąć, posłużyła idei pojednania polskiego, bez którego nie zdołamy żyć samodzielnie, choćby nam to... inni nie tylko umożliwili, ale nawet nakazali!

Ktokolwiek z czytelników, kochających tę ideę, „Ave Patria...“ czytać będzie, wybaczy może tysiączne niedokładności, przeoczenia, międzynarodowe dygresje polityczne, wreszcie szorstkości samej gawędy żołnierskiej. A jeśli po kilku stronicach odczuje, że wiersze te nie tylko z mózgu, ale i z serca ręka na papier przeniosła, jeżeli przejrzy, że opowieść ta nie z „wyobraźni“ powstała i dlatego wolna jest od tendencji, jeśli choć raz wespół z Panem Andrzejem doświadczy bądź bólu zwątpienia, bądź uniesienia radości, jakie naprzemian poema to stwarzały, autor uzna cel wznoszenia dalszej budowy za uświęcony.

Rapperswil, we wrześniu 1917 r.

Fragmenty poematu

Myśli mię, gdym tam chodził, oplatały rzewne.
Lecz znów wszystko, jak we śnie, zdało się niepewne,
mirażem na pustyni, czy grą wyobraźni...
Mówiłem sobie — otom w Polsce najwyraźniej,
w Królestwie: to jest Skała, gubernja kielecka...
A jakiś głos się z wewnątrz śmiał: mów tak do dziecka —
mnie nie zwiedziesz... To sen jest poety o szpadzie...
Księżyc opończę srebrną na oczy ci kładzie
i snuje pajęczynę... Ty siedzisz w teatrze,
a ja — sumienie twoje — razem z tobą patrzę
na opowieść indyjską, która zwie się MAJA...
Bajka cudna, zamorska, zmysły nam upaja,
tęczę barwną rozpina nad twych marzeń szlakiem,
a ty ku tęczy lecisz i myślisz, żeś ptakiem!...
Polaku, ej, Polaku... strzeż się pokpić sprawy —
nie zdobędziesz poezją dziś szańców Warszawy!...
Choć szlachecką fantazja twa i gęsta mina —
lepszy dzisiaj od ciebie Jasiek z Poronina!...
Zgaś rozczulenia łzę na twarzy — i otwarcie
przyznaj, że marny żołnierz co marzy na warcie!...
Twe dawne cnoty grzechem, nowych jeszcze nie masz —
przyjrzyj się, towarzyszu, jak karabin trzymasz?...
Tu się nie gra premjery patrjotycznej sztuki,
tu się nikt nie roztkliwi, gdy was zdziobią kruki!...
Jesteś ty, i bataljon, mizerną jednostką
wielkiej gry mocarstw w kości, jedną małą kostką...
Ale i tą dopiero wtedy się staniecie,
gdy wasz tysiąc zawiśnie w boju na bagnecie!...
A tymczasem, żołnierzu i kochany bracie,
strzeż się snów o wielkości w miesiąca poświacie:
za blisko jeszcze Kraków, daleko Warszawa —
jeszcze cię czeka dola mozolna i krwawa,
trudów nadludzkich pełna i najtwardszej prozy!...
Tak ci mówię życzliwie: liryzm swój w powrozy
skrępuj bez miłosierdzia... Toć trzy pokolenia
żyły puszczyną wieszczów — i z tego natchnienia
męczeńskie nam stygmaty tak przeżarły ciało,
że Gród Polski dziś jedną jest spaloną Skałą!...
...Widzisz, poetyzować i ja umiem... Bowiem
chowaliśmy się razem. Lecz słowa ołowiem
ciężą w mej ładownicy ducha. Tyś Hamletem,
ja ci rozwidniam losy już tylko bagnetem,
a znając waszych czynów i zamiarów czystość,
chcę, by się dokonała w Polsce Rzeczywistość!...
Dlatego prawdę srogą zechciej w pamięć wrazić:
doli gorszej od waszej trudno wyobrazić —
Polacy, legjoniści, na rodzonej ziemi
przeklinani będziecie słowy okrutnemi;
zamkną się przed strzelcami staropolskie progi,
bo was szlachta oskarży o gwałt i pożogi;
chłop się schowa przed wami do lasu z chudobą;
powitają was miasta, jak wroga, żałobą;
w Warszawie każdy rzeźnik, co się zwie Polakiem,
rzuci klątwę na Strzelca, co „poszedł z Prusakiem“;
wyrzeknie się was cały kraj ten — i bez żalu
nad bohaterstwem waszem, stanie przy Moskalu!...
Zaprą się uroczyście was wobec Europy
ci, którym psuć idziecie dzisiaj horoskopy;
zaprą się politycy, pisarze, kobiety,
nazwą was straceńcami ostatniej lawety!...

...Aż wreszcie najstraszliwsze nadejdzie — milczenie...
Wtedy, gdy wy będziecie padać, jak kamienie,
wierząc, że ręka Boża was rzuca na szaniec —
powstanie z tego kraju przeciw wam zaprzaniec,
zbierze legjon opryszków z warszawskiego bruku —
...czy będziesz bił się z nimi — ty, powstańca wnuku?...
Och, w straszliwe proroctwo wizja ma się składa:
za wami będzie zdrada, przed wami — zagłada!...
...Polaku, ej, Polaku! — strzeż się wielkich mrzonek —
Znajdzie cię kula w polu, rannego — postronek.

*

Mam w domu paczkę listów. Nie do mnie pisane,
są mi właśnie jak pieśni te — niewyśpiewane —
z duszy mego narodu, rozwianej po świecie...
Andrzej przyjaźni swoich nie trzymał w sekrecie;
zawierzył mi te listy, objaśnił, od kogo,
i prosił, bym je streścił, jeśli mi pomogą
rozwiązać splot magiczny, rodzaj wężowiska,
w jakie wpadła myśl polska, daleka i bliska.
Rozproszone po kraju i na obcej ziemi,
te myśli jego druhów stały się mojemi;
w każdej z nich odnalazłem własny ból i trwogę,
przemilczę tu privata, publica nie mogę.

Oto pismo Leona, towarzysza broni,
za którym Andrzej dotąd jeszcze sercem goni,
bo kochał go nad innych. List z łoża boleści,
wojaczki i tułaczki zwięzły opis mieści;
czujesz, widzisz przed sobą żołnierską naturę...
Pisany w kwietniu, przeszedł w Wiedniu przez cenzurę,
lecz ta nie tknęła pisma, jakby przez szacunek...
„Jakiś jeden potworny dławi mię frasunek:
a to nas urządzili!... W rozpaczy ekstazę
wpada dusza i krzyczy... W krzyku tym zarazem
jest jakby podziw jakiś, chełpliwość czy pycha,
że los nam na kark „rekord“ monstrualny wpycha
kłopotów nie do wiary... Że złapał nas w kleszcze,
w jakie żaden się naród dotąd nigdy jeszcze
nie wtarabanił bodaj od początku świata!...
Kto tu winien?... Co robić?... Nikt nie wie. Myśl lata
tędy, owędy, gmera, stępiona, osłabła,
niewiadomo nic zgoła... To, owo... Do djabła!“...
Tak pisał lew ułański o swojej niedoli,
sterany trudem, rdzą zjedzony melancholji,
spod Tatr, dokąd zajechał leczyć duszę, ciało:
było jasne, że podle się obojgu działo!...
...Nie uwięziła ognia austrjacka krata...

Inny list, jeszcze śmielszy, był od desperata,
datowany też z kwietnia, z Piotrkowa, przez Zurych.
Przedstawiał losy Sprawy on w barwach ponurych;
prawie każda litera była krzykiem bólu:
„Niemcy są nam wrogami tu na każdem polu,
szykanują legjony, bliskie desperacji,
hamują oświatowy ruch organizacji;
pruska pięść ponad wszystkiem zawisła i czuwa:
gdzie może, wali po łbie, w nowe jarzmo wkuwa.
Bóg nas karze widocznie, żeśmy się skumali
z łotrem!... Finis Poloniae — gdy tak pójdzie dalej!“...

Tu oto list z Warszawy. Przyszedł przez Bałkany,
stemplami moskiewskiemi opieczętowany,
słał go jakiś nieznany przyjaciel Andrzeja.
Dziwna rzecz: taka tchnęła zeń wiara, nadzieja,
że zdał się zaprzeczeniem całej owej biedy,
o jakiej wieści do nas dobiegały wtedy.
Pisał, — jak tylko można było w tych warunkach, —
że zapomniał o wszystkich swych dawnych frasunkach,
rzucił w kąt neurastenję i słabostek futro,
żyje wiarą promienną w nagie, zbawcze jutro!...
A list ów brzmiał wyraźnie, że nie od Moskali
spodziewa się zbawienia. Na katastrof szali
przeważały już wtedy galicyjskie klęski;
rozpoczynał się pochód Teutonów zwycięski —
ujrzała Moskwa przepaść z pytajnikiem na dnie...
...Cieszyłże się warszawiak, że Warszawa padnie?...

Ten zasie znów z Brazylji... Rozpaczą miotany,
że nie może dosięgnąć ziemi obiecanej,
bo mu Anglja zamknęła wolne oceany —
legjonista-antypod pisze, że ich wielu
zawrócono gdy byli już prawie u celu...
I oto w tej godzinie, gdy Ojczyzna wzywa,
gdy w garść chwycili szablę, gdy duch w nich się zrywa,
już nawet nie jak jeńców, lecz zwykłą hołotę,
odwożą ich bezduszni Anglicy z powrotem.
„Przeklęty dzień — tak pisze — gdym odjechał domu
ojców moich i dziadów!... Nie życzę nikomu
przeżywać taką mękę, ducha drzeć na ćwierci,
przez pół być pogrzebanym, próżno wzywać śmierci!“...

Innemu, wnet w początkach wojny, carskie sługi
kazały wraz z rodziną jechać do Kaługi,
stamtąd znalazł się w Moskwie. Słowiańskie ideje
rozbudziły w nim dawne, mistyczne nadzieje;
więc odczyty wygłaszać począł dla Moskali
i głosił ex cathedra, że Rosja ocali
nie tylko Słowiańszczyznę, ale i świat cały!...
Zapomniał, błędny rycerz, o drobnostce małej:
że rok już prawie minął od komedji Księcia,
a Królestwo, choć cichsze chyba od jagnięcia,
potulne i pokorne, ofiarne i biedne,
z wielu głośnych „wolności“ nie ma ani jednej...

Znów inny „przez okazję“ — z Szampanji, lecz zgoła
nie musuje w nim nuta szampańsko-wesoła.
„Oznajmij wszystkim głupcom, coby chcieli w nasze
ślady pójść, że żyjemy tutaj jak apasze...
„Legja Cudzoziemców“... Z łotrami w gromadzie,
kwiat Polaków na obcej ziemi głowy kładzie,
a Francja, obojętna dla biednego daru,
nie pozwala nam nawet mieć swego sztandaru!...
Nie tak było w Paryżu kiedy nas żegnano!...
Przeklinam ową chwilę, stokroć opłakaną,
gdyśmy, porwani dawną „Popiołów“ chimerą,
zaprzedali swe życie i zdrowie blagierom!...
Teraz zapadła klamka. Połowy już niema,
reszta z rydlem bezbarwne przeżywa „poema“,
jak w kopalniach nerczyńskich dziady-męczenniki...
A bas les Boches!... Niech żyją polskie ochotniki!“...

Tadeusz Nalepiński.

Nowy konkurs „Wiadomości Literackich“

MUZEUM PANA GRYPSA

projektował i wykonał **Marjan Eile**

Pan Gryps posiada muzeum prywatne, w którem kolekcjonuje „rzeczy“ nieistniejące, związane ze znanemi postaciami. Jeśli nawet niektóre z posiadanych przez p. Grypsa eksponatów istniały, wydaje się prawie niemożliwe, aby nasz kolekcjoner mógł je posiadać w swoich zbiorach.

Na str. 2 i 3 niniejszego numeru „Wiadomości“ reprodukujemy zdjęcia z muzeum p. Grypsa. Konkurs polega na odgadnięciu jakie to 30 eksponatów posiada p. Gryps w swoich zbiorach. Dla ułatwienia czytelnikom rozwiązania konkursu, zaznaczamy, że zdjęcia są ponumerowane tak samo jak eksponaty w muzeum, a mianowicie według pewnej kolejności przyjętej przez p. Grypsa.

WARUNKI KONKURSU

Odpowiedzi, wraz z podaniem imienia, nazwiska i dokładnego adresu, należy nadsyłać **do dn. 26 kwietnia** b. r. pod adresem wydawnictwa „Wiadomości Literackich“ (Warszawa, Królewska 13) w kopercie z napisem **„Muzeum Grypsa“.** W razie wątpliwości rozstrzyga data stempla pocztowego. Do odpowiedzi **należy dołączyć kupon** zamieszczony w numerze bieżącym „Wiadomości“ na str. 23.

Odpowiedź alternatywna (wskazująca dwie możliwości) uważana będzie za brak odpowiedzi na dane zdjęcie. Sprostowania będą uwzględniane tylko wówczas, o ile będą ponownie zawierały całkowite rozwiązanie konkursu i kupon, oraz będą nadesłane w terminie. Redakcja prosi uczestników konkursu o czytelne podawanie nazwiska także na odwrocie koperty zawierającej odpowiedź.

Rozwiązanie konkursu będzie ogłoszone w numerze z datą 15 maja b. r.

NAGRODY

I nagroda: maszyna do pisania „Corona“, wartość zł. 420.–

II nagroda: przekaz na zł. 150.—, upoważniający do nabycia wydawnictw J. Mortkowicza na tę sumę.

III nagroda: przekaz na zł. 120.—, upoważniający do nabycia wydawnictw R. Wegnera w Poznaniu na tę sumę.

IV nagroda: przekaz na zł. 100.–, upoważniający do nabycia wydawnictw J. Przeworskiego na tę sumę.

V nagroda: przekaz na zł. 100.–, upoważniający do nabycia wydawnictw „Roju“ na tę sumę.

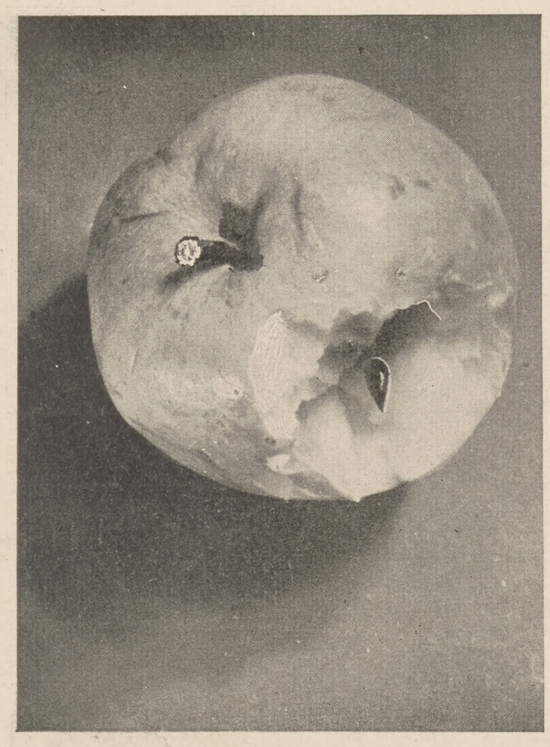
Pozatem 35 nagród książkowych.

W wyniku konkursu Rady Książki, jury, złożone z Augusta Zaleskiego *(przewodniczący),* Aleksandra Guttrego, Bonawentury Lenarta, Jana Parandowskiego, Kazimierza Piekarskiego, Adama Półtawskiego i Melchjora Wańkowicza, *uznało za najlepiej wydaną książkę polską r. 1937*

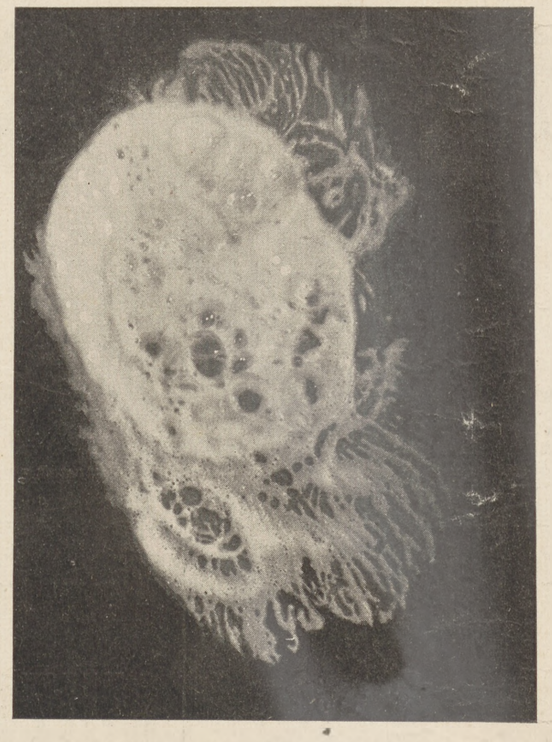
„LISTY FRYDERYKA CHOPINA“

(nakład Jarosława Iwaszkiewicza i „Wiadomości Literackich“, druk Drukarni Narodowej w Krakowie).

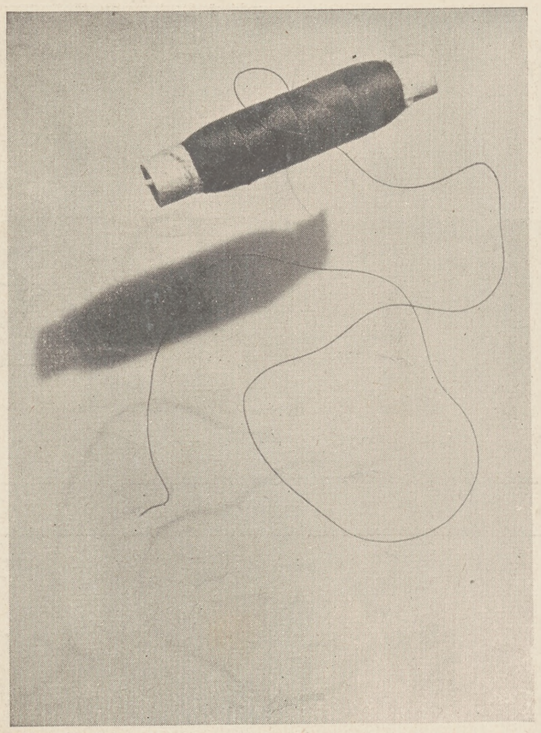
16v



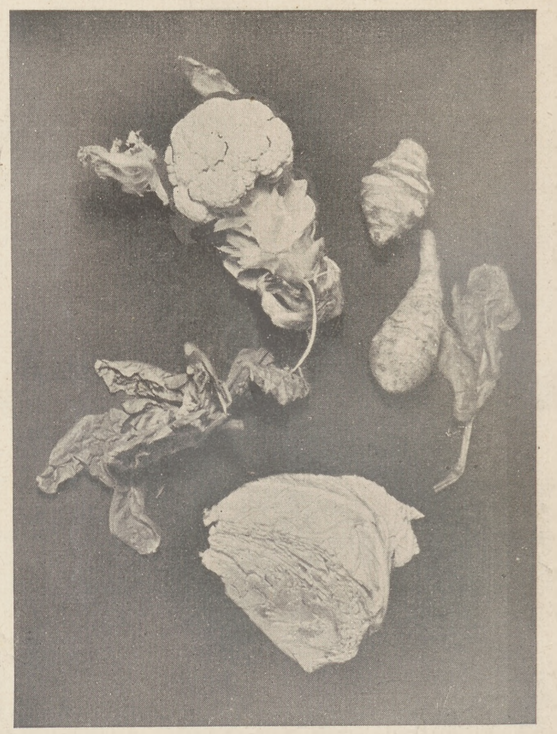
1



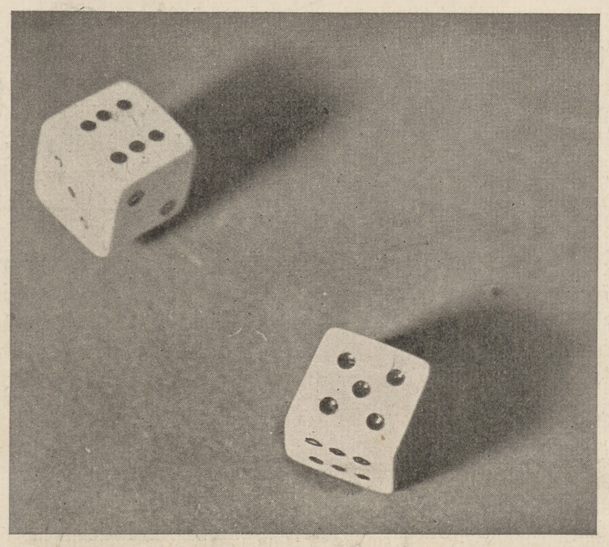
2



3



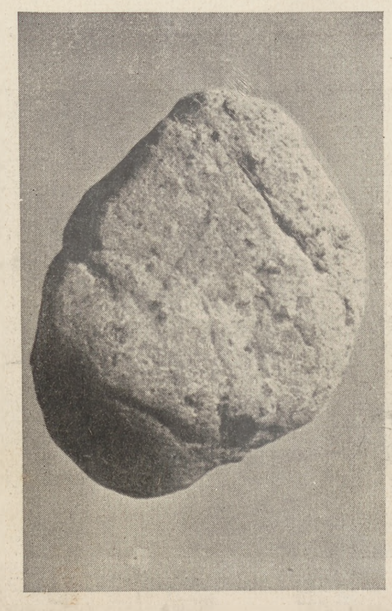
4



5



6



7



8



9



10



11



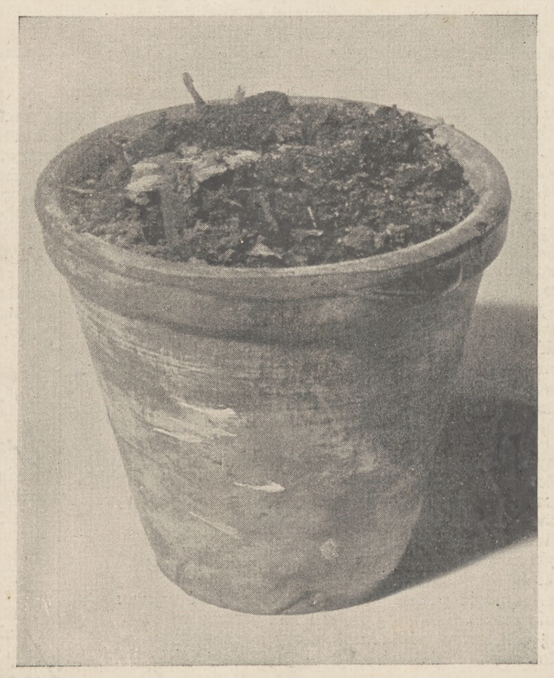
12



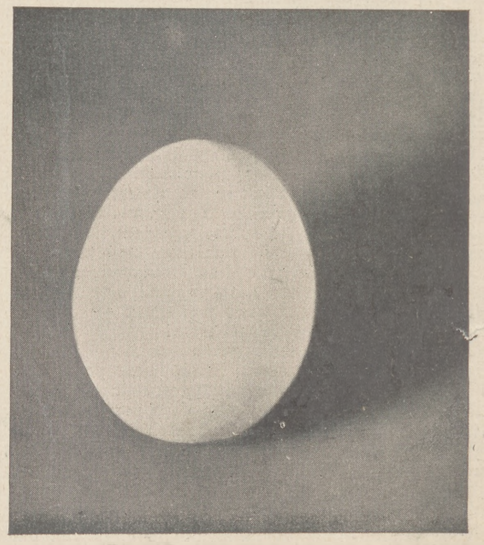
13



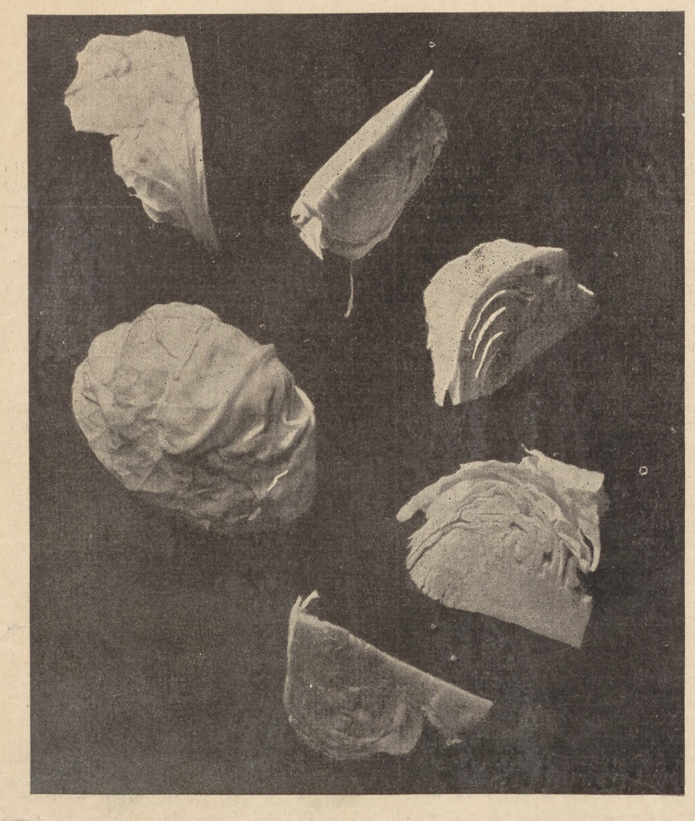
14



15



16



17



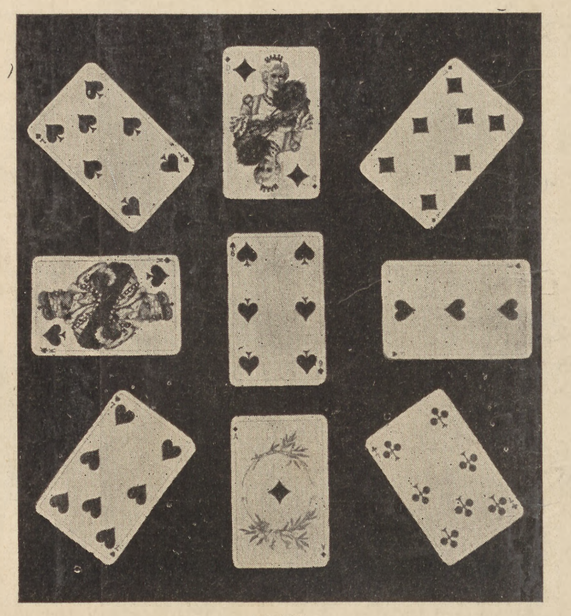
18



19



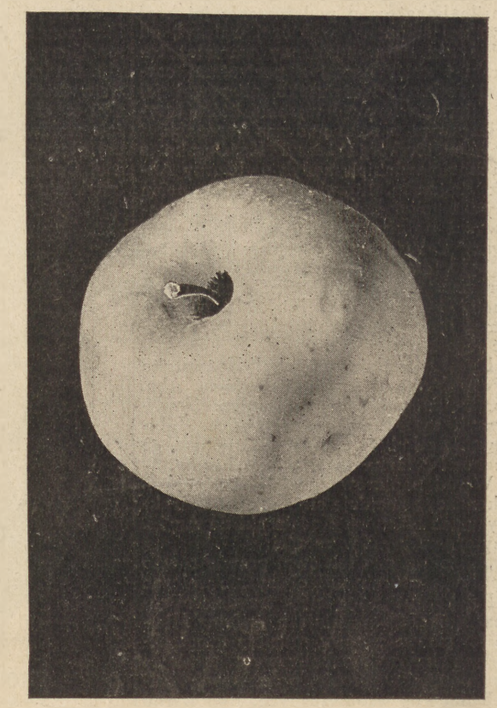
20



21



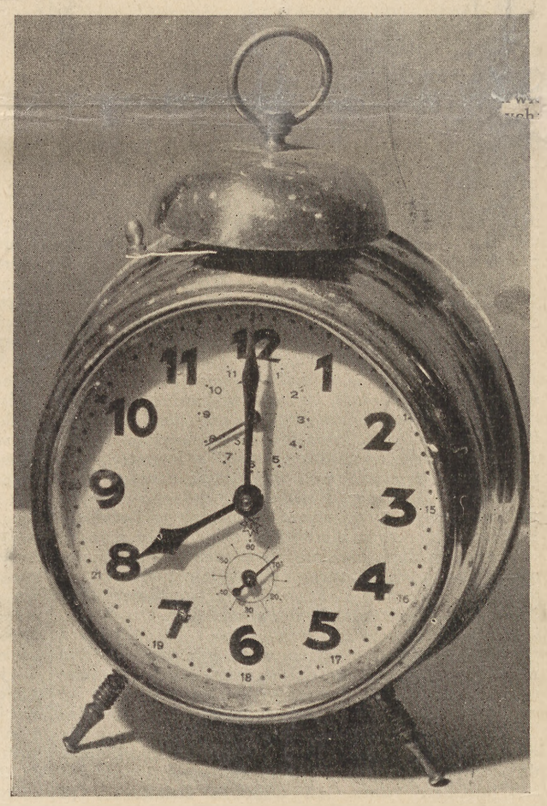
22



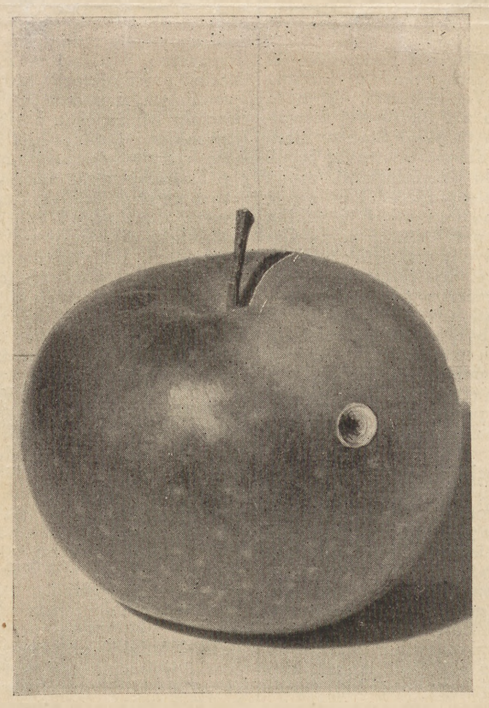
23



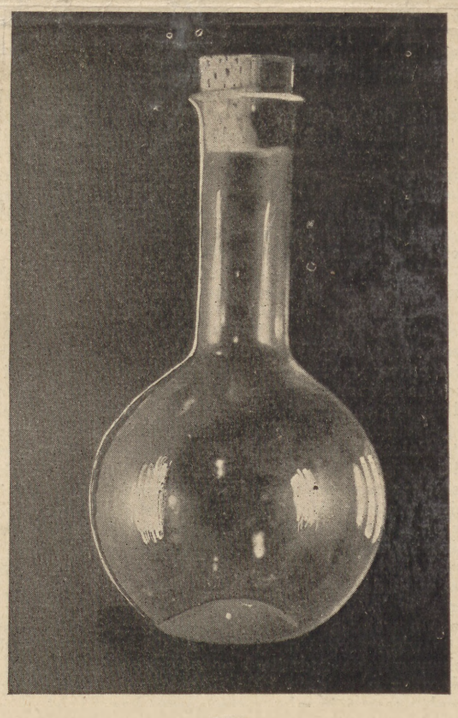
24



25



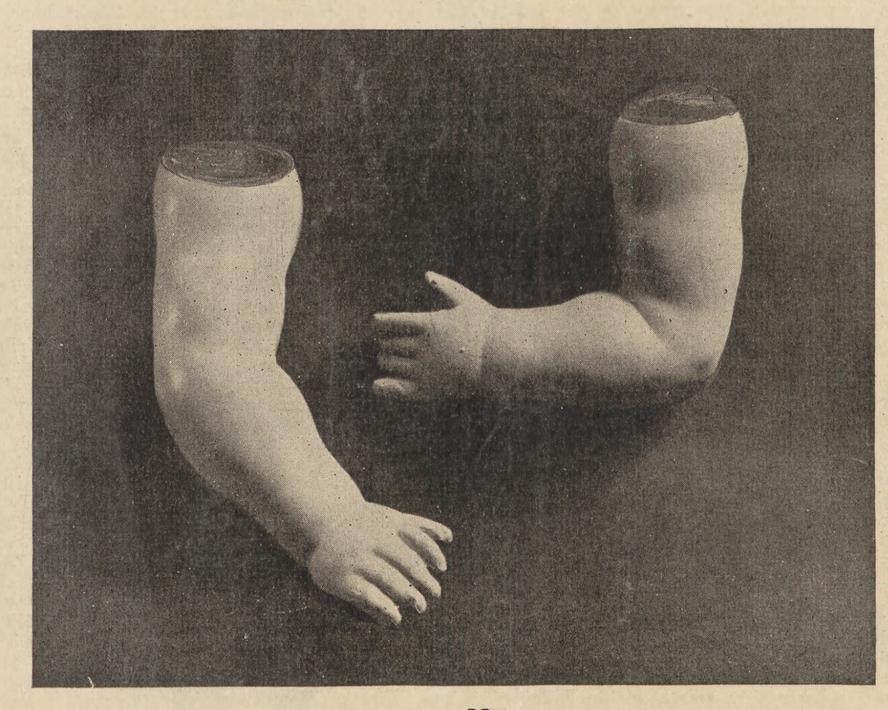
26



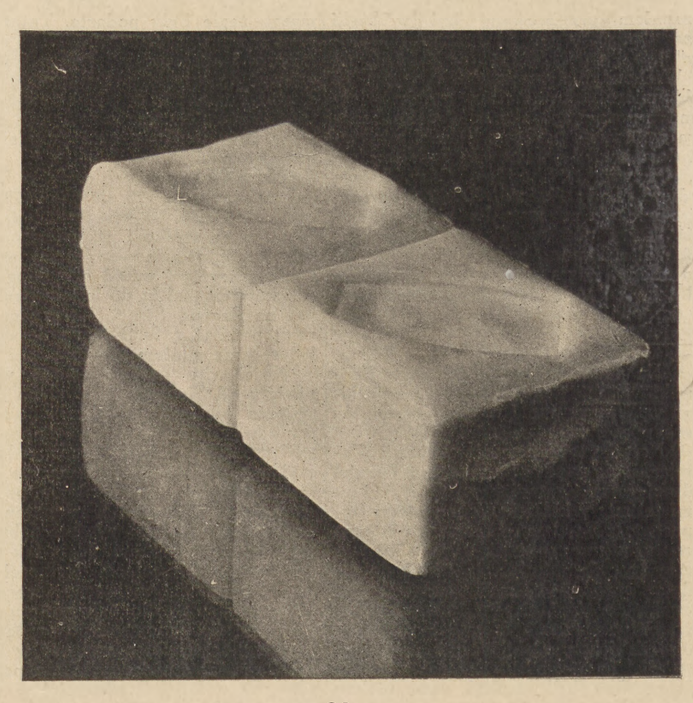
27



28



29



30

WŁODZIMIERZ DZWONKOWSKI

Drugi pobyt Kościuszki w Ameryce[1])

W dziewięć dni po śmierci Katarzyny II, dn. 26 listopada 1796 r., car Paweł z synem Aleksandrem i świtą odwiedził uwięzionego Kościuszkę w pałacu Orłowa i dał mu wolność, ale zmusił do złożenia przysięgi wiernopoddańczej na ręce Wielhorskiego: wypuszczając wodzów i szeregowców insurekcji, musiał zapewnić bezpieczeństwo Rosji. Car dał wodzowi ujarzmionego narodu 1 000 dusz chłopskich w gub. witebskiej, które jednak Kościuszko wymienił na sumę pieniężną 12 000 rb. Pozatem przysłał mu w darze, karetę, przystosowaną do leżenia w niej, futro sobolowe i czapkę, buty futrzane, kuchnię podróżną i bieliznę stołową.

Dn. 18 grudnia miał Kościuszko audjencję u cesarza w Pałacu Zimowym, dokąd przybył w mundurze amerykańskim z białemi wyłogami. Paweł ofiarował mu krzesło na kółkach swojej matki, i na niem wniesiono wodza powstania do pałacowych komnat, służyło mu ono potem w podróży. Cesarz przyjął go bez ceremonjału, w gronie rodziny. Cesarzowa prosiła bohatera o podarowanie jej krakowskiej sukmany, w której walczył, od siebie zaś dała mu cenny warsztat tokarski i zbiór kamej z portretami carskiej rodziny. Kościuszko ofiarował jej tabakierkę własnego wyrobu, którą trzymała potem w ręku podczas koronacji.

W Petersburgu leczył Kościuszkę z ran maciejowickich medyk nadworny Anglik Rogerson, który w liście do posła rosyjskiego w Londynie Woroncowa zachwycał się nim, pisząc: „Jest to najuczciwszy Polak, jakiego znałem... Dobrzeby było (dla niego), płynąc do Ameryki, zatrzymać się przez pewien czas na wyspach Azorskich (St. Michael), których klimat i siarczane wody mogłyby uzdrowić jego nogę".

Dn. 19 grudnia wyjechał Kościuszko z Petersburga do Ameryki drogą na Abo, Stockholm, Göteborg i Londyn. Towarzyszyli mu: Niemcewicz i oficer Libiszewski, młody i mocny, który sam go przenosił z łóżka na sofę i do karety.

Wśród papierów pośmiertnych prof. Askenazego znajduje się notatka, charakteryzująca stosunek Kościuszki do Anglji. Przytaczam ją tu w całości:

„Kościuszko, wiek swój prawie równo w połowie w kraju i na obczyźnie walcząc za Polskę, przez lat zgórą trzydzieści reprezentował ją w obliczu świata. Miejsce jej przynależne w rodzinie uspołecznionych ludów symbolizowała wzniosła jego postać w gronie pokrewnych celnych duchów współczesnych. Byli wśród jego przyjaciół w Ameryce Washington, Jefferson, Monroe, Payne; we Francji Lafayette, Carnot; sprzęgło się w uchwale rewolucyjnego zgromadzenia prawodawczego imię jego i szczytnego Niemca Schillera, składał mu hołd znany Szwajcar Pestalozzi, wybitni Szwedzi, Włosi, Hiszpanie. Szczególnie ukształtował się jego stosunek do Anglji.

„Spotkał się już w szkole kadetów z jej dyrektorem Anglikiem, Johnem Lindem; a za pierwszej zapewne podróży zagranicę poznał kraj i język angielski. Walcząc o wolność Stanów amerykańskich, mocno na jarzmiącą zawziął się Anglję. Chciał wygnać ją całkiem z Nowego Świata; w liście z West Point z r. 1778 naglił o zdobycie Kanady. Lecz ten żal czuł on do ówczesnego rządu, nie do ludu angielskiego. Było wtedy w West Point mnóstwo jeńców Anglików, dla braku żywności prawie morzonych głodem. Kościuszko, choć sam w biedzie, bez wypłaty, „własnym (ich) żywił chlebem". Za wielkiego sejmu, w r. 1791, widział Anglję Pitta Polsce szczerze życzliwą; potem, w r. 1792, obojętnie asystującą pomście rosyjskiej; wreszcie, w r. 1793, sprzymierzającą się z Rosją, ale słyszał także piękny protest Greya i opozycji whigowskiej w izbie gmin przeciw drugiemu podziałowi Polski. Wówczas też, po nieudanej swej misji do rewolucyjnego Paryża, wybierał się do Londynu po pomoc dla przyszłego powstania. Lecz poufnie przestrzegli go whigowie, iż mógłby w Anglji być pochwycony na żądanie Rosji. Mimo to, podnosząc powstanie 1794 r., zakomunikował uroczyście akt powstańczy krakowski rządowi Jerzego III. Przejazdem z niewoli rosyjskiej do Ameryki 1797 r. z zapałem przyjmowany był w Anglji przez wodzów opozycji a nawet lud prosty".[2])

W Londynie zamieszkano w hotelu Sablonnière na Leicester Square. Cały Londyn pośpieszył, aby odwiedzić „bohatera wolności": politycy, literaci, piękności dnia i władcy mody, Fox, Wilberforce, Cartwright, Sheridan, Grey, książę Bedford, Lady Oxford. Księżna Devonshire włożyła mu na palec piękny pierścień, który później ofiarował generałowej White. Landor, wówczas jeszcze bardzo młody, ujrzawszy Naczelnika, zapłonął taką miłością do Polski, że pozostał jej dozgonnie wierny; ukochaniu temu literatura angielska zawdzięcza jedną z najbardziej fantastycznych powieści tego czasu. Po upływie półwiecza Landor wspominał rozmowę z Kościuszką jako najszczęśliwszy moment w swojem życiu. Klub whigów ofiarował bohaterowi szablę honorową, którą widzimy na portrecie Coswaya. Malarz ten zrobił portret ukradkiem, zdaniem Niemcewicza „podobny jak żaden": siedzącego na sofie z obwiązaną głową.

Najważniejszą była sprawa zdrowia Naczelnika. Poseł Woroncow pisał do cara Pawła: „Generał Koszczunskoj (czyżby lichy dowcip: przekręcone nazwisko od „koszczunstwo" — bluźnierstwo), spędziwszy tu około 12 dni, udał się do Bristolu, skąd wyjechał do Ameryki. Nieomieszkałem ofiarować mu swych usług i widząc jego rozpaczliwy stan zdrowia, zwołałem konsyljum z najlepszych lekarzy i anatomów (chirurgów), którzy go gruntownie zbadali i wyjaśnili przyczyny, jakie spowodowały ten stan, odjęły władzę w nogach... Lekarze ci wskazali, jak należy leczyć, aby mógł on tę diagnozę i wskazówki terapeutyczne przedstawić lekarzom w Ameryce. Ani oni, ani ja nie mogliśmy go skłonić, aby pozostał w Anglji. On jednak zarówno do mnie jak i do wszystkich tych, którzy tłumnie ściągali doń z ciekawości oglądania człowieka, tak wsławionego przy obronie upadającej ojczyzny, wyrażał się zawsze o Waszej Cesarskiej Mości jako o swoim wybawicielu i dobroczyńcy, dowodząc, że



THOMAS JEFFERSON

niema na świecie drugiego **monarchy**, który mógłby się równać z cesarzem rosyjskim jeśli chodzi o dobroć, wielkoduszność i sprawiedliwość".

Dn. 7 czerwca przybył Kościuszko do Bristolu, gdzie zamieszkał u konsula amerykańskiego Vanderhorsta, dawnego przyjaciela swego z Południowej Karoliny. Odwiedzał go tu poseł Stanów Zjednoczonych King, dawny towarzysz broni. Miasto ofiarowało Naczelnikowi cenny serwis srebrny, który sprzedał potem w Filadelfji. „Czy pan wyzyskał tę wielką sposobność?" — pytał wtedy poetę Coleridge'a Lamb, słynny essayista angielski.

Odjechał Naczelnik z towarzyszami do Filadelfji dn. 17 czerwca na małym okręcie kupieckim „Adriana". Gdy odjeżdżał, wybrzeża Avonu były usiane tłumami. Od will nadbrzeżnych przypływały łodzie z kwiatami i owocami. Wiele osób odprowadziło odjeżdżających mil kilka na pokładzie okrętu a powróciło łodziami. Europa żegnała pokonanego wodza jak tryumfatora.

Na okręcie jechało sporo kolonistów z Walji i Irlandji, aby osiąść na roli w Stanach Zjednoczonych. Podczas nieustających burz i silnych wiatrów, w każdą niedzielę kapłan-kwakier wygłaszał kazanie prezbiterjańskie. To śpiewanie psalmów, połączone z wyciem wichrów, miało w sobie coś przejmującego. Po drodze spotkano flotę kupiecką: około setki żaglowców płynących z Jamajki do Londynu. Jeden z okrętów „Anna", kierowany przez pijanego sternika, wpadł łokiem na „Adrianę", aż zatrzeszczała. Majtkowie siekierami poprzecinali poplątane żagle i sznury. Stracono wierzchni maszt, żagle były podarte. Toteż statek płynął leniwie. Odżywiano się solonem mięsem i sucharami, i tylko Kościuszko miewał drób świeży. Dotarto do mielizn Nowej Funlandji. Tutaj nałapano do stu sztokfiszów. Marynowane języki sztokfiszów dawano Kościuszce jako szczególny przysmak.

Po dwumiesięcznej podróży „Adriana" zawinęła dn. 18 sierpnia 1797 r. do portu Filadelfji. Na krześle zniesiono Kościuszkę na czółno i przewieziono go na ląd. Rozentuzjazmowany tłum wyprzągł konie z karety i wśród niemilknących okrzyków ciągnął ją do hotelu pani Lovesom na Second Street. Komandor garnizonu powitał z fortu generała-weterana federalnym salutem z dział.

Kościuszko przesłał zaraz wiezione pakiety od Sinclaira z Londynu do prezydenta Adamsa i do Washingtona, którzy odpowiedzieli bohaterowi powitalnemi listami: prezydent Stanów Adams życzył mu, aby znalazł w Ameryce „pocieszenie, spokój i zadowolenie po swych sławnych wysiłkach", Washington zaznaczył, że zabierał się właśnie „aby powitać Pana w tym kraju, gdzie tak pomocny byłeś do ustalenia wolności jego... nikt nie żywi większego szacunku i większej czci dla charakteru Pana, niż ja, i nikt szczerzej nie pragnął podczas trudnej walki o wolność w Ojczyźnie Pana, aby uwieńczyła się powodzeniem. Lecz drogi Opatrzności są niezbadane, i ludzie muszą się przed nią ukorzyć". Zapraszał go do siebie do Mount Vernon, tłumacząc, że sam teraz nie wyjeżdża nigdzie dalej.



TADEUSZ KOŚCIUSZKO
portret Richarda Coswaya (własność Edwarda Natansona)

Z tych uprzejmych zaprosin Kościuszko nie skorzystał. Stosunki miedzy nimi podczas wojny o niepodległość były chłodne, a obecnie różnili się poglądami politycznemi: Washington stał się w tym czasie przedmiotem ostrych zarzutów stronnictwa demokratycznego, które oskarżało go, że chce z elity urzędniczej, kongresowej i oficerskiej stworzyć warstwę uprzywilejowaną, nową arystokrację. Kościuszko zaś sympatyzował nader gorąco ze stronnictwem demokratycznem. Gazety francuskie z r. 1798 głosiły, że Kościuszko nie chciał się widzieć z Washingtonem. Bohater amerykański boleśnie odczuwał odmowę, tem bardziej że Kościuszko odwiedzał swych przyjaciół w promieniu paruset kilometrów, i przy najbliższej okazji dał mu to odczuć.

Gen. Kościuszko nie otrzymał jeszcze skapitalizowanej pensji, wyznaczonej mu w r. 1783 po skończonej wojnie o niepodległość. Wniósł więc podanie do kongresu o załatwienie tej sprawy. Pomagali mu energicznie przyjaciele, m. in. gen. White, zabiegając u posłów. Prosił więc o to samo i Washingtona, który jednak zrażony odmową przybycia Kościuszki do Mount Vernon, odpisał mu że dziś jest już prywatnym obywatelem i, jego wstawiennictwo nie może w żaden sposób przyśpieszyć biegu podania, które będzie załatwione zgodnie z prawodawstwem Stanów.

W Filadelfji przed przybyciem Kościuszki wybuchła groźna epidemja żółtej febry. 36 000 mieszkańców opuściło miasto. Dr. Rush z Filadelfji, przyjaciel z dawnych lat, namawiał Kościuszkę do wyjazdu, a generałowie White i Gates wzywali go na pobyt do swych wiejskich posiadłości naglącemi listami.

Postanowiono więc jechać do Nowego Brunświku, oddalonego od Filadelfji o 105 km, gdzie mieszkał gen. White. Kościuszko wyjechał z Filadelfji z Niemcewiczem i służącym Stanisławem w dn. 30 sierpnia. Nazajutrz dotarł do Nowego Brunświku, miasta kopalń węgla i hut.

Dn. 9 września opuszczono Nowy Brunświk, udając się do Nowego Yorku, liczącego wówczas 30 000 mieszkańców. Willa gen. Gatesa, znajdowała się wówczas w Rose Hill o 5 km za miastem, gdzie dziś róg 2d Avenue i 24th Street. Miała piękny front, ozdobiony korynckiemi kolumnami. Na progu spotkał gości gen. Gates, zwycięzca spod Saratogi, staruszek 75-letni, rzeźki, grzeczny i wesoły. Kościuszkę odwiedzali wszyscy znakomitsi mieszkańcy miasta, z najbogatszą rodziną Livingstone'ów na czele.

Z Nowego Yorku Kościuszko udał się do Elizabethtown, gdzie spędził trzy tygodnie, a potem powrócił do Nowego Brunświku, do gen. White. Podczas swego pięciotygodniowego tutaj pobytu Naczelnik dużo rysował i malował tuszem i akwarelą. Po wyjeździe z Nowego Jorku otrzymał wiadomość, że kongres ofiarował mu 500 akrów ziemi (361 morgów) na lewym brzegu rzeki Scioto w stanie Ohio, tam gdzie dzisiaj wznosi się miasto Columbus (237 000 mieszkańców).

Zwyczajem swego wieku, Kościuszko nawet pod siwym włosem był bardzo czuły dla pań ze swego kółka i wybranki serca otaczał sentymntem, przypominającym platoniczną miłość rycerzy średniowiecza. W domu gen. White takiem uczuciem darzył, jak się zdaje, siostrę generałowej, miss Ellis. Po wyjeździe wystosował dwa identyczne niemal listy: do generałowej i do jej siostry. W liście do generałowej przepraszał ją za kłopoty, sprawione przydługą gościną: przesłał jej przytem parę cennych podarunków.

Sądzę, że to właśnie miss Ellis jest anonimową autorką wspomnień o Kościuszce p. t. „The Fur Coat", umieszczonych w roczniku literackim „The Token and Atlantic Souvenir" (Boston 1833): „Sława poprzedziła jego przyjazd... i tłumy zbiegały się, aby go ujrzeć... Kiedy przybył do małego miasteczka, gdzie mieszkałam, i stanął w domu moich krewnych, ogarnęło mnie uczucie, trudne do opisania. Moja młoda wyobraźnia ubrała tego „apostoła wolności" w kształty... budzące zachwyt, w postawę naszego Washingtona... Kiedy zaprowadzono mnie do jego sofy i zobaczyłam małego i słabego starca, o bladej twarzy, zadartym nosie, małych niebieskich oczach i rzadkich jasnych włosach, nie mogłam uwierzyć, że to jest sławny Kościuszko... Nie mogłam sobie wprost wyobrazić jak ten blady, słaby człowieczek... mógł być dowódcą wojsk i bóstwem swej ojczyzny... Byłam romantyczną dziewczyną, młodą entuzjastką... Znalazłam niski stołeczek przy jego sofie i tam spędzałam codziennie wiele godzin... Lubił mówić o sobie: może czuł, że nikt go nie słuchał gorliwiej... Mój wlepiony w niego wzrok i rozpalona twarz tak dobitnie świadczyły (o tem)... Mogłabym zapełnić (całą) księgę, gdybym spisała to co pamiętam... Słusznej sprawie poświęcił swe życie. Obok odwagi, której nic nie było w stanie nastraszyć, i obok ducha, który ważył się na wszystko, posiadał miękkość i delikatność uczuć iście kobiecą... Śmiały żołnierz... był delikatnym i uczuciowym towarzyszem cnotliwych dam, ozdobą salonów i ulubieńcem domowników... W fortecy West Point, gdzie pułk jego długo był oblegany przez wojska angielskie, podziśdzień prowadzą turystę na miejsce wśród skał, zwane ogrodem Kościuszki. Tam na skalistych wybrzeżach Hudsonu spędzał wolne godziny na hodowaniu kwiatów... Z niesłychanym trudem... znosił tam ziemię w koszach i składał w szczelinach skał... Rankiem i wieczorami... siadał na wystającym cyplu i patrzył na majestatyczną rzekę u swych stóp, a chmury płynęły mu nad głową... Jak miłe jest połączenie wielkości z dobrocią... Upłynęło trzydzieści lat, a ja go widzę... bladego, wychudłego... Widzę jego zranioną głowę, dokoła niej bandaż z czarnej wstążki, zamiast wieńca laurowego... Niegojąca się blizna... była pieczęcią sławy... Jak mam Cię nazwać, Ciebie, który jesteś jeszcze zbyt drogim... jak nazwać, aby przypomnieć minione dni? Nazwę Cię — Kościuszko... Nazwisko to starczy za najwyższy tytuł. Wyryte na wieki w mem sercu, będzie ono jasno błyszczało na tablicach historji"...

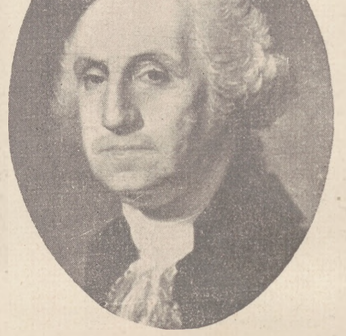
W tym czasie zjechał do Nowego Brunświku prezydent Stanów Adams z żoną. Witał go Niemcewicz, którego przyjął grzecznie, rozpytywał o Kościuszkę i Lafayette'a. Ale Kościuszko unikał z nim spotkania tak samo jak z Washingtonem. Po uczcie, urządzonej przez miasto, prezydent z żoną przybyli wieczorem do gen. White na herbatę. I znów Niemcewicz słówkiem nie wspomina, aby widział się z nim Kościuszko. Była w tym wątłym człowieku anarchiczna, rogata dusza: nie lubił dyktatorów.

Powrócono do Filadelfji i dla oszczędności wzięto niewielkie mieszkanko u pani Relf na 3th Street.

Dn. 22 lutego 1798 r. w rocznicę urodzin Washingtona odbył się obchód w gmachu cyrku, poczem Mały Żółw, wódz plemienia indyjskiego Miansów, odwiedził Kościuszkę i ofiarował mu tomahawk, a Naczelnik dał mu wzamian burkę i okulary. Ucieszył się Indjanin: „Dałeś mi nowe oczy!" — wołał.

W Filadelfji Kościuszko powoli przychodził do zdrowia. Otaczało go grono przyjaciół, znajomych i wielbicieli. Poznał wiele osób nowych, m. in. ks. Orleanu, późniejszego Ludwika Filipa, z braćmi: młodszemu z nich, ks. Beaujolais, ofiarował parę butów futrzanych, otrzymanych od cara. Orleani często przychodzili do Kościuszki, a i on ich odwiedzał. Było modne między pannami, powiada Niemcewicz, odwiedzać Kościuszkę. Niektórych rysował portrety.

Kościuszko, namiętny demokrata, rzucił się teraz do opozycji przeciwko stronnictwu oportunistycznemu Adamsa i Washingtona i przylgnął do przywódcy opo-



GEORGE WASHINGTON

zycji Jeffersona, z którym nawiązał gorącą obopólną przyjaźń. Jefferson był autorem słynnej deklaracji niepodległości z 1776 r., a obecnie wiceprezydentem Stanów.

Sprawę pretensyj Kościuszki podniósł na kongresie członek izby niższej Dawson na posiedzeniu z dn. 22. grudnia 1797 r. Wniosek Dawsona przyjęto, i w kilka dni później sekretarz skarbu złożył sprawozdanie, z którego wynika, że świadectwo, wystawione Kościuszce a zgubione pod Maciejowicami, opiewało na sumę 12 280 dolarów 54 centów z 6% od dn. 1 stycznia 1784 r. Do 1794 r. Kościuszko pobrał procent tylko za jeden rok. Procenty urosły do 5 894 dol. 66 centów i pozostały w skarbie amerykańskim. Sekretarz skarbu wyraził obecnie gotowość natychmiastowego wypłacenia zasadniczej sumy, z procentami, z wyjątkiem procentów za 4 lata przekazanych do Londynu, choć niedoręczonych Kościuszce. Dawson zaś wniósł bill o wypłacenie wszystkich zaległych procentów łącznie z sumą przekazaną do Londynu a niedoręczoną. Bill ten przyjęty został w trzeciem czytaniu przez izbę niższą a następnie odesłany do senatu. Ponieważ izba niższa poprawkę senatu o niepłacenie sumy londyńskiej ponownie odrzuciła, wyłoniono komisję z członków obu izb celem uzgodnienia billu. Komisja ta zgodziła się wkońcu ze stanowiskiem senatu, i w tej formie bill został ostatecznie przyjęty dn. 23 stycznia 1798 r. W sumie Kościuszko otrzymał 18 175 dolarów 20 centów.

W marcu 1798 r. dostarczono Kościuszce paczkę listów z Europy. Była to wiadomość o zorganizowanych już dwóch legjach Dąbrowskiego. Zrobiła ona na nim tak silne wrażenie, że mimo choroby nóg, w której lęk nerwowy odgrywał główną rolę, zeskoczył z otomany na środek pokoju. Silny wstrząs usunął bezwład psychiczny. Inwalida, po trzyletniej zgórą chorobie, został uzdrowiony.

Tymczasem narastał konflikt między Francją a Stanami. Wojna wisiała na włosku. Demokraci z Jeffersonem i Livingstonem sprzyjali Francji. Dyrektorjat francuski zaproponował przez swego konsula w Filadelfji przysłanie komisarzy do Paryża w celu pertraktacyj pokojowych. Wysłano trzech komisarzy, ale nie znających języka francuskiego. Rokowano z Talleyrandem, który domagał się „pieniędzy" (50 000 liwrów francuskich łapówki). Możliwe jest, że przy sposobności swego wyjazdu do legij polskich Kościuszko miał powierzoną tajną misję od rządu Stanów, mającą na celu zainspirowanie zarówno komisarzy amerykańskich jak i rządu francuskiego.

Przyjaźń gorąca, głęboka, na tle wspólnych ideałów, między Kościuszką a Jeffersonem tężała w granit. Dn. 21 lutego 1798 r. pisał Jefferson do gen. Gatesa o Kościuszce: „Jest on najczystszym synem wolności spomiędzy wszystkich, jakich znałem kiedykolwiek, i takiej wolności, która rozciąga się na wszystkich, nie zaś na niektórych i bogatych jedynie"...

Jefferson przygotował Kościuszce paszport do Francji na nazwisko Thomasa Kanberga; bez słowa pożegnania dla Niemcewicza i służącego Stanisława, którym zostawił pieniądze w swoim kredensie, odpłynął Kościuszko dn. 5 maja do Francji.

Przed samym odjazdem zostawił Jeffersonowi pełnomocnictwo w sprawach finansowych i sporządził dn. 5 maja 1798 r. testament, w którym na sześćdziesiąt kilka lat przed wojną domową przewidział wyzwolenie murzynów:... „oświadczam i stanowię, że gdybym nie miał inaczej rozrządzić w testamencie własnością moją w Stanach Zjednoczonych, upoważniam niniejszem swego przyjaciela Thomasa Jeffersona, ażeby całkowicie jej użył na wykup murzynów... i na obdarzenie ich wolnością w mojem imieniu, na udzielanie im nauki rzemiosł lub innej, na wdrażanie ich w obowiązki moralności... w obowiązki obywatelskie... i na ich wychowanie w tem wszystkiem, co ich może uszczęśliwić i uczynić pożytecznymi. Mianuję... Thomasa Jeffersona egzekutorem niniejszego testamentu"

Dn. 1 czerwca 1798 r. przez jadącego do Francji głośnego publicystę Volneya przysłał Jefferson Kościuszce list: „Odjazd p. Volneya do Francji nastręcza mi sposobność napisania do Pana. Byłem szczęśliwy, widząc, że po wyjeździe Pana wiatry nasze były dla Pana pomyślne (mowa, zdaje się, o fluktach politycznych)... Odjazd Pana dotychczas nikomu nie jest wiadomy, nikt go się nie domyśla (pomimo, że minął prawie miesiąc od wyjazdu). Niemcewicz był bardzo dotknięty... Futro o delikatnem włosiu... zabrałem do swego pokoju (mowa o szubie sobolowej, carskim darze ofiarowanym przez Kościuszkę Jeffersonowi)... Pierwsza dywidenda dla Pana będzie... w styczniu... ale ponieważ komunikacje zimowe są niebezpieczne, wysłaną zostanie dopiero w kwietniu, a potem już będzie przesyłana regularnie co pół roku. To się będzie robiło przez p. Barnesa (bank amerykański w George Town w Kolumbji). Moja najgorętsza przyjaźń dla Pana nie odmieni się nigdy. Zasady i skłonności Pana są takie, że należy je czcić, szanować i kochać. Wierne jednemu celowi, — wolności i uszczęśliwieniu człowieka, — nie frymaczyły one ze znanymi nam odmieńcami i apostatami (aluzja do Adamsa i Washingtona). Niech Panu służy zawsze zdrowie i szczęście".

Aktem z dn. 10 termidora r. X (29 lipca 1802 r.), Kościuszko sprzedał swą posiadłość w Stanach nad rzeką Scioto, w pięciu parcelach stuakrowych pani L. F. Felix, za cenę 9 000 liwrów francuskich.

Dn. 26 lutego 1810 r. pisał Jefferson do Kościuszki z Monticello: „Drogi Generale i Przyjacielu! Rzadko pisywałem do Ciebie i to wtedy tylko, kiedym miał pewną okazję, unikając wszelkich kwestyj politycznych z obawy że wiadomości pochodzące od człowieka, który niegdyś takie zajmował stanowisko, mogłyby być poczytane za szkodliwe krajowi naszemu, albo też mogłyby obudzić zawiść przeciwko Tobie. Listy zatem moje z konieczności były suche. Dziś wycofałem się ze spraw politycznych".

Kapitały Kościuszki ulokowane były w Banku Pensylwanji oraz w pożyczce państwowej. Dn. 31 grudnia 1816 r. Jefferson przy świadku Randolphie zeznał następujący akt urzędowy: „Czynię wiadome wszem wobec i każdemu zosobna, że ja Thomas Jefferson z Monticello, powiat Albemarle, stan Virginia, niniejszem ustanawiam i mianuję Johna Barnesa z Georgetown w Columbii moim istotnym i prawnym zastępcą, aby dla mnie i w mojem imieniu przeniósł na nazwisko Tadeusza Kościuszki, b. generała w służbie Stanów Zjednoczonych, obecnie zamieszkałego w Szwajcarji, wszystkie akcje Stanów Zjednoczonych, zapisane na moje conto w księgach skarbu Stanów Zjednoczonych, jak również wszystkie moje udziały w Banku Columbia. W dowód czego przyłożyłem moją pieczęć i własnoręcznie się podpisałem. 31. XII. 1816 r. Thomas Jefferson".

Ponieważ fundusze Kościuszki figurowały pod jego nazwiskiem a Jefferson jedynie zarządzał niemi, zapis więc znacznego kapitału pieniężnego Jeffersona na rzecz Kościuszki był odpowiednikiem jego zapisu na rzecz publiczną z dn. 5 maja 1798 r., gdzie na wykonawcę legatu został wyznaczony Jefferson.

Zapis Jeffersona świadczy, że ten wielki mąż stanu, chluba Ameryki, uważał Kościuszkę za najbliższego sobie duchowo i najbardziej mu ufał, co znów wskazuje na wysoki diapazon duchowy wodza naszego i umiejętność oddziaływania jego na otoczenie.

Kościuszko umarł wcześniej od swego przyjaciela, bo dn. 15 października 1817 r. i tem samem zapis Jeffersona stracił rację bytu. Jak widać z listu Kościuszki z Solury do Zeltnera, posiadał on w tym czasie w Ameryce około 100 000 franków, czyli 20 000 dolarów. W ostatnim testamencie swoim z dn. 10 października 1817 r. o sumach amerykańskich nie wspomniał i wcale niemi nie rozporządził. Pozostał więc w mocy jego legat na rzecz murzynów w Ameryce, których nędzę opisał Niemcewicz, dodając że „kondycja chłopów polskich nierównie jest szczęśliwsza". Jefferson, będąc już starym, dn. 12 maja 1819 r. zalegalizował testament Kościuszki w sądzie okręgowym powiatu Albemarle, przyczem oświadczył, że nie może się już podjąć wykonania go. Sam umarł dopiero w siedem lat potem. W r. 1826 założono w Newark szkołę dla dzieci murzyńskich pod nazwą „Kościuszko-School", ale spadek amerykański pozostał otwarty.

Włodzimierz Dzwonkowski.

---

[1]) Na podstawie odpisów listów Kościuszki, Washingtona, Jeffersona z archiwum w Waszyngtonie w tekach prof. Askenazego.

[2]) Notatka ta kończy się słowami: „Zaprzyjaźnił się wtedy w Londynie z Foxem, Wilberforcem, Cartwrightem, Greyem i innymi tej miary ludźmi. Wobec ugody Bonapartego z Pawłem, o krajowem marząc powstaniu, przeznaczał już w r. 1800 wysłańca tajnych związków polskich do równie zagrożonej tamtym zwrotem Anglji. Po pokoju w Amiens w r. 1803, przyjmując u siebie w Paryżu Foxa i innych gości angielskich, pogłębił serdeczne z opinją angielską stosunki; wówczas to (1804) Tomasz Campbell napisał swój piękny wiersz o Kościuszce"...

Wypielęgnowana cera

podnosi naturalny urok Pani. Wdzięk — to powodzenie. Dlatego też należy chronić cerę przed szkodliwym wpływem kurzu, dymu, gorąca czy też chłodu. Three Flowers Vanishing Cream jest idealnym kremem chroniącym cerę, pokrywa on skórę i utrzymuje jej elastyczność. Stanowi on ponadto doskonały podkład pod puder Three Flowers. Pośród licznych, budzących zachwyt, odcieni tego znakomitego, delikatnego jak pyłek kwiatów, pudru znajdzie każda z Pań ton, harmonizujący z kolorem Jej oczu i cery, odpowiedni na każdą porę dnia i do każdej toalety. Dobrze wybiera kto wybiera najwyższy gatunek, a więc Hudnut!





HUDNUT
PARIS — NEW YORK
Three Flowers
Puder Krem

który choć niełatwy do określenia, niemniej jest z pewnością głęboki i zbawienny.

O BOVARYZMIE

Dzieła literatury, powstające z natchnienia wyobraźni, wywołują inny skutek, łatwiejszy do rozpoznania; dzięki pewnemu rodzajowi sugestji zmieniają charaktery tych, którzy je czytają. Filozof francuski Gaultier powiedział, że jedną z zasadniczych właściwości istoty ludzkiej jest „moc dana człowiekowi, aby widział siebie innym aniżeli jest". Moc tę nazywa „bovaryzmem", od bohaterki powieści Flauberta, pani Bovary. Do pewnego stopnia wszyscy mężczyźni i kobiety żyją pod fałszywemi nazwiskami, przebierają się za kogoś innego, świadomie lub nieświadomie przybierają cechy zapożyczone. Taka „persona", jak to nazywa Jung, kształtuje się w dużej mierze pod wpływem naśladownictwa. Czasem jest to naśladowanie żyjących istot ludzkich, czasem powieściowych lub historycznych osobistości; czasami osób cnotliwych i społecznie pożądanych; a czasami kryminalistów i awanturników. Może to być, jak w znaczącem określeniu Tomasza a Kempis, naśladowanie Chrystusa; albo też może to być naśladowanie bohaterek powieści ze świata arystokratycznego; naśladowanie Juljusza Cezara lub Buddy; Mussoliniego lub Werthera; Stawrogina lub św. Teresy z Lisieux, albo też bandytów z kryminalnych powieści groszowych. Ludzie bovaryzowali się na podobieństwo wszelkich możliwych postaci, rzeczywistych lub urojonych. Czasem naśladowca wybiera model podobny do siebie samego; ale zdarza się również że wybierze kogoś wręcz odmiennego. T. zw. przez Gaultiera kąt bovaryczny może mieć 180°. Innemi słowy, osobowości rzeczywista i przybrana mogą mieć dokładnie sprzeczne skłonności. Przypuszczam, że większość nas przechodzi przez życie z kątem bovarycznym wahającym się między 45° a 90°.

Nauczyciele zawsze starali się wyzyskiwać bovaryczne skłonności swych uczniów, toteż historyczny i literacki wzór do naśladowania odgrywał od niepamiętnych czasów wielką rolę we wszelkiem wychowaniu. Ale jak inni propagandyści, tak i wychowawcy wciąż nie mogą przewidzieć, w jaki sposób uczniowie odpowiedzą na propagandę moralną. Czasami reakcja jest pozytywna, czasami znów negatywna. Nie dosyć jeszcze wiemy, aby móc we wszelkich okolicznościach powiedzieć która z nich nastąpi. Wpływ książek jest z pewnością bardzo duży; ale nikt — a już najmniej ci, co je piszą — nie może powiedzieć zgóry, na kogo wpłyną, w jaki sposób, lub na jak długo. Krańcową formą bovaryzmu jest paranoia. W tym przypadku dany osobnik gra swą rolę z takiem przejęciem, że zaczyna wkońcu wierzyć, iż naprawdę jest postacią, którą odtwarza. Wpływ książek na paranoików musi być bardzo znaczny. Ludzie cierpiący na manję prześladowczą wyobrażają sobie często, że są ofiarami szatańskiego tajnego stowarzyszenia, które utożsamiają z jakąś istniejącą organizacją, np. z masonami lub jezuitami, o których czytali w książkach historycznych albo może w powieściach. W przypadkach ambicji paranoicznej książki z pewnością służą do skanalizowania szaleństwa pacjenta. Megalomani wierzą, że są osobistościami boskiemi lub królewskiemi, albo że są potomkami wielkich postaci historycznych, o których słyszeć mogli tylko z książek. Mamy tu materjał do ciekawego studjum lekarsko-literackiego.

Mimochodem zauważę, że wielu autorów posiada charakter zlekka paranoiczny. Książki mają powodzenie, bo dostarczają surogatu zaspokojenia jakiegoś ogólnego życzenia. Często pisane są także poto, aby zaspokoić ukryte pragnienia autora, aby urzeczywistnić, bodaj w słowach, jego bovarystyczne marzenia. Proszę zajrzeć do katalogu bibljotecznego, a okaże się, że więcej książek napisano o Napoleonie niż na jakikolwiek inny temat. Fakt ten rzuca dziwne i raczej przerażające światło na umysłowość nowoczesnych pisarzy i czytelników europejskich. Jakże mamy pozbyć się wojen, skoro ludzie znajdują wciąż najwyższe bovarystyczne zadowolenie w dziejach życia najjaskrawszego militarysty, jakiego ziemia dźwigała?

Linja rozwojowa historji psychologicznej jest falista; zdarza się przeto, iż wzory literackie najczęściej w jakimś okresie naśladowane tracą swą popularność u następnego pokolenia. Tak np., jakiż Anglik czy Francuz z początku XVIII w. pragnąłby naśladować owych potworów honorowości, którzy występują w pieśniach i sztukach późnego w. XVI i wczesnego XVII? A komuż w tym samym czasie śniłoby się odgrywanie sentymentalnych postaci, tak popularnych w okresie mniejwięcej po r. 1760. W większości przypadków czytelnicy wybierają rolę najłatwiejszą. Jest oczywiste, że rola świętego należy do niezmiernie trudnych. Dlatego też Nowy Testament, choć czytany w Europie przez większą liczbę ludzi i w ciągu dłuższego okresu czasu niż jakakolwiek inna książka, znalazł stosunkowo niewielu udanych naśladowców swej głównej postaci. Ludzie zawsze woleli grać role, pozwalające im nasycić swe apetyty lub chęć władzy. Jak w czasach Paola i Franceski, ulubionymi bohaterami są wciąż jeszcze postaci takie jak Lancelot — wielcy wojownicy i wielcy kochankowie.

Raz dla zabawy czytaliśmy boje,
Gdzie wpadł Lancelot w miłosne
więzienie;
Byliśmy sami, bezpieczni oboje.

Czasem nad księgą zbiegło się
spojrzenie
I zdejmowało z lic barwy rumiane —
Ale nas zmogło jedno okamgnienie.

Kiedyśmy doszli, gdzie usta kochane
Rycerz całował w nieowładnej chęci,
On, z którym nigdy już się nie
rozstanę,

Drżący do ust mych przylgnął bez
pamięci [2]).

Dante dostarcza doskonałego przykładu erotycznego bovaryzmu w pełni działania.

Niektóre postaci powieściowe działają na wyobraźnię poprzez długie nawet okresy czasu i pomimo znacznych wahań w zwyczajach myślowych i uczuciowych. Juljan Sorel Stendhala np. wciąż jeszcze jest we Francji postacią żywą; a z zainteresowaniem dowiedziałem się od pewnego znajomego komunisty, że ten wzór bezlitosnego indywidualizmu osiągnął niedawno w Rosji wielkie powodzenie. Żywotność „Hamleta" po upływie przeszło trzystu lat jest tak wielka, iż narodowi socjaliści uznali, że należy przerwać wznawianie tej tragedji w obawie, aby nie sprawiła, że młodzi Niemcy zapomną o „bohaterskiej" roli, jaką mają podobno obecnie odgrywać.

D. H. LAWRENCE, SHAW I ERAZM

Czasami zdarza się, że pisarze, nie mający wpływu na zwyczaje myślenia i czucia swych współczesnych, zaczynają oddziaływać po śmierci, gdy okoliczności zmieniły się tak że doktryna ich jest możliwa do przyjęcia. Tak np., szczególny mistycyzm seksualny Blake'a zdobył sobie prawa obywatelstwa dopiero w w. XX. Blake umarł w r. 1827; ale w pewnem znaczeniu był współczesny D. H. Lawrence'owi. Wespół z Lawrencem wywarł duży wpływ na wielu ludzi w powojennej Anglji i gdzieindziej. Jest niezmiernie wątpliwe, czy rodzaj tego wpływu był taki, jakiego sobie życzyli i Blake i Lawrence. Mamy dane na to, że większa część czytelników użyła mistycznych doktryn Blake'a i Lawrence'a poprostu na poparcie słuszności maksymalnego folgowania sobie w rozwiązłości przy minimalnej odpowiedzialności. Że Lawrence namiętnie potępiał robienie podobnego użytku ze swych pism, o tem wiem; a jest wysoce prawdopodobne, że Blake podzieliłby jego uczucia. Jedną z ironij losu pisarza jest, że nie może mieć nigdy pewności co do rodzaju wpływu, jaki wywrze na czytelników. Jak widzieliśmy, książek Lawrence'a użyto do usprawiedliwienia rozwiązłości. Z tego powodu narodowi socjaliści, gdy tylko doszli do władzy, umieścili je na indeksie jako zwykłą „Schmutzliteratur". Obecnie okazuje się, że narodowi socjaliści zmienili zdanie o Lawrence'ie; pisma jego są uznane za usprawiedliwianie gwałtu, antyracjonalizmu, bałwochwalstwa i kultu krwi. Że Lawrence chciał odwrócić swych czytelników od intelektualizmu i świadomego emocjonalizmu i pozyskać ich dla ciemnych bogów instynktu i fizjologji — nie ulega wątpliwości. Ale można z całą pewnością twierdzić, że nie myślał zmieniać ich w narodowych socjalistów. Ludzie pod wpływem książek przybierają cechy niezupełnie własne; ale zdarza się, że cechy te mogą być całkowicie różne od cech wyidealizowanych przez pisarza.

Propagandyści mogą nawet dojść do wyników zupełnie innych od tych, które chcieli osiągnąć swem pisaniem. Atakując np. bez przerwy jakąś instytucję, autorzy spodziewają się, że przekonają jej stronników, albo też jej ofiary, o potrzebie reformy. Ale w życiu może zdarzyć się skutek wręcz przeciwny. Albowiem obelgi działają często jak pewnego rodzaju szczepionka przeciw niebezpieczeństwu reformy. Pisma Shawa są w zamierzeniu swem rewolucyjne, a przecież stał się on ulubieńcem inteligentniejszych członków burżuazji; czytają jego satyry i oskarżenia, śmieją się trochę z siebie, decydują, że naprawdę jest mocno źle; poczem, uważając że spłacili daninę należną sprawiedliwości społecznej od kapitalizmu, zamykają książkę i nadal zachowują się tak jak zachowywali się dotychczas. Dzieła pisarzy rewolucyjnych mogą służyć za środki zapobiegawcze przeciwko rewolucji. Zamiast czynnej woli zmiany wytwarzają cynizm, który jest braniem rzeczy tak jak są, w połączeniu z drwiącą świadomością że nie może być gorzej — świadomością, wywołującą w tym, który ją posiada, przekonanie, iż nie potrzebuje już robić żadnego osobistego wysiłku w celu przekształcenia nieznośnej sytuacji. Cynizm mogą odczuwać nie tylko ci, co korzystają z istnienia jakiegoś niepożądanego stanu rzeczy, ale także i jego ofiary. W wiekach poprzedzających reformację cyniczne godzenie się z zepsuciem duchowieństwa było powszechne zarówno u tych co płacili za zabawę, jak i u tych co nadawali ton; wśród inteligencji świeckiej jak i wśród książąt kościoła. Z faktem korupcji godzono się jako z czemś tak nieuniknionem jak brzydka pogoda — jak taki rodzaj brzydkiej pogody, który jest zarazem tematem do dobrego dowcipu. Boccaccio, Chaucer, Poggio i mniejsi spośród ich współczesnych oskarżali, lecz jednocześnie śmiali się. Pracodawcy Poggia w Watykanie (był sekretarzem papieskim) śmiali się razem z nimi. Później, duchowni i książęcy przyjaciele Erazma śmiali się niemniej serdecznie z jego satyrycznych komentarzy o królach i księżach. To samo robili wszyscy inni czytający. Bo Erazm był — jak na czasy, w których żył — pisarzem o niewiarogodnem powodzeniu. Paryskie wydanie jego „Rozmów" rozeszło się w 24 000 egz. w ciągu kilku tygodni — co jest nieprawdopodobnie wysoką liczbą, gdy się zważy że książka była pisana po łacinie. Jego „Pochwała głupoty" osiągnęła sto wydań w latach 1512 — 1676 — z czego większość przypada na wcześniejszą część tego okresu.

Gdy Luter podjął już swą akcję rewolucyjną i gdy jasne się stało, że ruch reformacyjny zagrażał poważnie istniejącemu stanowi rzeczy, wówczas zaczęło zmieniać się oficjalne stanowisko wobec pism Erazma. W r. 1528 skonfiskowano „Rozmowy" jako niebezpieczne dzieło wywrotowe. Pod wpływem nowych okoliczności jego oskarżycielskie i satyryczne pisma przemieniły się z dzieł hodujących rozbawione godzenie się ze stanem rzeczy, a przeto ochraniających przed rewolucją, w niebezpieczną propagandę rewolucyjną. Erazmowi podwójnie nie udało się osiągnąć tego co zamierzał. Chciał przekonać istniejące urządzenia hierarchiczne, że powinny się zreformować; udało mu się tylko wzbudzić w nich cyniczny śmiech z samych siebie. Potem zjawił się Luter; i dzieła, które autor tworzył jako propagandę reformy racjonalistycznej wewnątrz kościoła, automatycznie zmieniły się w propagandę rewolucji, którą potępiał. A gdy kościół się zreformował, stało się to zupełnie nie po myśli Erazma. Ale szczęściem dla siebie, nie był świadkiem tej reformacji. Trzy lata przed pojawieniem się Tow. Jezusowego zeszedł ze świata stary humanista — bynajmniej nie za wcześnie.

NARKOTYKI LITERACKIE

Powróćmy do naszej literatury wyobraźniowej. Czytelnicy często, jak widzieliśmy, biorą postaci z książek poto, aby zużytkować je bovarycznie w życiu rzeczywistem. Ale odwracają również ten proces i rzutując siebie z rzeczywistości w literaturę, żyją kompensacyjnem życiem wyobraźni między wierszami druku. Jednem z głównych zadań wszystkich popularnych powieści, dramatów, a obecnie kina, jest dostarczanie ludziom sposobów do zaspokajania, zastępczo i w wyobraźni, niewyżytych tęsknot — zapomocą psychologicznych równoważników środków podniecających i narkotyków. Taka literatura posiada prawdę, podobnie bardzo wielką siłę narzucania tym, których możnaby nazwać jej nałogowcami, pewnego rodzaju narkotycznego godzenia się z najbardziej nawet plugawemi rzeczywistościami. W prawdziwem życiu jeden Anglik na sześćdziesiąt tysięcy jest parem, jeden na trzysta tysięcy ma sto tysięcy funtów rocznego dochodu. O ile mi wiadomo, nie ułożono jeszcze cenzusu bohaterów powieściowych; ale zgaduję, że jeden na stu, a może nawet na pięćdziesięciu, jest albo lordem, albo miljonerem, albo tym i tamtym.

Są dwie przyczyny obecności w naszej literaturze tylu arystokratów i plutokratów. Po pierwsze, bogaci i potężni cieszą się większą, niż biedni, wolnością i skutkiem tego mogą być sprawcami swoich tragedyj, zamiast żeby nieszczęście spadało na nich z zewnątrz. Nie może być dramatu bez osobistego wyboru; a żebracy, przysłowiowo, nie mogą wybierać. Tylko ludzi z dochodami [illegible] że mogą wiele wybierać na tym poza Ateny[illegible]e i szlachetne ich dusze — Pieniądze, [illegible]ieni Butlera — mogą [illegible] i [illegible] przeszkód materjalnych; podczas gdy dusze biednych obarczone są i spętane materją, która oblepia je jak syrop skrzydła muchy... To jest tajemnicą hołdów, jakie bogaci otrzymują od tych, co są od nich biedniejsi". Również i hołdów, które składają im autorzy. Bogaci, potężni i utalentowani mają więcej swobody od ludzi pospolitych i skutkiem tego są predestynowani na bohaterów literatury pięknej.

Drugiej przyczyny, dla której literatura tak hojnie wydziela bogactwa i tytuły, trzeba szukać w fakcie że świat rzeczywisty tak bardzo ich skąpi. Sami autorzy i ich czytelnicy pragną urojonych zadośćuczynień za ubóstwo i niepozorność społeczną. Znajdują je w pańskim i pozłacanym świecie literatury. A dokucza im nie tylko ubóstwo i brak władzy; jest więcej niż prawdopodobne, że są również brzydcy, że ich życie płciowe jest niewystarczające lub nieromantyczne; że są komuś poślubieni a chcieliby nie być, lub nie są poślubieni a chcieliby być; że są za starzy lub za młodzi; słowem, są sobą a nie kimś innym. Stąd owi Don Juani, owe sentymentalne piękności, niewinne koteczki, wspaniale brutalne chłopaki, ckliwe awanturnice. Stąd Hollywood, stąd girlsy. Gdy byłem świeżo w Margate, otwarto tam właśnie olbrzymie nowe kino. Nazwa jego wyrażała program społeczny, pełną historję sztuki: nazywało się „Krainą Snów". W dzisiejszych czasach kino, jako opjum dla ludu, działa daleko skuteczniej od religji.

WSZECHŚWIAT SŁOWNY

Opisałem dotychczas oczywistsze ze skutków wywołanych u czytelników przez literaturę piękną. Ale działa ona także i mniej widocznie, subtelniej. Słowa mają moc podtrzymywania, podpierania, wiązania w całość. Są one formami, w które wlewamy naszą myśl — tak iż przybiera ich kształt szlachetniejszy i wspanialszy, a zarazem są kanałami i przewodami, któremi odprowadzamy strumień naszego bytowania — tak iż wezbrany treścią płynie ku zrozumiałemu celowi. Podpierają, nadają kształt i kierunek naszemu doznaniu. A jednocześnie same tworzą doznanie nowego rodzaju, napięte, czyste, niezmącone żadnemi ubocznościami. Słowa, wyrażające pragnienie, mogą poruszać bardziej niż obecność upragnionej osoby. Nienawiść, którą czujemy na widok naszych wrogów, jest często słabsza od nienawiści odczuwanej gdy czytamy jakieś przekleństwo lub inwektywę. Ludzie znajdują w słowach nowy wszechświat myśli i uczuć, jaśniejszy i bardziej zrozumiały od wszechświata codziennego doznania. Wszechświat słowny jest formą dla rzeczywistości i zarazem podstawia się za nią, jest wyższą rzeczywistością. Styczność z ową wyższą rzeczywistością uporządkowanego piękna i znaczenia podpiera nasz umysł, wstrzymując grożący mu upadek.



W dawnych czasach umysły oświeconych Europejczyków kształtowała i podpierała Biblja, pozatem klasycy greccy i łacińscy. Ludzie lubili krystalizować swą filozofję życiową w zdaniach z Ewangelji lub z ód Horacego, z „Iljady" lub z „Psalmów". Hiob i Safo, Juwenal i Kaznodzieja użyczali stylu ich rozpaczom, miłościom, oburzeniom i cynizmom. Doznanie uczyło ich mądrości, która płynęła łożyskami słów, przygotowanemi przez Ajschylosa i Salomona; a istnienie tych łożysk było samo w sobie zachętą do uczenia się mądrości przez doznanie. Dziś większość nas jest podobna do Szekspira pod jednym, przynajmniej, ważnym względem: mało rozumiemy po łacinie a jeszcze mniej po grecku. Biblja nawet staje się w szybkiem tempie księgą, jeśli nie zamkniętą, to bądźcobądź bardzo rzadko otwieraną. Wyjęte z niej zdania nie podpierają już, nie kształtują ani nie przecinają kanałami naszych umysłów. Św. Pawła i Psalmistę spotkał ten sam los co Wergiljusza i Horacego. Jacy autorzy zajęli ich miejsca? Czyje słowa podtrzymują mężczyzn i kobiety doby dzisiejszej? Odpowiedź brzmi: nie istnieje żadna grupa książek stanowiących powagę. Wspólna podstawa wszystkich zachodnich kultur usunęła się nam spod nóg.

Literatury o powadze lokalnej zapełniają próżnię wytworzoną przez faktyczne zniknięcie z nowoczesnych świadomości owych międzynarodowych literatur, które panowały w przeszłości nad umysłami ludzkiemi. „Mein Kampf" jest ewangelją, książka ta rozeszła się niemal jak Biblja — dwa miljony egzemplarzy w ciągu dziesięciu lat. Dla Rosjan Marx i Lenin stali się tem, czem dla oświeconych Europejczyków XIII w. był Arystoteles. (Z 27-tomowego wydania dzieł Lenina sprzedano dotychczas cztery miljony kompletów). We Włoszech Mussolini „ha sempre ragione"; nigdy ortodoksi nie żądali więcej dla Mojżesza lub dla ewangelistów.

NAUKA I INFORMACJA

Ludy Zachodu nie mają już wspólnej literatury ani systemu mądrości starożytnej. Wspólnie posiadają teraz tylko naukę i informacje. Owóż nauka, to wiedza a nie mądrość; rozprawia się z ilościami, nie z jakościami bezpośrednio przenikającemi do naszej świadomości. W zakresie, w jakim jesteśmy istotami podległemi radościom i cierpieniom, słowa jej wydają się nam przeważnie niewłaściwe i nietrafne. Co więcej, słowa te ułożone są nieartystycznie; skutkiem tego nie posiadają zgoła siły magicznej i nie potrafią podeprzeć lub ukształtować umysłu czytelnika.

To samo dotyczy drugiego ogniwa związku między ludami, a mianowicie wspólnoty informacji. Siewcy informacji często starają się pisać z niewołącym czarem sztuki; ale jakże rzadko im się to udaje! Nie fragmentami z pism codziennych podtrzymamy nasze walące się mury.

Literatura informacyjna zajmuje się zdarzeniami, o których ludzie sądzą, że są ważne. Niestety, dziennikarstwo traktuje te głęboko interesujące tematy w sposób, który mimo całą swą błyskotliwość, jest głęboko nieinteresujący, powierzchowny. Ponadto, zadaniem dziennikarstwa jest spisywać z dnia na dzień historję; nie można tu pozwolić sobie na zatrzymanie się nad jakimkolwiek epizodem. Tak samo nie może sobie na to pozwolić czytelnik. Nawet gdyby gazeta codzienna była dobrze napisana, jej codzienność właśnie wykluczałaby możliwość zapamiętania jej zawartości. Gazeta, rzecz — materjalnie biorąc — z farby drukarskiej i miazgi drzewnej, nie trwa dłużej nad dzień swego wydania; o zachodzie słońca znajduje się w koszu od śmieci lub w dole kloacznym. W pamięci czytelnika zawartość jej żyje jeszcze krócej. Trudno spodziewać się po tym, kto czyta dwa lub trzy pisma dziennie, — jak i po reszcie ludzi, — aby pamiętał, co w nich było. Dzisiejsze wiadomości wypierają z umysłu wczorajsze. Pamiętamy to co czytaliśmy po kilka razy i z wielkiem skupieniem. W ten właśnie sposób i dlatego, że posiadały powagę oraz jakiś tajemniczy urok, czytano Biblję i klasyków greckich i łacińskich. A nie tak wcale czytamy „Daily Mail" lub „Petit Parisien".

Nowoczesną metodę naukową cechuje technika wynalazków; postęp techniczny rozwija się z szybkością przyśpieszoną. Ale zmiany społeczne są nierozłącznie związane z postępem techniki. Przyśpieszać jego szybkość znaczy przyśpieszać szybkość tamtych. Zasięg literatury informacyjnej rozszerzył się ogromnie a znaczenie jej wzrosło niepokojąco. Jednocześnie ulepszenie techniki dostarczania wiadomości zwiększyło zapotrzebowanie na nie. Skłonni jesteśmy przypisywać coraz większe znaczenie wiadomościom i temu rodzajowi współczesności z ostatniej chwili, który pewnym nawet dziełom sztuki, pewnym nawet hipotezom naukowym i rozmyślaniom filozoficznym dodaje blasku, jakim lśni zabójstwo polityczne lub wynik derby. Ponieważ przywykliśmy pożerać wiadomości, przeto wchodzi u nas w nałóg czytać wiele bardzo szybko. Widocznie jest dużo ludzi, którzy wydostawszy się ze szkoły lub uniwersytetu nigdy nic nie czytają uważnie lub więcej niż raz. Nie posiadają słów, któremi mogliby podeprzeć swe ruiny. I zaiste żadnych podpór nie potrzebują. Umysł sproszkowany i wiecznie niespokojny podtrzymuje sam siebie gwałtownością samego swego ruchu. Przestaje być ruiną a staje się wirującą trąbą piaszczystą.

NISZCZĄCA SIŁA

W pewnem znaczeniu nasza pasja do informacji niszczy przedmiot swego zainteresowania, którym jest powiększanie wiedzy o świecie i innych istotach ludzkich. Dostarcza się nam znacznie większej ilości faktów niż ta, nad którą mieli kiedykolwiek sposobność zastanawiać się nasi przodkowie. A jednak nasze wiadomości o innych ludach są prawdopodobnie mniej dokładne i płytsze. W r. 1500 wykształcony Francuz lub Niemiec wiedział bardzo mało o bieżących wydarzeniach politycznych w Anglji a nic wogóle o tak obficie przez naszą literaturę informacyjną zapisywanych czynnościach angielskich przestępców, arystokratów, sportowców i aktorek. Mimo to, wiedział prawdopodobnie więcej o duchowych i uczuciowych przemianach Anglików, niż wiedzą dziś jego lepiej poinformowani potomkowie. Wiedza ta płynęła z introspekcji. Znając siebie, znał tamtych. Umysły, ukształtowane przez tę samą literaturę religijną i świecką, mogły rozumieć się między sobą w sposób niepojęty dla ludzi, którzy wspólnie posiadają tylko naukę i informacje. Dyskredytując Biblję, dostarczając wzamian za studja języków martwych znajomości języków bardziej użytecznych, nauka — tryumfalnie zwycięska — dokończyła dzieła umysłowego rozkładu, który zaczął się wówczas gdy podminowała wiarę w religję transcendentalną i wymościła w ten sposób drogę pozytywistycznym przesądom nacjonalizmu i kultu dyktatorów. Ciekawe, czy odkryje kiedyś sposób na sklejenie tych potłuczonych i pomieszanych skorupek.

Aldous Huxley,
przełożyła **Krystyna Szerer.**

[2]) Przekład Edwarda Porębowicza.

FRANK SAVERY, KONSUL WIELKIEJ BRYTANJI W WARSZAWIE

WRAŻENIA Z GRECJI*)

W ATENACH

Przed wielu, wielu laty istniał mały kraj, którego mieszkańcy byli zawsze gotowi do wędrówek i osiedlania się choćby w najodleglejszych częściach ówczesnego świata, ale nigdy nie zapominali o swej ojczyźnie, a nawet o swem rodzinnem mieście. Sztuka ich pełna była reminiscencyj starszych i wspanialszych cywilizacyj, z jakiemi się stykali; nagle i — o ile mogę sądzić — bez żadnej widocznej przyczyny sztuka ta stała się oryginalna i na pewien krótki okres czasu bardzo żywotna. Ale w ciągu tego krótkiego okresu, trwającego najwyżej dwieście lub trzysta lat, kiedy artyści tej rasy tworzyli dzieła sztuki, których wpływ — nie zawsze dodatni — przetrwał na całym świecie lat dwa tysiące, politycy i żołnierze tej samej rasy chętnie sprzedawali sobie, a czasem też swój kraj, cudzoziemcom mieszkającym za morzem.



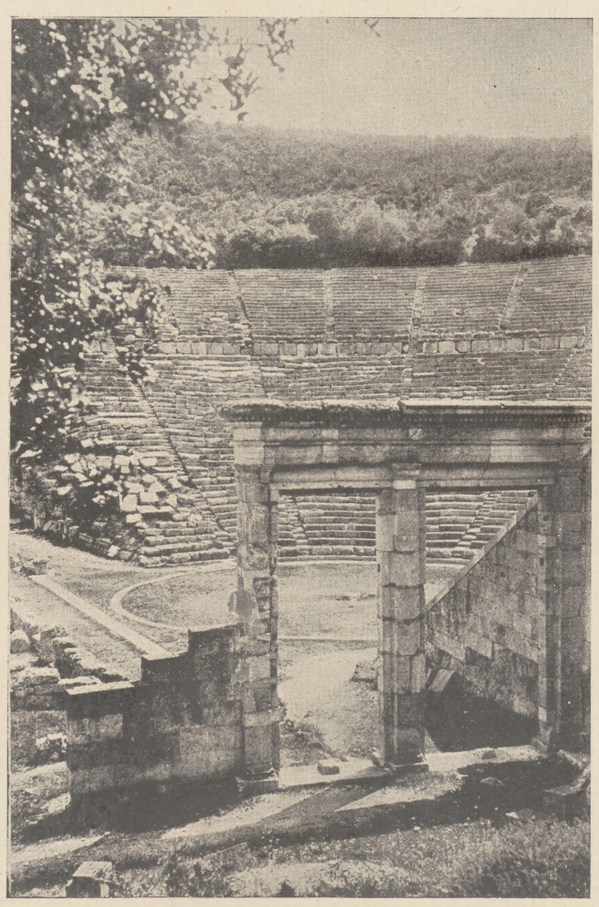
Propyleje; fasada wschodnia

Wychowałem się na mitologji, sztuce, a zwłaszcza na literaturze tego kraju, którym jest Grecja, ale ani jej sztuka, ani literatura nie zdołały nigdy ożywić dla mnie spróchniałych kości tych, którzy je stworzyli. Z zupełną łatwością wyobrażam sobie Rzymian w okresie czterystu lat, dzielącym bitwę pod Kannami od śmierci Marka Aureljusza, ale literatura grecka nigdy nie przywodziła mi na myśl obrazów Grecji lub Greków.

Głównie w tym celu, ażeby się przekonać, czy uda mi się przerzucić most nad tą przepaścią, która dzieli sztukę od artysty i twórcę od jego dzieła — postanowiłem przed kilkoma miesiącami zwiedzić Grecję. Z chwilą powzięcia tego postanowienia stwierdziłem — ku swemu wielkiemu zdumieniu — że po raz pierwszy od dwudziestu lat myśl o zwiedzeniu nowego kraju wprowadza mnie w stan podniecenia. Przypuszczam, że może było w tem też trochę obawy przed rozczarowaniem. Niechaj państwo nie oczekują ode mnie dzisiaj wyczerpującego wykładu na temat cywilizacji greckiej; mogę tylko podzielić się mojemi wrażeniami z tego kraju, przyczem pozwolę sobie podkreślić, że celem mojej podróży było przedewszystkiem odkrycie lub też stworzenie sobie tła dla literatury i sztuki greckiej.

Naogół jestem sumiennym turystą, to znaczy, zaczynam od ułożenia planu, według którego mam zwiedzać dane miasto. Trzymam się tego planu, zanim nie odrobię z niego dwóch trzecich; potem najczęściej go porzucam i spędzam resztę czasu na oglądaniu jednej lub dwu rzeczy, które mnie najbardziej zainteresowały czy wzruszyły. Jednakże jednego punktu programu ściśle przestrzegam: udaję się przedewszystkiem do tego zabytku, który mam największą ochotę zobaczyć i o którym sądzę, że jest najważniejszy w danej miejscowości.

Tak więc następnego ranka po przybyciu do Aten, udałem się na Akropolis i natychmiast uświadomiłem sobie, że wszystko na tem wzgórzu dorównywa swojej sławie jak mało która słynna budowla. Słońce świeciło, ale porywisty, północny wiatr uderzył mnie w chwili, gdy minąłem Propyleje i kierowałem się ku usianemu ruinami szczytowi Akropolu; mimo zimna, przewodników i fotografów, tego pierwszego ranka musiałem spędzić na Akropolu najmniej trzy godziny. I powtarzało się to w ciągu trzech dni; ranki spędzałem na Akropolu, obchodząc zazwyczaj wokoło Partenon lub przemierzając go z jednego końca na drugi. Dzięki doświadczeniu, nabytemu przez częste przebywanie w muzeach i wśród zabytków, popołudnia spędzałem w całkowicie odmiennym świecie — w małem bizantyjskiem muzeum, które jest jednym z najmilszych jakie znam. Dopiero trzeciego dnia usłuchałem głosu sumienia, nawołującego mnie do zajęcia się innemi rzeczami godnemi obejrzenia. Tak więc następnego dnia rano udałem się na sumienne zwiedzenie ruin, leżących wokół Akropolu i na jego niższych stokach. Ranek był wówczas prześliczny, i kolumny Olimpiejonu przybierały w jasnym świetle attyckiego słońca ci[illegible] Coswaya (v. Z początku starałem się wytłumaczyć



Teatr w Epidauros



Olimpja; Filippejon



Sanktuarjum Apollona w Delfach

monologu Prometeusza, skierowanego do powietrza i wiatru — monologu który świeżo czytałem przy śniadaniu. Wydał mi się zbyt mały w obliczu swej sławy, prawie skromny w stosunku do otoczenia.

prawie pomarańczową barwę. Uderzyły mnie swoją malowniczością i prawie odkupiły banalność słabego Łuku Hadrjana, który do nich prowadzi.

Z przewodnikiem w ręku, gapiłem się na pomnik choregosa Lysikratesa, drżałem z zimna przez parę minut w Odeonie i rozmyślałem jak bardzo ciężki barok portyku Eumenesa byłby odpowiedni w Rzymie, a jak dziwnie nie na miejscu wygląda tutaj, u stóp ateńskiego Akropolu. Ostatecznie, zdecydowany zwalczyć los, który pomimo cudownego słońca, nie pozwalał mi tego ranka odczuwać zachwytu dla czegokolwiek — wstąpiłem do Teatru Dionizosa.

Zdarza mi się czasami powątpiewać, czy jestem bezwzględnym wielbicielem greckiego dramatu, ale wiem, że bez zastrzeżeń podziwiam greckie teatry. Jeżeli teatr w Taorminie przypomina trochę sztuczne ruiny z XVIII w., — do tego stopnia, że gdy się po nim błąkam, przychodzą mi na myśl raczej strofy Schillera niż Ajschylosa, — wielki teatr w Syrakuzach zawsze uderzał mnie jako jeden z najwspanialszych zabytków klasycznej starożytności. Choć oddawna już odarty z wszelkich ozdób, oddziaływać swe rozczarowanie widokiem, jaki się stamtąd roztacza, — banalne domy z ósmego dziesiątka lat ub. w. i banalne ulice, — lecz kiedy się odwróciłem i spojrzałem wgórę na Partenon, pogodny i nieskazitelny, nie uzależniony od otoczenia — odczułem że zło musi tkwić w samym teatrze. Zmieszany, jak gdyby zawstydzony, wróciłem do hotelu na śniadanie i popołudnie spędziłem w zachwycającym klasztorze z XI w. w Dafni.

Nazajutrz rano — znowu w słońcu — szedłem przyjemną starą uliczką, jakby ateńską Świętokrzyską, gdzie pomysłowi antykwarjusze częstują turystów najokropniejszą tandetą jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Stamtąd zacząłem wędrówkę wzdłuż północnego zbocza Akropolu. W dzielnicy tej dużo odkopują, i rezultaty są pod względem archeologicznym dość ciekawe, ale estetyczny urok odkopanych budowli nie jest zbyt wielki. Hefajstejon jest, być może, najlepiej zachowaną świątynią w Grecji, ale czy świat byłby wiele uboższy gdyby się wogóle nie zachowała?

Wędrując mniej lub więcej na los szczęścia, popołudniu tego dnia, znalazłem się na wzgórzu Pnyx. Tam usiadłem i patrzałem na Akropolis a zwłaszcza na Partenon.

Miałem wrażenie, że wreszcie zrozumiałem lekcję, jakiej Ateny udzielają wszystkim uczciwym turystom, mianowicie: że muszą oni używać swych zdolności krytycznych. Bądźmy szczerzy: — czy wogóle, patrząc na budowle klasyczne poza Grecją, kierujemy się wrażeniami czysto estetycznemi, czy nasza ocena ich wartości jest naprawdę krytyczna? Porta Nigra w Trewirze, les Antiques w Saint Rémy, Pont du Gard, wszystkie te zabytki starożytności oglądamy oddzielnie; jesteśmy tak zachwyceni widokiem każdego zabytku klasycznej strożytności — kto bowiem nawet dzisiaj może wyzwolić się z wpływów odrodzenia? — że przyjmujemy wszystko bezkrytycznie. W Atenach — inaczej. Tam różnice wartości między tem co znajduje się na wzgórzu Akropolu a wszystkiemi innemi zabytkami starożytności w mieście są tak duże, że każdy zmuszony jest do formułowania krytycznego sądu. I to według mnie jest jedną z dwu ważnych lekcyj, jakich Ateny udzielają nowoczesnemu światu. Sam cierpię na skłonność do estetycznych marzeń i bardzobym radził każdemu dotkniętemu tą miłą chorobą, ażeby odwiedził Ateny, a gdy się tam znajdzie — oddał się w ręce „genius loci", tak jak oddałby się w ręce przewodnika podczas wycieczki w Alpy. Spróbujcie państwo przeżyć trzy dni, obcując z Partenonem, tak jak ja z nim obcowałem, a dojdziecie napewno do wniosku że dorównywa on całkowicie swej sławie i że żadne pochwały nie są dlań wygórowane. Wtedy dopiero i tylko wtedy spójrzcie na Hefajstejon, Wieżę Wiatrów i Teatr Dionizosa.

Jestem pewien, iż przekonacie się, że w porównaniu z Partenonem i Erechtejonem są one estetycznie mało ważne. Własne doświadczenie przekonało mnie, że budowle Akropolu miałem ciągle w pamięci podczas całej podróży po Grecji i że chroniły mnie one przed sentymentalnym entuzjazmem, który byłby tylko „słomianym ogniem".

Ale Akropolis, jak sądzę, uczy nas jeszcze czegoś innego. Mianowicie, że największe dzieła sztuki są niezależne od skojarzeń historycznych i niezależne od zewnętrznych efektów, efektów oświetlenia i t. p. Mogę powiedzieć, że Rzym znam dobrze, jest to dla mnie najbardziej monumentalne miasto świata, za każdym razem, kiedy tam jestem, doznaję najgłębszego wzruszenia, patrząc na Santa Maria Maggiore i wielkie renesansowe lub barokowe pałace. Ale w pozostałościach rzymskich starożytności jest dla mnie zawsze coś zaściankowego, coś w nich trochę trąci myszką. Jeżeli mają mi dostarczyć jakiegoś dreszczu, muszę je oglądać w specjalnych warunkach: np. Forum muszę oglądać w noc księżycową, kiedy drzewa na wzgórzu palatyńskim rysują się na jaśniejszem tle. Ale w Atenach jest inaczej. Partenon nie ma w sobie nic zamkniętego, nic dusznego. Nie trzeba go oglądać w półmroku: właśnie im światło jest silniejsze, tem większe sprawia wrażenie. Oczywiście, tu przyroda wspomaga sztukę, bo napewno nie istnieje drugi kraj, gdzieby światło było tak łagodne a jednocześnie tak olśniewające jak w Attyce. Sądzę, że to cudowne światło jest wspólne dla całej Grecji, lecz nigdzie nie widziałem go w stopniu tak doskonałym jak w Attyce. Nie ma w nim nic kapryśnego ani teatralnego; jest spokojne i równe, działa tak samo kojąco na nerwy, ale zarazem bardziej pobudzająco na umysł aniżeli przesycone wilgocią światło słoneczne południowo-zachodniej Anglji.



Klasztor w Dafni



Świątynia Apollona w Bassae

MICENY, TYRYNS, BASSAE

Spędziwszy w Atenach prawie tydzień, udałem się na jedenastodniową wycieczkę

*) Odczyt wygłoszony dn. 17 marca 1938 r. w Polskim Klubie Literackim. Ilustracje zaczerpnięte z wydawnictwa „En Grece" (Paryż 1937).

kę po Grecji południowej. Jeżeli te jedenaście dni były dla mnie okresem prawie nieprzerwanej radości, zawdzięczam to w dużej mierze niezwykłemu wdziękowi greckiej rasy — w każdym razie w tej postaci, jaką spotyka się w małych miasteczkach i wioskach Peloponezu. Jeżeli mam być szczery, muszę przyznać, że spodziewałem się, iż dzisiejsi Grecy są bardzo lewantyjscy, przez co rozumiem fizycznie zdegenerowani, bardzo sprytni i nieznośnie dokuczliwi. Nigdy jeszcze doświadczenie nie było milszem zaprzeczeniem zgóry powziętej opinji. Grecy na wszystkich szczeblach społecznych posiadają zachwycające obejście: poprostu wychodzą ze skóry, ażeby okazać pomoc cudzoziemcowi, i bynajmniej nie czyhają na to ażeby go wyzyskać lub okraść.

Chyba rzadko który turysta, udający się do Grecji, nie zwiedza Micen. Muszę wyznać, że kiedy dowiedziałem się, że mi wypadnie spędzić noc w zajeździe zwanym „Piękna Helena", serce mi zamarło. Nabrałem trochę otuchy dopiero po przybyciu przed zajazd, kiedy przeczytałem starannie wykonany napis „Helena Menelausowa". Przybyłem tam popołudniu w wietrzny dzień, kiedy zaczął już zapadać mrok. Wokół mnie z trzech stron wznosiły się strome, nagie wzgórza, uwieńczone szaremi skałami; kiedy wspinałem się na to osobliwe wzgórze, jakiem są Miceny, północny wiatr wpadał w kapryśnych porywach w głębokie wąwozy między wzgórzami i smagał mi twarz zimnym deszczem. Nagle z lewej strony otworzył się korytarz w ścianie, wiodący do grobu Agamemnona lub skarbca Atreusza, jak go zwą również. Byłem obeznany z tym kopułowym grobowcem jeszcze dawno, zanim poznałem wiersze Słowackiego, bo już jako dziesięcioletni chłopiec przedzierałem się przez gąszcz encyklopedji klasycznej Lempriera. Mimo to, kiedy stanąłem pod sklepionym dachem, wrażenie było tak silne jak gdybym nigdy przedtem nie widział i nie słyszał nawet o tym grobowcu. Tak się złożyło, że przedtem, tego samego dnia, zwiedziłem wykopaliska starego Korynta, gdzie wszystkie budowle wydały mi się typowe dla klasycznej Grecji — Grecji z V i IV w. przed Chr.

Przy grobie Agamemnona uświadomiłem sobie, jak trudno jest — jeżeli wogóle jest możliwe — łączyć w jakikolwiek sposób cywilizację kreteńską z klasyczną Grecją i jej zabytkami. Tego samego uczucia doznałem dnia następnego, przy zwiedzaniu wspaniałej cytadeli w Tyryns, która wywiera silniejsze wrażenie od miceńskiej. Jeżeli wielkie budowle Aten, jeżeli Altis w Olimpji i teatr w Epidauros są zasadniczo tak zbudowane, ażeby przenikało do nich dzienne światło, zabytki Micen i Tyrynsu są prawie podziemne; światło dzienne z trudem przenika zarówno do wielkich grobowców jak do korytarzy ukrytych we wnętrzu murów Tyrynsu. Było już prawie ciemno, a wiatr nabrał siły huraganu, kiedy powróciłem do swego zajazdu. Czy trzeba dodawać, że tego wieczoru czytałem znowu „Agamemnona"? Zawsze uważałem trylogję Ajschylosa za największe dzieło poetyckie rasy europejskiej, i tym razem znowu tryumfująca mściwość Klitemnestry porwała mnie tak jak zwykle. Mimo to, kiedy nie śpiąc, przysłuchiwałem się udręczonym duchom Pelopidów, szarpiącym okiennice pokoju, myśli moje zwróciły się ku innemu arcydziełu literatury. Porywy huraganu, szalejącego na dworze, były zbyt kapryśne, ażeby stanowić odpowiedni akompanjament do jambicznych, a nawet chóralnych miar Ajschylosa, ale właśnie w taką noc Heathcliffe wychylał się z okna swego domu w Yorkshire i wzywał w zapamiętałej namiętności swą zmarłą Katarzynę.

Myśl o Heathcliffe'ie przywiodła mi na pamięć ponure wrzosowiska w Yorkshire, wśród których Emily Brontë spędziła całe życie i które sam znałem tak dobrze w dzieciństwie. I tuż przed zaśnięciem uświadomiłem sobie, że to co wprowadzało mnie w takie zakłopotanie, odkąd opuściłem Korynt, to był północny charakter krajobrazu.

W ciągu następnych dni wrażenie to jeszcze się spotęgowało. Istotnie, chociaż natrafiłem na kilka miejsc, gdzie zarówno krajobraz jak roślinność były południowe, np. bogata równina Lakonji, rozległa dolina Eurotasu — naogół krajobraz Peloponezu ma charakter północny. Już Arkadja uderzyła mnie brunatnemi przestrzeniami swych pól zbożowych, ujętych w ramy gór o śnieżnych szczytach, ale najbardziej północny wydał mi się charakter krajobrazu północnej Mesenji. Fakt ten wskazuje, jak niebezpieczna jest próba odtwarzania wrażeń doznanych w przeszłości. Przed kilku laty zwiedzałem samotną świątynię Segeste w północnozachodniej części Sycylji, i nigdy nie zapomnę głębokiego wrażenia, jakie na mnie wywarła. Po dniu spędzonym w Monreale, ponad bogatą w barwy Conca d'Oro, purpura zboczy wokół Segeste, chociaż zdumiewająco różna od zieloności równiny spod Palermo, miała również charakter nawskroś południowy.

Wzgórza sycylijskie mają pewną miłą dla oka okrągłość linji, nieznaną krajom północnym, ale wzgórza, na które musiałem wspinać się kolejno, ażeby od Andritseana dostać się do świątyni w Bassae, wyglądały jakby przeniesione do Peloponezu z dolin hrabstwa Yorkshire. Była to dziwna wycieczka, jaką odbyłem w dzień Bożego Narodzenia z Andritseana do Bassae. W nocy był silny mróz, i rano, kiedy wyruszyłem z przewodnikiem, padał wciąż zimny deszcz. Pierwsze wzgórze, jakie minęliśmy, nosiło jeszcze pewne cechy południowe, gdyż na jego szczycie znajdował się cmentarz wysadzany cyprysami, ale później nawet roślinność stała się dobrze znana. Na dnie doliny, nad brzegami strumyka rosły nieliczne jawory; gałęzie ich rozchodziły się we wszystkie strony i prawie dotykały ziemi, drzewa były bardzo niskie, ale pnie miały niezmiernie grube. Zupełnie tak samo wyglądają dęby na Dartmoor, wznoszące się zaledwie na parę metrów od ziemi, lecz pomimo to zaliczane do najstarszych drzew w Anglji. Wkrótce jawory ustąpiły miejsca dębom i wierzbom wielkości krzaków. Zbocze wzgórza usiane było głazami z szarego wapienia, i nie widziało się tam żywego ducha, prócz kilku pliszek spacerujących po płasko popękanych skałach. Nagle ukazała się świątynia, i pierwsze wrażenie było uczuciem wielkiego rozczarowania. Gdzież była ta groza, jaką odczułem, widząc po raz pierwszy świątynię w Segeste, i jak mogłem przypuszczać, że te dwie miejscowości są do siebie podobne i wywołują takie same wzruszenie.

Segeste, to kompozycja klasyczna, w stylu Claude Lorraina. A czem jest Bassae? Kiedy wielokrotnie obchodziłem świątynię wokoło i widziałem, że połowa kolumn odchyliła się od pionu, uderzył mnie patos tej świątyni, zbudowanej przez Figalejczyków na pamiątkę uratowania od zarazy — świątyni stojącej wśród wzgórz, tak samo smutnych i opuszczonych wtedy jak dzisiaj. Ale patos, w każdym razie patos tego rodzaju, jest wrażeniem rzadko wywoływanem przez południowy krajobraz. Właśnie rozmyślałem o tej sprzeczności, kiedy mój przewodnik zaczął mnie nawoływać do powrotu do Andritsena, gdyż zbliża się burza śnieżna. I istotnie, przez pół godziny walczyliśmy z burzą śnieżną, godną klimatu bardziej północnego niż klimat Anglji. Wtem śnieg ustał, i po kilku minutach niebo stało się znów błękitne i przejrzyste, jakie może być tylko w Grecji. Przez godzinę, a może i dłużej, szedłem wśród tego porywającego krajobrazu, na który składa się szemrzący strumyk i kamienne zbocza, obserwując, jak śnieg na gałązkach dębów zamienia się w kropelki wody, aż wreszcie, ku memu zdziwieniu, spostrzegłem, że recytuję przed pliszkami, których nie wytrąca to z równowagi, „Atalanta in Calydon". Instynktownie z całego mego zapasu poezji klasycznej i nowoczesnej wybrałem ten najwięcej uroczy i najmniej wymuszony poemat Swinburne'a, w którym, chociaż opowieść jest grecka, obrazowanie jest całkowicie północne.

BIBLJOTEKA W ANDRITSENA, OLIMPJA I DELFY

Może się to wydać dziwne, ale dwa dni spędzone w Andritsena, nie tylko dopomogły mi do ujrzenia greckiego krajobrazu w nowem i nieoczekiwanem świetle, ale ukazały mi dwie godne uwagi cechy charakteru nowoczesnego Greka: jego zamiłowanie do nauki i głęboki patrjotyzm. Po powrocie z Bassae, włóczyłem się bez określonego celu po miasteczku, zastanawiając się nad tem, jak ustrzec się przed zimnem, gdy jakiś bardzo grzeczny mały chłopiec przemówił do mnie doskonałą francuszczyzną i zapytał, czy widziałem bibljotekę miejską w Andritsena. Nie widziałem jej. Nie miałem nawet nadziei, aby zawierała coś ciekawego. Przypuszczałem tylko, że nie będzie tak podbiegunowo zimna jak mój pokój w zajeździe. Tak więc pod przewodnictwem chłopca udałem się na poszukiwanie nauczyciela, który podobno miał u siebie klucz od bibljoteki, i wreszcie znalazłem go w jakiejś kawiarni. Klucz został dostarczony, i skierowaliśmy się ku obszernemu budynkowi, w którym mieściły się bibljoteka i miejscowa szkoła średnia. Oczekiwałem zwykłego nieciekawego zbioru zapleśniałych klasyków oraz „wyczytanych" powieści; jakież było moje zdziwienie, gdy znalazłem bibljotekę zawierającą co najmniej 10 000 tomów, porządnie ustawionych w oszklonych szafach. Czy były tam książki o Polsce? A jakże! Po krótkiem poszukiwaniu w katalogu pokazano mi dwa dzieła drukowane w Krakowie i dwa drukowane w Gdańsku w XVI w. potem jeszcze jeden tom, zawierający aż trzy druki krakowskie z XVI w.

To było ciekawe, zacząłem więc przeglądać półki. Było tam wydanie Woltera z Kehl w przeszło pięćdziesięciu tomach, był też egzemplarz jednego z dzieł prozą Miltona, drukowany w Londynie w r. 1652. Andritsena posiada zaledwie 2 000 mieszkańców, spytałem więc z pewną nieufnością, jakim cudem znalazła się tam taka bibljoteka. Odpowiedziano mi, że są to zbiory pewnego Greka, który jako dziennikarz dorobił się majątku w Paryżu przed sześćdziesięciu czy osiemdziesięciu laty. Czy był rodem z Andritsena? — spytałem. Nie, ale miasteczko to było sławne za czasów tureckich jako siedziba jednej z niewielu szkół w kraju. Spowodu istnienia tej szkoły, ów Grek, prawie nie znający swego rodzinnego kraju, pragnął zaznaczyć swój podziw dla miasta, które się dobrze zasłużyło sprawie narodowej.

Z Andritsena udałem się do Olimpji i tam po raz pierwszy, a może i ostatni, doznałem poczucia jedności starej, klasycznej Grecji. Altis w Olimpji znacznie bardziej niż Delfach wywiera wrażenie międzynarodowego seminarjum, w którym wszystkie rywalizujące miasta zarówno samej Hellady jak i wielkiej Grecji zamorskiej mogły spotkać się na równej stopie i bez skakania sobie do gardła.

Krajobraz Olimpji jest, jak na Grecję, niezwykle pogodny i miły; pagórki są porosłe lasem i mają łagodną linję; Altis stoi otworem na przyjęcie wszystkich przybywających. Mija około czterdziestu lat od chwili, kiedy ukończono prace wykopaliskowe w samym Altis, był więc czas ażeby drzewa wyrosły wśród ruin. Byłem tam w ostatnim tygodniu grudnia; rano kałuże po bokach szosy pokrył lód. Ale w Altis kwitły już purpurowe anemony i błękitne irysy i nastrój panował zupełnie inny niż w Bassae. W ruinach świątyni górskiej wyczuwałem czysto północny patos niezasłużonego ale wytrwale znoszonego cierpienia. W Olimpji próbowałem wskrzesić do życia atletów i przybyszów z tamtych czasów, którzy topili drobne różnice w mimowolnej czci dla jedności helleńskiego ideału, rozmyślałem, jak Meleager z Gadary lub Antypater z Sydonu, nad kontrastem między człowiekiem, którego krótkie życie przemija bez śladów, a kwiatami, które nie umierają. Zdaje mi się, że w Olimpji nie można czuć goryczy lub mściwości; to co nazwałbym nastrojem „Antologji" u Meleagra, wydaje się tam nieuniknione i całkowicie, choć z początku niepostrzeżenie, przenika całą istotę człowieka.

Delfy są widocznem uzupełnieniem i jednocześnie przeciwieństwem Olimpji. Wydało mi się szczególnie stosowne, że Altis w Olimpji ujrzałem po raz pierwszy w promienne popołudnie, kiedy do Delf zaś dotarłem późnym wieczorem, kiedy księżyc zimnym blaskiem oświecał śnieżne szczyty gór Focydy. Każdy, kto kiedykolwiek pisał o Delfach, rozwodzi się nad wspaniałością krajobrazu otaczającego świątynię. Prawda to, krajobraz jest wspaniały, — niektóre jego części mają nawet jakiś dziki urok, — ale nie jestem zupełnie pewien, czy ta właściwość krajobrazu przyczynia się do zwiększenia efektu samego sanktuarjum. Były chwile, kiedy czułem, że sanktuarjum musiało być zanadto przepełnione mnóstwem małych budowli i różnorodnych pomników, ażeby mogło przeciwstawić się surowej pustce otaczającego krajobrazu. Ale nie ulega wątpliwości, że Delfy, tak samo jak Ateny, są miejscem które wzywa do porównawczej oceny. Jasne jest nawet dzisiaj, kiedy pozostało niewiele więcej niż jego rzut poziomy, że Tholos musiał być bardzo piękną budowlą. Podtrzymująca ściana wielkiej świątyni jest zadziwiająca pod każdym względem, i linja „Świętej Drogi", w miejscu gdzie kieruje się wprost na wzgórze, przed głównem wejściem do świątyni, jest niewypowiedzianie szlachetna w swej dostojnej prostocie. Ale jest równie jasne, że skarbiec Sifnijczyków nie był budowlą zbyt udaną bez względu na to że niektóre szczegóły rzeźbiarskie mogły być bardzo piękne.

W szkole uczono mnie historji Grecji ze śmiesznej książki, która powinna być uroczyście spalona na stosie; autor jej wyjaśniał długo i szeroko, że istniały dwa główne węzły jedności między miastami i szczepami starożytnej Grecji: mianowicie, Olimpja ze swemi igrzyskami i świętym rozejmem, oraz Delfy ze swą radą amfiktjońską i autorytetem swej wyroczni. Co się tyczy Olimpji, jestem tego samego zdania, ale im dłużej przebywałem w sanktuarjum w Delfach, tem mniej skłonny byłem uwierzyć w jego wpływ na łagodzenie zazdrości politycznych. Jak często podczas wspinania się świętą drogą od głównego wejścia do świątyni i dalej — do pięknego teatru, który leży nad sanktuarjum — natrafia się na dwa skarbce, stojące jeden obok drugiego; jeden zbudowany — powiedzmy — przez Spartan z łupu, którzy przywieźli ze szczęśliwego najazdu na Arkadję, drugi — trochę większy i późniejszy, zbudowany przez Arkadyjczyków na pamiątkę porażki zadanej tym samym Spartanom. Nie — obawiam się, że nie uda mi się uwierzyć w jednoczącą a nawet uspokajającą rolę Delf.

MUZEA ATEŃSKIE

A teraz po jedenastodniowej wędrówce po południowej Grecji, znalazłem się znowu na tydzień w Atenach; ten czas chciałbym poświęcić przestudjowaniu zabytków klasycznej Grecji w Muzeum Narodowem, które przedtem umyślnie pominąłem, oraz posegregowaniu mych wrażeń. W zasadzie jestem znieczulony na deprymujące warunki muzeów; spędziłem w nich w swem życiu tyle czasu, że jestem teraz jak chirurg lub sanitarjusz, który nie czuje przykrej woni środków dezynfekcyjnych, jaka zwykle uderza laika przekraczającego próg szpitala. Dlatego też nie jest to może bez znaczenia, kiedy powiem że ze wszystkich znanych mi muzeów Muzeum Narodowe w Atenach wydało mi się najbardziej przygnębiające. Pomijam olbrzymią galerję, w której znajdują się porządnie poukładane i opatrzone napisami klejnoty oraz różnorodne drobiazgi, wydobyte przez czcigodnego Schliemanna z grobowców miceńskich. Ale smutny jest fakt, że duży zbiór monumentalnej rzeźby greckiej z okresu klasycznego wydaje nam się dziś bezduszny. Jest on też uderzająco niedekoracyjny, w tym sensie że nie łączy się łatwo z tłem i otoczeniem. Mało rzeczy w Atenach uderzyło mnie tak żywo jak kontrast między westibulem małego bizantyjskiego muzeum, tak pięknie i wystarczająco umeblowanego, — nie mogę tu użyć innego słowa, — z pochodzącym z V w. portalem kościoła św. Demetriusa w Salonikach, a salami rzeźb w Muzeum Narodowem. Oczywiście, są w tem muzeum okazy archaicznej i klasycznej rzeźby greckiej, które jako dzieła sztuki stoją wyżej od portalu z Salonik, ale nie wydaje mi się ażeby mogły były stanowić kiedyś integralną część budynków, które zdobiły, tak jak to się działo z portalem.

Realistyczna rzeźba klasycznej Grecji zdaje się prosić o zwrócenie bacznej uwagi na jej szczegóły; nigdy nie chce stać się tylko częścią tła. Ponadto motywy dekoracyjne, jeżeli się zdarzają, np. w akroterjach, są bardzo banalne i nigdy nie zdradzają spontanicznej fantazji artysty.

Doszedłem do takiego stanu że cieszyłem się prawie, iż wszelkie rzeźby, które obciążały kiedyś mury i frontony świątyń greckich, zostały z nich zdjęte i w ten sposób nie mogą już nam psuć estetycznej radości, jaką odczuwamy z racji wartości czysto architektonicznej tych budowli. Nagle przypomniałem sobie, że w tem muzeum znajduje się najsłynniejszy zbiór waz greckich. Powlokłem więc zmęczone kroki poprzez szereg sal zapełnionych coraz mniej interesującemi rzeźbami marmurowemi, aż wreszcie znalazłem się w skrzydle poświęconem wazom. Trwało jeszcze czas jakiś, zanim się tam rozejrzałem, i pierwszy ranek spędziłem na zastanawianiu się nad tem, w jaki sposób sztuka, która zaczęła się pod tak silnym wpływem Wschodu, — np. wczesne korynckie wyroby gliniane, — mogła stać się w najwyższym stopniu realistyczna. Kiedy już nauczyłem się odnajdywać różne gablotki i zapoznałem się na tyle z eksponatami, że potrafiłem odnaleźć to co mi już przypadło do gustu — poczułem, że właśnie w tak drobnych objektach jak wazy naturalistyczna sztuka grecka może najsilniej przemawiać do nas — ludzi dzisiejszych.

Tutaj znowu widzimy, być może, pewien brak zmysłu dekoracyjnego; greckie wazy jeśli chodzi o dekorację powierzchni nie mogą się równać z perską ceramiką z pierwszych wieków islamu. Ale jak mi się zdaje, piękno formy waz greckich może zastąpić tę dekorację, albowiem rysunki niektórych malarzy tych waz posiadają doskonałą pewność rysunków ołówkowych wielkich artystów europejskich średniowiecza i wczesnego odrodzenia. Taką wazę można wziąć do ręki i zupełnie zapomnieć o otoczeniu, a tego nie da się zrobić z żadnym posągiem, chyba że jest to mała statuetka tanagryjska.

Po spędzeniu paru dni w radosnej kontemplacji tych waz, zacząłem sobie uświadamiać, że postaci malowane na nich zaczynają żyć i pomagają mi zrozumieć postaci i charaktery książek greckich, do których wciąż powracałem. Ale im dalej posuwałem się w czytaniu autorów greckich i w wędrówkach po muzeach, tem więcej odczuwałem, że chociaż postaci na wazach wskazywały właściwy kierunek memu zrozumieniu, odkrycie, ku któremu zdążałem, było bardziej żywotne niż ilustracja literatury greckiej przy pomocy sztuki greckiej. Zacząłem mianowicie dostrzegać, że dzisiejsi Grecy są z ducha, jeżeli nie z rasy, potomkami i spadkobiercami tych Greków, którzy oklaskiwali tragedje Sofoklesa, odbywali pielgrzymki do Olimpji i Delf, kłócili się zawzięcie o politykę miejską i walczyli — jak sądzę — już trochę mniej zawzięcie z sąsiadami o granice i drogi handlowe.

GRECY DZISIEJSI I WCZORAJSI

Przez całe życie przekonywali mnie różni fachowcy, że kiedy znajdę się w Grecji, odrazu stwierdzę, iż nowocześni Grecy — okropna banda — nie mają nic wspólnego z Grekami z czasów klasycznych. Byłem w Grecji i przekonałem się o czemś wprost przeciwnem. Mam spokojne sumienie, że przystąpiłem do poznania Grecji współczesnej bez uprzedzeń, że zadałem sobie trud sięgnięcia poza Ateny — ale to jest wszystko.

Po[illegible]zym i może najważniejszym [illegible]ceno i gł[illegible]cznym między Grekami [illegible]dy nich [illegible]mi a Grekami z czasów Peryklesa, zdaje mi się, jest to: ci [illegible] tamci mają bardzo skromne wymagania, jeżeli chodzi o jednostkę, zato duma ich granicz[illegible] prawie z arogancją tam gdzie chodzi o zbiorowość, do której należą. Przed dwoma tysiącami i trzystu laty była to „polis", z której czerpali dumę; dzisiaj jest to Grecja — ich kraj. Podejrzewam, że domy mieszkalne Greków w owych czasach były małe i skromne. Dzisiaj, potomkowie wolą mieszkać w chacie z małym kawałkiem ziemi dookoła, niż w najbardziej komfortowem i nowoczesnem mieszkaniu w koszarowym domu. Ale nic nie jest za dobre, za wspaniałe i za imponujące dla rzeczypospolitej. Przed przeszło 2 000 lat mieszkańcy paru nie bardzo ważnych i nie bardzo bogatych miast zbudowali wielką świątynię w Bassae, na szczycie góry, gdzie nikt nie mieszkał — chcąc podziękować Bogu za uratowanie ich od zarazy; dzisiaj Grek, który może nigdy w życiu nie był w Grecji, ofiarowuje małemu Andritseana taką bibljotekę, jaką mogą się pochwalić nieliczne tylko prowincjonalne miasta Anglji. Dotychczas nie widziałem żadnych greckich Pompei, ale widziałem tyle starego Koryntu ile wykopała ekspedycja amerykańska, i mojem dominującem wrażeniem było zdziwienie spowodu małych rozmiarów miasta, które zawsze uważałem za jedno z największych i najzamożniejszych w świecie helleńskim. Zupełnie inna jest skala tych budowli lub grup budowli, które niejako należały do całości tego świata, przyjmując pielgrzymów i gości ze wszystkich jego części. Asklepiejon w Epidauros i Olimpja, miejsca święte odwiedzane przez Greków ze wszystkich stron, są pod względem obszaru znacznie okazalsze od Koryntu, handlowej metropolis. A w dzisiejszych Atenach można w pół godziny przejść od nędznych baraków, gdzie upierają się mieszkać uchodźcy z Azji Mniejszej, do bogatych, jeżeli nie szczególnie ładnych, białych marmurowych gmachów — stadjonu, bibljoteki, muzeum, któremi bogaci Grecy obdarzają swą stolicę.

Współczesny Grek jest indywidualistą, i dla niego wszyscy są równi. Ubóstwia swój kraj, ale uważa że trudno jest szanować jego rząd. Nie mam przez to na myśli że nowoczesna Grecja miewała szczególnie nieudolne rządy. Ale każdy współczesny Grek zdaje się czuć, że ma w swym tornistrze jeżeli nie buławę marszałkowską, to coś znacznie więcej nęcącego — tekę ministra. Nie spotkałem kraju, w którymby istniało tak powszechne zainteresowanie polityką jak w Grecji.

Ale mimo zbyt częstych zamachów stanu i dotychczas może jedynego poważniejszego w swym znaczeniu podziału kraju na venizelistów i antyvenizelistów, nie sądzę ażeby dzisiejsi Grecy wkładali dużo namiętności w walki polityczne i pozwolili sobie na rozpętanie krwawej wojny domowej. Przeciwnie, ich zainteresowanie polityką wydaje mi się raczej intelektualne, co nie znaczy że jest tylko akademickie. Grek stara się wprowadzić w życie swoje poglądy polityczne, ale jednocześnie wzdryga się przed rozlewem krwi greckiej. Zdaje mi się, że ta umysłowość przypomina umysłowość Ateńczyków z V i IV w., takich, jakich znamy z Tucydydesa i z mów Demostenesa i Ajschinesa. Przelewano wówczas w Atenach krew spowodu polityki, ale jak niewiele w porównaniu z rzekami krwi zalewającemi Italję w czasach Mariusa i Sulli.

Powiedziałem już, że współcześni Grecy, tak jak ich przodkowie z czasów klasycznych, są indywidualistami. Człowiek, którego wiekowa tradycja nauczyła poczucia własnej indywidualności, potrafi uszanować indywidualność innych.

Jest to prawda, którą w niektórych krajach należałoby tłumaczyć i kłaść na nią nacisk. W Polsce, na szczęście, nie mam potrzeby tego robić. W ciągu swych wędrówek po Peloponezie razporaz spotykałem się z czarującą grzecznością, która często przybierała formy prawdziwej uczynności.

W pociągu lub na statku zadawano sobie nieskończenie wiele trudu, ażeby znaleźć kogoś mówiącego po francusku, po angielsku lub po niemiecku — w dziewięciu wypadkach na dziesięć zupełnie bezinteresownie, a często najlżejszy gest sięgnięcia do kieszeni wywoływał grzeczną ale stanowczą odmowę.

Ale jeżeli Grecy dzisiejsi pod wieloma względami podobni są do Greków z tych czasów, zanim Macedonja i Rzym zniweczyły starego ducha lokalnego patrjotyzmu i lokalnych zazdrości — czem się tłumaczy, że od upadku Konstantynopola, a nawet od czasów Justynjana, nie wydali ani jednego artysty — prócz El Greca — któryby osiągnął sławę światową? Pytanie możnaby postawić w tej formie przed czterdziestu lub trzydziestu laty; dzisiaj, kiedy poznaliśmy lepiej sztukę Bizancjum, lub powiedzmy lepiej, Imperjum Bizantyjskiego w ciągu tysiąclecia jego istnienia, jesteśmy gotowi przyznać, że artyści i architekci odpowiedzialni za kościoły Konstantynopola i Salonik, za kościoły i mozaiki w Dafni i w klasztorze św. Łukasza w Focydzie, za freski w Peribleptos i w Pantanassa w Mistra i za parę spośród nieskończonej ilości ikon w muzeach ateńskich — byli pierwszorzędnymi artystami, pomimo że nazwiska ich są nam nieznane. Jednocześnie wydaje mi się prawdą, że ani pod panowaniem Turcji, ani w ciągu ostatnich stu lat Grecy nie stworzyli nic godnego uwagi ani w literaturze, ani w sztukach plastycznych.

O ile się orjentuję, wyższe klasy społeczne w Grecji mało się tem interesują, chociaż znam osobiście kilka wyjątków godnych uwagi. Sądzę że prawdą jest iż w długim okresie niewoli uzdolnienia artystyczne narodu greckiego musiały wyrażać się w formie, która jest jeszcze prawie nieznana poza obrębem samej Grecji.

W Muzeum Benaki w Atenach zrozumiałem po raz pierwszy co zaszło. Podziwiałem — nie po raz pierwszy — ikonę z XIV w. „Gościnność Abrahama" — jedną z dwu ikon widzianych w Atenach, które zaliczyłbym do pierwszorzędnych dzieł sztuki — i po raz pierwszy dałem się zwabić do sal, zawierających zbiór sztuki ludowej, hafty greckie, kostjumy z wysp i t. p. Najpierw przyciągnęła mój wzrok olbrzymia rodyjska kapa na łóżko, haftowana czerwonym jedwabiem na białem płótnie. Była tak cudowna, tak pewna w rysunku, tak doskonała w równowadze między kolorowym motywem a szarem tłem, że zacząłem przyglądać się uważnie innym haftom z wysp. Wiele z nich dorównywało kapie rodyjskiej.

Ciekawa rzecz — obce wpływy psuły je: roboty z wysp jońskich cierpiały trochę pod wpływem Italji, hafty smyrneńskie były jeszcze bardziej zeszpecone wpływami tureckiemi i miały w sobie coś z szyku dzisiejszych bazarów wschodnich. Od haftów przeszedłem do zbiorów strojów ludowych, które są może najpiękniejszą choć nie najbardziej efektowną częścią muzeum Benaki.

Muszę zaznaczyć, że w zasadzie nie bardzo cenię sztukę ludową i ludowe stroje. Znajduję w nich najczęściej niezdarną imitację bardziej wyrafinowanych i skomplikowanych motywów, często nagromadzonych jeden przy drugim i bezkrytycznie połączonych. W greckich strojach tych błędów się nie spotyka. Niema tu pomieszania motywów, przeładowania ozdobami i kolorami. Deseń i kolor są jednakowo subtelne, i widzi się tę samą dosko[illegible]ałość w haftach co i w metalowych klamrach i guzikach.

Nie sądzę, ażebym przesadził, mówiąc że w ciągu czterysta lat wrażliwość artystyczna Greków znalazła wyraz w tej sztuce, która jest jednocześnie bardzo demokratyczna i bardzo wyrafinowana. W czasach niewoli nie istniała ani grecka arystokracja, ani — dzisiaj brzmi to dziwnie — grecka plutokracja, poza nielicznemi rodzinami Fanariotów w Konstantynopolu. Ale na wielu wyspach poziom zamożności był wysoki, i wiele rodzin mogło sobie pozwolić na ubieranie się w dnie uroczyste w te cudowne kostjumy, które przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Dla mnie stroje te wypracowane, ale subtelne w tem wypracowaniu zdają mi się doskonale odpowiadać tej wyrafinowanej grzeczności, która wyróżnia dzisiejszych Greków, w każdym razie poza trochę zbyt handlowym ośrodkiem Aten.

Dobrnąłem do końca tego luźno powiązanego szeregu wrażeń. Jak zaznaczyłem na początku, wyruszyłem w tę podróż ażeby odnaleźć ludzkie tło dla greckiej sztuki i literatury. Zdaje mi się, że dla siebie je odnalazłem, ale nie mogę się spodziewać, że udało mi się odtworzyć je dla państwa. Wielu z państwa może wcale nie ma potrzeby jechać do Grecji, żeby odnaleźć to tło, bo uważaliście zawsze grecką sztukę i literaturę za coś żywego. Ale nawet tym powiedziałbym: jedźcie do Grecji, albowiem bez względu na to, jak wielkie jest wasze instynktowne zrozumienie cywilizacji greckiej, stanie się ono szersze i żywsze, skoro zobaczycie łagodny, górzysty krajobraz Attyki skąpany w przejrzystym świetle.

Przed kilku laty odbyłem pielgrzymkę do Borgo San Sepolcro, ażeby zobaczyć słynne zmartwychwstanie Piera della Francesca. Gdy przybyłem tam w zimowy poranek, był dzień targowy w małem miasteczku. Zaaferowany urzędnik gminny otworzył mi Palazzo del Commune, i znalazłem się odrazu na wprost fresku Piera della Francesca.

Musiało trwać dwadzieścia minut lub więcej, zanim powróciłem do świadomości otaczającego mnie świata. Kilku umbryjskich wieśniaków, dwóch z nich z psami owczarskiemi, weszło za mną; odwróciłem się do fresku, ażeby spojrzeć na nich, i tuż koło siebie ujrzałem tych samych ludzi, z których mistrz prawie przed pięciuset laty uczynił rzymskich żołnierzy, trzymających straż przy grobie Chrystusa.

Był to najniezwyklejszy przykład ciągłości fizycznego typu. Obawiam się, że państwo tego w Grecji nie znajdą, ale mimo to jestem przekonany, że siły duchowe, które przed tylu wiekami wydały niewiędnący kwiat sztuki, żyją jeszcze w narodzie bez względu na rasowe powinowactwo tych, którzy zamieszkują dziś właściwą Grecję i wyspy morza Egejskiego.

Frank Savery.

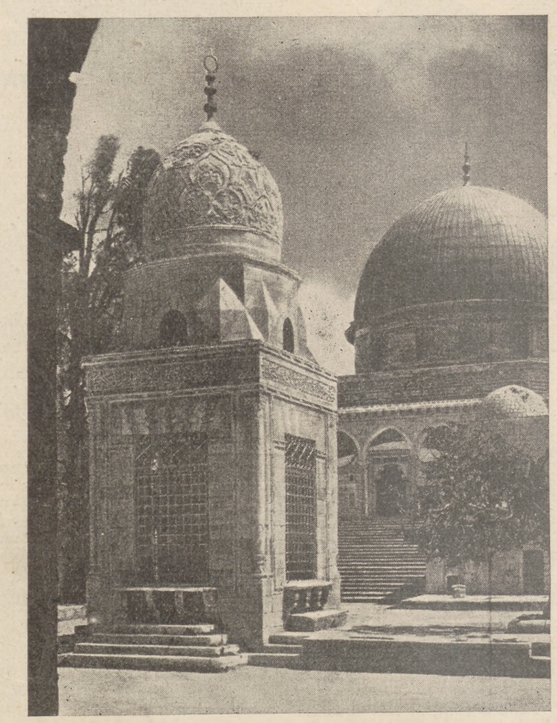


ADOLF NOWACZYŃSKI

AL-HARAM AL-SHARIF*)

Najpiękniejszą świątynią w Jeruzalem jest bezsprzecznie meczet Omara. Godzą się tu na punkcie uznania tego piękna wszyscy, dosłownie wszyscy, którym dostęp do sanktuarjum islamu i zwiedzanie są dozwolone.

Rzecz prosta, że chrystjanizm jest też wcale godnie reprezentowany w swych świątyniach. Na pierwszym planie postawić należy oczywiście Bazylikę Grobu Świętego ze względu na jej dostojność pamiątkową, relikwijną, aczkolwiek sam kompleks budowli Bazyliki znajduje się dziś w stadjum ostatecznego zaniedbania, ba — nawet mocno podrujnowany, gro-



Kapliczka-studnia

zi wprost zawaleniem. W każdym razie wszystkie wyznania i sekty chrześcijańskie mają tu swoje świątynie z wyraźną prewalencją schizmy prawosławnej, jak w całej Palestynie tak i w Jeruzalem zbyt obficie i rażąco gęsto rozbudowanej. Wysoki poziom architektoniczny odznacza i wyróżnia kościół ormiański. Etjopowie czyli Abisyńczycy prezentują się godnie. Angielski, anglikański „High Church" wysadził się na stylowo mieszaną ale poprawnie archaizowaną katedrę św[illegible]ego. Nową, efektowną, choć może zbyt wymuskaną świątynię imienia św. Stefana wy-

MONSALWACZ ISLAMU

Czem przedewszystkiem zniewala i zwycięża piękno Al-Haram al-Sharif? Otóż tem, że kompleks budowli meczetu oddzielony, odgrodzony, odseparowany od miasta całego sędziwym, omszałym cyklopim murem, gdzieniegdzie sto stóp wysokości, że z pewnej perspektywy, np. od jarów wyschłej rzeki Kidronu i od doliny Józafata, wygląda ta arabska świętość jak nasza świętość narodowa, jak Wawel. Ma wzniosłość i podobłoczność Monsalwaczu i wogóle góruje nad całem miastem.



Wnętrze „Domu Skały"

stawili francuscy ojcowie dominikanie. Są dalej kościoły nawet świeżej daty, są liczące po pół wieku, te poza staremi murami Jeruzalem, z przewagą cebulastych cerkwi, przeważnie olbrzymich, groteskowo brzydkich a dzisiaj opustoszałych, zbytecznych. O żadnej z tych świątyń Pańskich nie da się nic powiedzieć z taką rewerencją, z jaką np. o kilkudziesięciu kościołach we Włoszech, we Francji, w Niemczech, w Belgji, nawet w Polsce. I nie imponują i nie upokarzają i nie wzruszają i nie wdrażają się w pamięć. O niektórych reminiscencje bywają nawet przygnębiająco niemiłe; a są i „kościoły bez Boga" wyraźnie, przepełnione świecczyzną i pstrokacizną, z przekupniami dewocjonalij w przedsionkach, żadnym biczem nie odpędzanymi. Przeważnie zaś albo zbyt nowe i żadną patyną wieków nie obrosłe, albo jeżeli stare czy prastare, to wtłoczone w labirynty domów, z trudem dające się odszukać, w rezultacie bez ducha, bez głębiej religijnego nastroju, bez dzieł zbożnej sztuki, do modlitwy, medytacji i uginania kolan nie wkłaniające, zaczem nie ciekawe, nie niepozbędne. W poglądzie równie krytycznym godzą się ze sobą opisywacze Jerozolimy tak duchowni jak i świeccy, tak wyrafi-

*) Ilustracje zaczerpnięte z książki Karla Gröbera „Palestine" (Nowy Jork 1926).

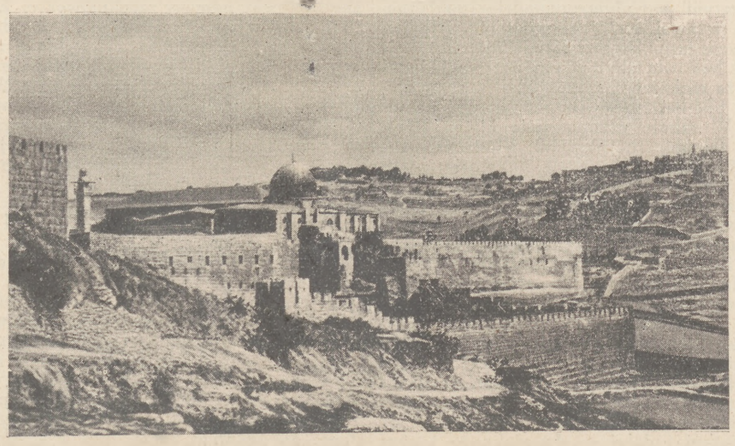
Pierwszy więc rys zasadniczy: górność. Drugi: przestrzenność. Esplanada przedświątynna zajmuje jedną ósmą terenu całego wewnętrznego miasta. Podczas więc gdy w mieście wszystko orjentalnie ściśnione, zgniecione, natłoczone, uliczki — korytarzyki, dzielnice — labirynty, a wszystko jakby przez mrówki-termity chaotycznie nawalone na siebie, tutaj przy wielkim meczecie szeroko i swobodnie, duże przestrzenie wolne i puste, nieboskłon cały widoczny, powietrza moc, a już z baszt, z flanków aspekta na trzy strony świata, na pełny krajobraz ziemi judzkiej czarujące. Wydobywszy się z dusznego i niezbyt wonnego natłoku murów i ludzi, tu się oddycha pełną piersią, nad sobą mając nie wycięty skrawek nieba lecz cały nieboskłon. Jest tak jak przed Świętym Piotrem w Rzymie a nie jest tak jak przy katedrze kolońskiej. Plac przedświątynny dzieli się na kondygnacje to wyższe to niższe, to węższe to bardzo szerokie, na które od pięciu bram wchodzi się po szerokich stopniach, gdzieniegdzie pod prześlicznie strzelistemi arkadami, pod stopami mając tafle kamienne, nieprawdopodobnej olbrzymiości, spod których, spomiędzy których dobywa się jakaś wątła zieleń, jakaś ruń.

Odrazu pierwsze wrażenie, gdy się wchodzi po schodach na plac przez któryś z patetycznych portali, jest zniewalające. Cóż to za wielki, wielki malarz był ten... Przypadek, co tak wirtuozowsko wkomponował te grupy drzew



Widok na meczet z doliny Kidronu

oliwnych, figowych, eukaliptusowych, cyprysów, pinij między te cuda architektoniczne! Historycy i znawcy sztuki wschodniej zeznają lojalnie, że na tysiąc słynnych meczetów w Islamestanie jest kil-



Mury meczetu

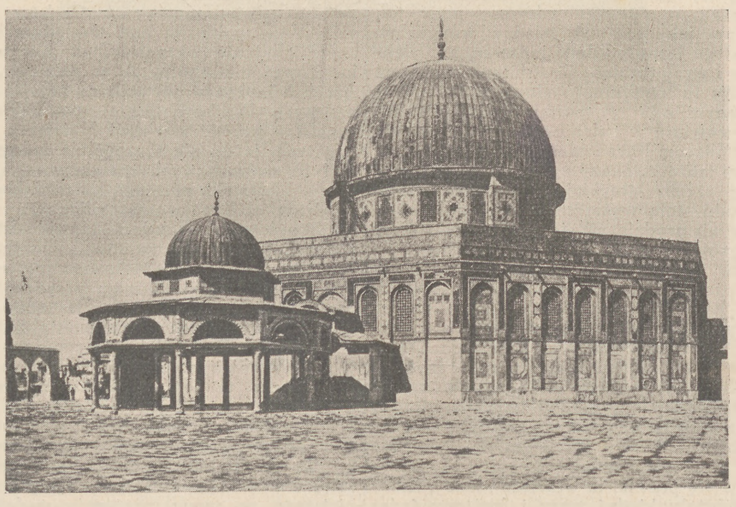
ka jeszcze piękniejszych od jego. Ale najmalowniczej, dzięki także akompanjamentowi prastarych drzew, prezentuje się Al-Haram al-Sharif.

Wchodzący po schodach odrazu orjentuje się, że tu nie jeden tylko główny me-



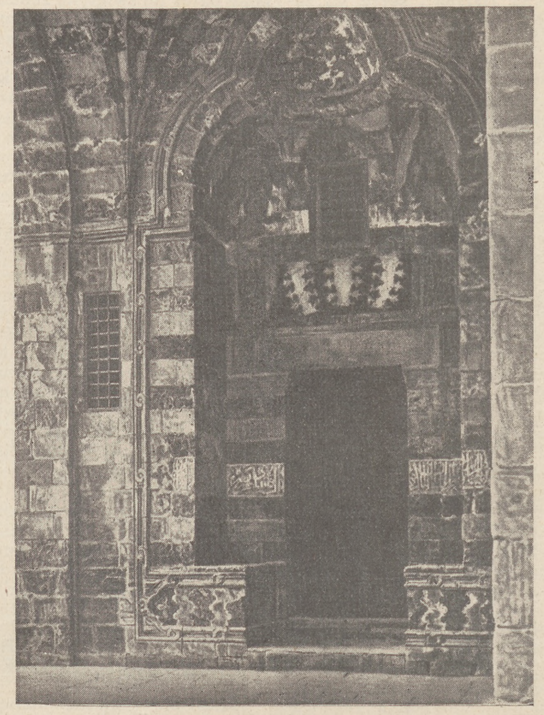
Plac przed meczetem

czet do zwiedzania, ale że jest i drugi wielki i trzeci jakby minjatura czy model pierwszego i jakieś kapliczki i jakieś kazalnice czy ambony i znów arkady na czterech lub na sześciu pilastrach po prawej i po lewej i znów jakaś sadzawka



„Qubbat al-Sakhra" i „Qubbat al-Mi'raj"

święta i znów jakiś pawilonik z kopułką... A wśród tych, to lekkich to masywnych poważnych cudowności, to tu to tam stąpające i snujące się powoli, poważnie małe grupy pobożnych fellachów z muchtarami (wójt) z dalekich stron, co-



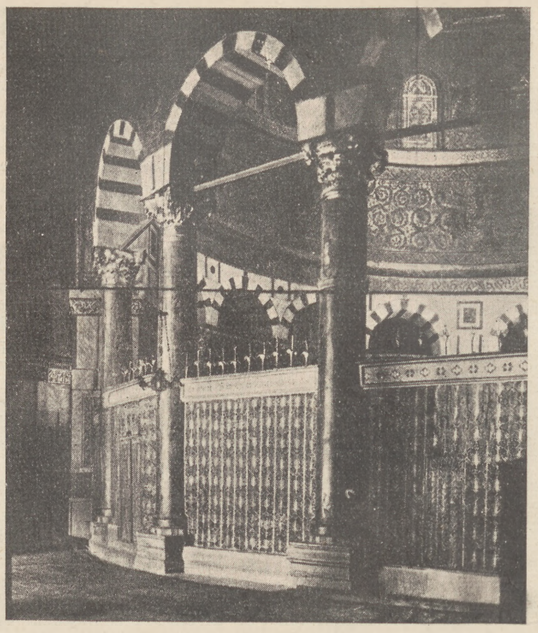
Portal

dobrze w pamięci uporządkowane szczegóły z „Procesu Chrystusa" ks. prof. Dąbrowskiego i konfrontuje je z rewelacyjnemi nowemi publikacjami o saduceuszach i o faryzeuszach.

Jak plac przed pretorjum rzymskiem, gdzie był wydany wyrok na Chrystusa, zwał się Lithostrotos, to zn. wyłożony płytami kamiennemi, tak samo płytami kamiennemi wyłożona jest tu znowu cała esplanada przed meczetem Omara, a więc i portyki dokoła, w których znów wedle tradycji, Chrystus w ostatnich tygodniach Swego żywota przechadzając się,

PILATUS NEAPOLITAŃCZYK

Ta woda przychodziła tutaj akweduktem długim aż 24 km, przychodziła od lat tysiąc dziewięćset mniejwięcej trzydziestu, (1930) przychodziła nie dla Semitów dzi-



Wnętrze „Domu Skały"

miasta Nablus) Pilatus, poprzednio gubernator Pontu. Herodes, faworyt kolejno i Antonjusza i Oktawjana, prowadził politykę romanizacyjną, lekceważącą żywioł rodaczy, tubylczy. Do dyspozycji miał gwardję legjonową, przeważnie gallo-germańską. Na jednej z bram świątyni Salomona, zakochany w Rzymianach, król-wasal kazał prowokacyjnie przybić orła rzymskiego, co już rozwścieklilo obie rywalizujące opozycyjno-patrjotyczne partje saduceuszów i faryzeuszów. Aby się przypodobać kulturträgerom z Romy, założył też Herodes miasto Cezareę

i mieszkał albo w niej, albo w bogatem grecko-romańskiem Jerychu. Tak samo i high commissioner (prokurator) Pontius. Na uroczystości Paschy zjeżdżali do Jerozolimy tak król wasal jak i Pilatus, gdzie bywały na święta wielkie zjazdy pielgrzymów. Otóż jak Herod wobec patrjotycznych Izraelitów miał na sumieniu dużo grzechów kompromisowania z Rzymem, tak też i Pontius Pilatus poczuwał się do pewnej winy. W ferworze pracy konstruktywnej, opanowany „radosną twórczością", postanowiwszy sobie dać dobrą, zdrową źródlaną wodę Jerozolimie, głównie dzielnicy dworsko-kapłańskiej (dzisiejszej Al-Haram al-Sharif), a nie mając funduszów odpowiednich na tak wielkie przedsięwzięcie (pipe-line), skonfiskował t. zw. „korban", znaczny skarb kościelny, fundusze religijne. I z nich opłacił całą wielką imprezę wodociągową Pilatus Pontius, czem atoli naraził sobie do najwyższych granic sfery klerykalne. Woda dochodziła do sadzawek i do studzien w dzielnicy reprezentacyjnej i do „ogrodów Salomona" i na górę Moriah, ale lud, gmin burzył się i szemrał, i czaiła się nowa rewolta.

I wtedy to roztoczono przed Pilatusem sprawę Jezusa Nazareńczyka, z Galilei, podburzacza ludu...

I wtedy to Pilatus, choć nie wierzył w winę Jezusa, choć umywał ręce, jeszcze do sumienia żydowskich kapłanów przemawiał, nauczał i kazał.

Tak się tu bowiem, tu właśnie na terenie Al-Haram al-Sharif, dziwnie splata islamizm nie tylko z mozaizmem ale i z chrystjanizmem.

ARCHANIOŁ GABRJEL

Zwracał uwagę na te krewieństwa religijologiczne u nas w swoich pracach orjentalistycznych prof. Kowalski. W Jerozolimie w Al-Haram al-Sharif miałby dla stwierdzenia swej tezy liczne przykłady i ślady. Pod placem meczetowym np. istnieją t. zw. stajnie Salomona, t. j. piwnice-suteryny olbrzymich rozmiarów z dwunastoma rzędami osiemdziesięciu ośmiu słupów, gdzie w różnych erach i wiekach tempore belli i oblężeń Jerozolimy chowała się cała ludność miasta. Przy wejściu tedy do tych piwnic, a raczej do tego podziemnego miasta, znajduje się nisza, wgłębienie pod kopułką, a w niej tak zwana kołyska Jezusa, kamienna, otoczona specjalną czcią... mahometan. Tuż obok wielkiego meczetu znajduje się t. zw. „Qubbat al-Mi'raj", pomniejszony niejako model wielkiego „Qubbat al-Sakhra", mała świątynka oktogonalna z kopułką, zbudowana nieco i z gotycka w erze krzyżowców z w. XIII, otwarta, bez ścian, a więc raczej pawilon

BIBLIOTEKA POTRÓJNEGO WĘZŁA

GDZIE • KIEDY • JAK

Oto nazwa nowej serii niezwykle zajmujących książek, która młodzieży i tym, co zachowali najcenniejszy dar młodości — świeżość i wrażliwość umysłu, a więc wszystkim, którzy odważnie i śmiało rzucają ludziom i rzeczom pytanie: gdzie? kiedy? jak? — pragnie pomóc w rozsupływaniu tego potrójnego węzła podstawowych pytań we wszystkich dziedzinach wiedzy i życia współczesnego.

TOM I
Ernst Gombrich
GODZINY WIEKÓW
Historia świata dla Ciebie
przekład **Zofii Rudzkiej**

W ujęciu Gombricha historia zmienia się w porywającą opowieść, którą młodzi i starsi czytać będą z niesłabnącym zainteresowaniem. W tej długiej wędrówce od jaskini człowieka pierwotnego aż do pola bitew wojny światowej towarzyszył autorowi znakomity rysownik, którego liczne rysunki i mapy zdobią książkę i pogłębiają jej treść.

TOM II
Karol Hartl
ŚWIAT RZECZY WIELKICH I MAŁYCH
przekład **Rafała Makara**

Znamy moc wielkich i małych rzeczy, zżyliśmy się z nimi tak, że nie zdajemy sobie już sprawy, że każda z nich ma swoją długą i jakże ciekawą historię, będącą często motorem historii całej ludzkości. Dla tych, którym świat rzeczy nigdy nie był obojętny, napisał autor tę przepiękną, bogato ilustrowaną książkę.

TOM III
E. H. Schrenzel
BRACIA Z CAŁEGO ŚWIATA
przekład
Zygmunta Nowakowskiego

Przykuwając już od pierwszej stronicy uwagę zarówno młodego jak i dojrzałego czytelnika, prowadzi go autor aż na krańce ziemi, by pokazać, że pod maską milionów różnorakich zwyczajów i wierzeń wszystkich ludów, kryje się zawsze i wszędzie to samo prawdziwe oblicze człowieka.

Dalsze tomy w przygotowaniu

Cena każdego grubego tomu w pięknej sześciobarwnej kartonowej oprawie zł. 7.50

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w
Państwowym Wydawnictwie Książek Szkolnych we Lwowie



Wedle legendy, stąd miało nastąpić wniebowstąpienie Mahometa, podczas gdy miejsce wniebowstąpienia Chrystusa Pana znajduje się w meczecie na Górze Oliwnej ze śladami stopy Chrystusowej w kamieniu. Do późniejszej legendy popularnej w islamie dodany jest szczegół z archaniołem Gabrjelem. Otóż trzeba wiedzieć, że archanioł Gabrjel, ten sam który zwiastował Marji Pannie, ten sam dyktował Muhammedowi... Koran, był jego duchem świętym, jego natchnieniem. I oto wedle legendy ten archanioł przy wniebowzięciu Muhammeda, kiedy skała przyczepiła się do jego stopy aby unieść się z nim razem, mieczem odciął skałę od proroka, i to tu, właśnie tu w „Qubbat al-Mi'raj", czyli w Przybytku Wniebowstąpienia...

Ale nie tylko archanioł Gabrjel czczony jest w islamie. Wśród proroków uznanych przez islam i wielbionych w modlitwach są... Abraham, Mojżesz, Eljasz, Dawid, Jeremjasz i... Chrystus. Na górę Mojżesza odbywają się dorocznie wielkie uroczyste pielgrzymki... Jak Hagar, matka Izmaela, tak i Rachela i jej grobowiec (zresztą nie autentyczny) otoczone są najgłębszym szacunkiem wyznawców wielkiego proroka. Nie jest więc islam tak ekskluzywny i nietolerancyjny, uszczelniony... i pogański, jak to kłamliwie rozgłaszali i rozgłaszają jego antagoniści, a już ze szczególną zajadłością dzisiejsi antagoniści. Aby się o tem przekonać i to stwierdzić niezbicie, wystarczy turyście myślącemu i conieco orjentującemu się i w dziejowości mahometan, kilkogodzinne zwiedzanie właśnie Al-Haram al-Sharif... W pewnem miejscu od strony północnej jest znowuż arkada na pięciu smukłych, strzelistych kolumnach z grecko-romańskiemi kapitelami, a do niej przywarta i przyparta kazalnica-ambona, do której prowadzą wąziutkie, zgrabne schodki. I oto znów wedle legendy popularnej w islamie, w tem miejscu będzie się kiedyś odbywał przy końcu świata sąd ostateczny, którego to sądu przebieg całkowicie wcielono do wierzeń mahometańskich z Ewangelij... Kazalnica marmurowa nazywa się „mihrab".

Aleją starych, bardzo starych cyprysów przechodzi się do meczetu, jeszcze nie do głównego, nie do „Qubbat al-Sakhra", ale do mniej słynnego, do al-Aksa. Nie jest to świątynia klasycznego muzułmańskiego stylu, gdyż przerobiona z bazyliki justynjańskiej z pozostawieniem całej konstrukcji architektonicznej. Niezbyt efektownym portalem wchodzi się do wspaniałego wnętrza. Tu już obowiązuje normalny zwyczaj nakładania na stopy baboszów, czyli pantofli z liści palmowych. Z bazyliki pozostało w meczecie siedem naw oddzielonych kolumnami z kapitelami złoconemi akantami. Sufit podobny do sufitu w kaplicy Sykstyńskiej. W głębi, gdzie absyda, przepiękne płyty mozaikowe dokoła, no i znów „mihrab" do kazań, ale już arcydzieło skulptury z balaskami i poręczami całkowicie inkrustowanemi perłową macicą. Tak cała posadzka tej wielkiej siedmionawowej świątyni jak i połączonej z nią dawnej zbrojowni templarjuszów wykładana dywanami... przeważnie w tonacjach czerwiennych. Zgóry, gdzieś zwysoka, zwieszają się ciężkie złocone żyrandole. I nic więcej. I przez to że „nic więcej", że żadnej ornamentyki figuralnej, żadnych obrazów i bohomazów, żadnych skulptur, żadnych wotów, świecideł, lichtarzów, lampek, dzbanów, sztucznych kwiatów, bibelotów i bric-à-braców... właśnie przez to że już „nic więcej", to w sumie wywołuje wrażenie czegoś maksymalnie estetycznego i zbożnego równocześnie. Powaga, spokój, umiar, majestatyczność. Już tedy ta tak poprawnie i godnie z chrześcijańskiego Domu Bożego przerobiona świątynia maurytańska daje przedsmak i przeczucie tego co czeka pielgrzyma z Północy w słynnym „Omarze".

OMARA BUDOWAŁ MALEK

Zanim wejdziemy, trzeba sobie przypomnieć i przepowiedzieć nieco dat historycznych w manierze baedekerowsko-ollendorfowskiej... Jak stary? Ile może mieć wieków? Kto budował? Kto restaurował? Ile może zmieścić wiernych? Czy podlegał trzęsieniom ziemi? A może pożarom? Czy zawsze należał do muzułmanów? Jak drogocenne są skarby sztuki w nim nagromadzone? Co jest w „Qubbat al-Sakhra" (Domu Skały) najpiękniejszego? Co mówią słudzy tej świątyni? Gdzie jest jej włodarz?

Przy życiorysie nie będziemy się zbyt długo zatrzymywali.

Kiedy rozgromione zostało doszczętnie zdeprawowane (potęgą, bogactwem, wampiryzmem i pacyfizmem) Byzantine Empire, hufce rycerskie kalifa Omara zajęły i Jeruzalem. Było to krągło tysiąc trzysta lat temu. Zaczem tysiąc trzysta lat są tutaj indygenami czyli autochtonami. Spory czasu kawał: trzynaście stuleci! Byli tu czyli bydlili (bydlić — mieszkać) różni inni o najdziwaczniejszych nazwach jak pamięcią sięgnąć (4 000 lat w wykopaliskach), aż przyszli z Egiptu jedni tacy, pono spowodu trądu wysiedleni przez okrutnego faraona. A potem i ten Nabuchodonozor czyli Nebukadnezar (z opery Verdiego?) nastał, i znów w niewolę babilońską popadli, i znów wrócili, a potem zwykły sobie z tego „dominion" rzymski, poczem Bizancjum. A wtedy pierwsza właściwie patronka i protektorka chrześcijaństwa cesarzowa Helena. Od jej czasów jeszcze przez trzy wieki trzyma się bizantyjski „the Empire", ale wreszcie krach. Dom Bogu, przybytek Allachowi, chce na miejscu zwalonego chramu Salomonowego na górze Moriah budować Duce Omar, Führer Omar, ale właściwie buduje go dopiero następca Abdul Malek, syn (ibn) Marwana z familji Omajadów... Jest nawet relacja jak się to budowało, pióra episkopa Arculfa (670), już nie-Żyda oczywiście, bo biskupami jerozolimskimi bywali Żydowie tylko do r. 150 „post Christum". Trzęsienia ziemi były dwa, jedno w r. 746, drugie w r. 1034. Wnet po drugiem trzęsieniu przychodzą krzyżowcy (1099). Poczem znów odbiera sułtan Saladyn (1187). I znów krzyżowcy (1229). I znów wracają muzułmanie (1244). I odtąd już zostają na stałe. Kiedy rządzili krzyżowcy, meczet, zamieniony na kościół, nazywał się „Templum Domini". A kiedy wracają potomkowie Izmaela, cała Jeruzalem z powrotem nazywa się El Kouds. Kiedy Saladyn odbierał świątynię przez chrześcijan „sprofanowaną". odczyszczano ją pokrapianiem wodą... różaną, a róże były z Aleppo; dzisiaj także różaną wodą pokrapiają mnisi schizmatyccy za drobny datek pielgrzymów w Betlejem w bazylice, w kaplicy-krypcie Narodzenia...

Tyle w skrócie dziejowości.

Poczem nakłada się na nogi babosze i wchodzi do wnętrza: introitus.

DOM SKAŁY

Już pierwsze wrażenie, już pierwszy rzut oka: olśnienie. Jakżeż mało o tem wiedzą, jak to mało znają Europejczycy! Mówi się o Aja-Sofia, o kairskich, o aleksandryjskich meczetach, o Mecce, o Medynie, nawet w Casablance czy w Tunisie... Tripolisie, a o tym Omarowym jakże mało, jak niewiele! Taka to już reżyserja turystyczna, tak wycieczkami dyrygują kantory podróżnicze Cooka, no i wogóle kantory... W Jeruzalem King David-Hotel, potem Y. M. C. A.-Castle, potem to i owo, a na drugi dzień już do Tel-Awiw i pokazy cywilizacji (omal amerykańskiej), przeciwstawianej „barbarzyńcom z pustyni" (sic)... Z innych względów znowuż i nasi pielgrzymi (a pasażerowie z „Polonji"), mając tylko trzy czy pięć dni do dyspozycji, nakierowywani są wyłącznie do sanktuarjów chrześcijańskich, więc i czasu dla bisurmanów i pohańców nie starczy. A szkoda! Wielka szkoda! Boć to jest tu jednak symbol, objekt, dowód, dokument wielkiej, wspaniałej, imponującej cywilizacji! Z „pustynią" ten chram islamski nie ma nic a nic wspólnego! I nie „barbarzyńcy" to byli ci, co jak tysiąc innych meczetów, tak i taki Omarowy czy Melikowy postawić potrafili! Poco to tedy tak monotonnie a bezecnie pleść, wyplatać i drukować o tem arabskiem „barbarzyńswie"? Gdzież bowiem coś nie już równie ale przybliżenie pięknego na kuli ziemskiej wystawili pomniejszyciele tych Semitów, coprawda „konnych", a bywa że przeważnie na — oślicach i na — wielbłądach. Czyż nie przychodzi pomniejszycielom (zatajaczom) na myśl, że ten w Jeruzalem Al-Haram al-Sharif a na nim i Dom Skały („Qubbat al-Sakhra") wystawili przecież ci sami Semici, co zbudowali Alhambrę i tysiąc zamków i pałaców z „tysiąca i jednej nocy", ci sami co wynaleźli... alfabet i alchemję, co dali ludzkości (humanité, humanité!) początki i podstawy algebry, matematyki, chemji, astronomji, co wyhodowali pierwsi... żółte róże... i... stal damasceńską, a „barbarzyńskimi" rękami sporządzają najcudowniejsze koronki, adamaszki, jedwabie, ceramiki, fajanse, inkrustacje, mozaiki, arabeski, marokiny, bronzy, broń...

Meczet Omara, recte Dom Skały, godny jest zewszechmiar tych potomków Izmaela, genjuszem artystycznym hojnie obdarzonych a z krwi i kości (co tu ukrywać) rdzennych Semitów. W Europie architektoniczną jego konstrukcję naśladowały kościoły w Akwizgranie, w Metzu, w Laon, Temple-Church w Londynie i inne. Na płótno obrazów przenosili meczet Omara (na niewidzianego) Rafael, van Eyck i inni. Już wtedy więc świetna renoma otaczała bądźcobądź „saraceńską" czy „bisurmańską" świątynię.

Gdzież tedy i na czem polega urok tego meczetu?

Przedewszystkiem: przestronno, chłodno, mroczno... to pierwsza impresja. Majestatyczność. Wymiary potężne. Dość powiedzieć że ołowiana kopuła nie tylko nie przytłacza efektownością, ale raczej czaruje lekkością, bo proporcje ścian i dachów obliczone finezyjnie. Forma zasadnicza: oktogen, częsty w dawnem Bizancjum. Wedle bizantyńskich bazylik pierwotnego chrześcijaństwa skomponowano ten muzułmański... monoteizmu przybytek. Odrazu uderza w oczy: żadnego przeornamentyzowania. Dystyngowany umiar we wszystkich szczegółach i fragmentach. Plafon mozaikowy i rotunda w środku wspierają się na cudownej smukłości kolumnach z marmuru i porfiru, asekurowanych jeszcze granitowemi monolitami. Wielkich trzeba było i rafinowanych mistrzów sztuki aby tak obmyśleć to dostojne wnętrze! Dokoła centrum ołtarzowego zatoczony jest, określając z świecka po laicku, właściwie „promenoir" dywanami ścielony, gdzie modlą się rzesze i tłumy. W środku rotundy miejsce święte świętych, t. j. poprostu obwiedziony, przemisterną balustradą pokład skalny, skała, dosłownie skała i nic więcej... ziemia! fragment kuli ziemskiej... Duża powyginana tafla twardych głazów, uświęcona legendą, że na tej skale Izaak ofiarował syna swego Jehowie (Allachowi) i że Jakób, śpiąc pewnego razu, śnił tu swój sen o drabinie wiodącej do nieba. I nic więcej. Zaczem sacrosanctum islamu, to hołd i uczczenie... Starego Testamentu. Ale pod tą skałą, pod „Sakhrą", znajduje się jeszcze piwniczna krypta tajemna, lecz nie utajona, do której schodzi się po kilkunastu wąskich schodkach, podobnie całkiem jak w bazylice betlejemskiej do krypty Narodzenia. A w tej krypcie meczetowej miejsce, gdzie zgodnie z mitem modlili się i... prorocy żydowscy i modlił się... Mahomet do Allacha, i to tak żarliwie, że jeszcze dziś pokazują wyżłobienia w skale i ślady od uderzenia głową w głaz.

Kiedy wracamy z podziemia wilgotnego i ciemnego, nagórze w meczecie wydaje się jasno. Promienie słoneczne przesączają się do wnętrza przez szereg okien witrażowych, niepospolitego uroku, w kolorach szybek przeważnie modro-zielono-seledynowo-kobaltowych. Teraz dopiero widać wzdłuż ścian całego ośmiogranu fryzy z przepysznie kaligrafowanemi wersetami i cytatami z Koranu... Dokoła poniżej tafle mozaikowe, gdzieniegdzie reljefowo w kamieniu rzezane esy, floresy, motywy kwiatowe. Żadnych obrazów, a więc i żadnych bohomazów, których w świątyniach i kościołach innych religij natłok, i to przeważnie w najwulgarniejszym, bo w cerkiewnym guście. Żadnej wogóle figuralnej ornamentyki, a więc żadnych reminiscencyj człowieka czy bydlęcia. Wogóle żadnego blichtru ni szychu. Żadnych waz ani urn ani naczyń. Ani adamaszków ani brokatów. Ani lamp, lampek, latarek. Zwysoka z plafonów kasetonowych zwisają jeno kryształowe rozłożyste pająki przedziwnie lekkie mimo swej olbrzymiości. Kamienna mozaikowa posadzka w świątyni, cała kryta perskiemi i bucharskiemi kobiercami tej rangi że dosłownie „klękajcie narody".

„PERFIDE ALBION"

Toteż naród istotnie klęka i pada pokotem ludźmi w kierunku Mekki. Modlą się podobno się można przekonać, żarliwie, gdyż Allach na tym terenie między Egiptem i Syrją doświadcza ich dzisiaj mocno i gnębi prawie bezlitośnie. Strzelają do nich jak do wilków, psy na nich puszczają ze smyczy, wysadzają im domy w powietrze, setkami więżą i wywożą, na liche, biedne wsie nakładają kontrybucje. Czasem chłopu Bogu ducha winnemu, który ni wina ni alkoholu nigdy w ustach nie miał (Koran zakazuje) i mieszka w lepiance z „mułu", zabierają jedynego... „muła". Tak to bowiem wygląda dzisiejszość z ich strony, z punktu widzenia Semitów, wywodzących się od Izmaela. Oczywiście, całkiem inaczej od strony pobratymców, którym tu nawet w pobliżu Al-Haram al-Sharif dostęp wzbroniony. Źle im tu dzisiaj. Arabom źle i bardzo ciężko, ciężej niż było za panowania tureckich paszów, których przegnać stąd oni przecież (urodzeni wojownicy, partyzanci, guerillasy, insurgenci) Anglikom pomogli. A oto jak się wywdzięczają Europejczycy tym, których tu przecież 61% czyli 816 000, w czem zresztą 700 000 analfabetów — a więc ciemnych, nieuczonych, nieuświadomionych, więc chyba może... niewinnych, a w każdym razie nie w pełni odpowiedzialnych...

Teraz wzięli im w jasyr wszystkich ważniejszych przywódców powstania i odesłali na dalekie wyspy (dwa tygodnie drogi okrętem), a pan tej świątyni i włodarz, arcypasterz, tak jakby u nas prymas lub w Krakowie książę-metropolita, musiał uciekać na banicję, żeby życie ratować. I pustką stoi smutny dwór muftiego blisko autostrady na Skopus wiodącej, bo wielki mufti, potomek pono w prostej linji córki Mahometa Fatimy, musiał opuścić swoje miasto, swoich imanów, swoją kazalnicę („mihrab") i swój „Qubabt al-Sakhra" (Dom Skały). A jego wierni, osieroceni, nieszczęśliwi, srogością losów doświadczeni, modlą się. W „malowniczych" klęczących grupach, tu i owdzie porozrzucanych, półgłośno mruczą, przerabiają palcami na różańcach stuziarenkowych a czasem padają na dywany i biją czołami w dywany i jęczą i łzy obcierają... Ulemowie, czyli młodzi klerycy, w czarnych obcisłych chałatach, zapiętych pod brodę, chodzą od gromady do gromady i coś im szeptem mówią, może pouczają, może pocieszają, bo jęk żałosny rozbrzmiewa jeszcze głośniej, jeszcze tragiczniej. I bicie czołami w posadzkę.

Tak w tym meczecie.

A nie tak znów stąd daleko, za domami okalającemi Al-Haram al-Sharif, po drugiej stronie, lamentują znów i jęczą w modlitwach pogrążeni... inni.

W wąskim, ciasnym jakby tunelu, w labiryncie, błędniku domostw starego miasta, wznosi się wysoko stroma ściana głazów nierównych, spękanych, wyszczerbionych, chropowatych głazów. Wedle przestarych tradycyj, to jedyna uratowana część ściany z przewspaniałej, olbrzymiej, królewskiej świątyni Salomona, która zresztą nawiasem mówiąc miała być z cedrów wzniesiona. Kupił ten zabytek kilkadziesiąt lat temu za drogie pieniądze od tureckiego sułtana dobroczyńca z Londynu, „sephardim" Montefiore. Pod tą Ścianą Płaczu głównie w piątki zbierają się i oparci głowami o głazy, modlą się i popłakują. Już teraz tylko sami starsi. Posterunek policyjny w budce pilnuje i strzeże, aby ich nie insultowano i nie wyszydzano. Dawnemi laty mogli byli śpiewać chóralnie głośno. Teraz tylko raz do roku, w wigilję rocznicy zburzenia Jeruszalaim, śpiewają hebrejską przejmującą żałobną litanję... z VIII w. po Chr.:

Siedzimy samotnie i płaczemy, nad
czem i ja płaczę.
Siedzimy samotnie i płaczemy.
Nad Przybytkiem — ponieważ jest
zburzony.
Nad murami ogrodzenia — ponieważ
są rozwalone.
Nad miejscem najświętszem —
ponieważ jest spalone.
Nad dziećmi — ponieważ są
rozproszone.
Siedzimy samotnie i płaczemy, nad
czem i ja płaczę,
Nad królami którzy zostali
sponiewierani,
Nad naczelnikami którzy padli ofiarą
złoczyńców,
Nad krewnymi którzy zostali oddaleni,
Siedzimy samotnie i płaczemy, nad
czem i ja płaczę...

I ten obyczaj lamentacji pod Ścianą Płaczu trwa tak już dziesiątki lat. Nawet dla całkiem obojętnego czy niechętnego jest czemś dogłębnie przejmującem. Po dłuższej obserwacji przychodzą jednak pewne refleksje. Przecież w tem jest coś bezwzględnie irracjonalnego, niepojętego u ludzi rzekomo tylko praktycznych, merkantylnych, doczesnych, atranscendentalnie myślących kategorjami tylko ziemskimi. Skądże te treny i te gorzkie żale za jakąś świątynią, nigdy nie widzianą, legendarną, mityczną? Czyż możliwa do rozbudzenia jest taka egzaltacja patetyczna dla czystej fikcji, dla czegoś całkiem nierealnego, wyimaginowanego?

SALOMON = SULEJMAN, HARUN = AARON

I wtedy nasuwa się pewna może dziwaczna a może niedziwaczna hipoteza. Nie, to nie może być zgryzota za utraconą czy kiedyś zburzoną świątynią. To za czemś innem. To desperacja **podświadoma** za utraconą harmonją z najbliższymi rasowo pobratymcami, to przeczucie podświadome czegoś niedobrego i złowróżbnego, to żal za zerwanemi wszystkiemi już nićmi zgody, to niepokój nadchodzących czasów.

Bo przecież mogło być i tutaj całkiem, całkiem inaczej.

Jakżeż bywało zgodnie, przyjaźnie, spokojnie z ludźmi tej samej rasy, z Arabami, coprawda nie na tym wulkanicznym gruncie, ale w zamorskiej, dalekiej... Hiszpanji! Przez kilka wieków długi ciąg niezamąconej symbiozy, osmozy, asymilacji, harmonji. Wierzyćby się temu teraz nie chciało, gdyby się nie czytało czarno na białem: „Kiedy Arabowie w 715 r. zajęli Toledo, już się tam rozwinęło wielkie siedlisko żydowskie. Stosunki tamtejszych Żydów z nowymi zdobywcami były bardzo bliskie, rodzinne. Z wielką gorliwością i zamiłowaniem Żydzi studjowali wtedy język arabski i kulturę arabską, astronomję, geometrję, filozofję, poezję i sztukę arabską, które wywarły wielki wpływ na rozwój duchowy i społeczny Żydów hiszpańskich wogóle i toledańskich w szczególności. Żydowska asymilacja kulturalna z ludnością arabską zaszła tak daleko, że nie tylko żydowskie dzieła naukowe, filozoficzne i poetyckie, lecz nawet „pinkas" (księga) ówczesnej gminy toledańskiej napisany został po arabsku" („Nasz Przegląd" 1936).

Osiem wieków! Osiem wieków aż do zdobycia Granady... trwała ta, rzec można idylla, „aurea aetas", miodowe miesiące. Za kalifatu Abderamana ministrami bywali i wielkorządcami i doradcami! Łączyło ich poczucie wspólnoty rasowej, łączyły nauki, sztuki, kult piękna. Imiona bywały te same, Aaron — to Harun, Jussuf — to Józef, Ibrahim — to Abraham, Sulejman — to Salomon... Nie nazywało się wtedy Arabów „barbarzyńcami"... I znowu wierzyćby się temu nie chciało, gdyby się nie czytało czarno na białem: „Panowanie arabskie było epoką rozkwitu Hiszpanji, tak pod względem materjalnym jak i duchownym. Arabowie stworzyli obszerny system sztucznego nawodnienia, dzięki któremu kraina miała zapewnione obfite urodzaje. Rozwinęły się rzemiosła. Ludność wzrosła do 30 miljonów mieszkańców. Uniwersytety arabskie w Hiszpanji były jedynemi uczelniami europejskiemi, w których studjowano matematykę, przyrodę i medycynę, podczas gdy w pozostałej Europie panował mrok średniowiecza. Istniejące w Hiszpanji północnej państewka chrześcijańskie były w porównaniu z muzułmańską Hiszpanją pogrążone w barbarzyństwie" („Nasz Przegląd" 1936).

Zaczem tedy Arabowie nie byli wówczas „pogrążeni w barbarzyństwie"... a panowanie arabskie to... epoka rozkwitu tak pod względem materjalnym jak i duchownym, a „stosunki były bardzo bliskie, rodzinne", a... „z wielką gorliwością i zamiłowaniem Żydzi studjowali wtedy język arabski i kulturę arabską".

Ale bo też nie było wtedy, jeszcze nie było w tych rozmiarach dzisiejszych tego... co się nazywa... **„perfide Albion"... „Isle of Pharisees"...**

A teraz?

Mogą sobie powiedzieć z dantejska: „Nessun maggior dolore que ricordarsi del tempo felice nella miseria".

Modlą się i opłakują swoją ciężką mizerję, niedolę, sponiewieranie, udręki, prześladowania... przed ścianami „Sakhry" (Skały)... jedni.

I modlą się i lamentują pod Ścianą Płaczu drudzy...

I zza każdego węgła, zza każdego rogu ulicznego w Jeruzalem, zza każdej skały w Palestynie przytłumione okrzyki: „Nimbasch al Jahudim!".

Albowiem „Szatan posiał między nich kąkol nienawiści", wedle zgodnie jednobrzmiącego określenia malowniczego w Torze, w Ewangeljach, w Koranie... „I ta niedola, zamiast ich połączyć, zaczęła wśród nich jakieś jady sączyć" — jak pisał w El Arisz sto lat temu... Juljusz Słowacki. Minęły czasy kalifów Abderamanów. Zerwane lub wysadzone w powietrze wszystkie mosty porozumienia i zgody. Zawziętszej, zażartszej, zajadlejszej, zapieklejszej wrażdy niż między tymi jednej rasy pobratymcami wyobrazić sobie nie można. I ludzie giną.

Mury zostają.

A wśród tych murów niezapomnianie dostojny, piękny, pański Al-Haram al-Sharif.

Adolf Nowaczyński.



Ściana Płaczu

ZBIGNIEW GRABOWSKI

zdjęcia AUTORA

TEMATY NAPOCZĘTE

List z Londynu

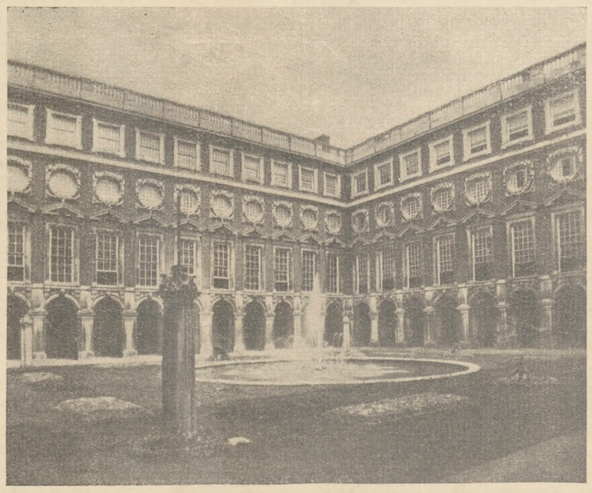
Londyn, w marcu 1938.

FAŁSZYWE POJĘCIA

Potykanie się na fałszywych wyobrażeniach — oto pierwsze stadjum pobytu w Anglji. Los ten przypada w udziale nie tylko turystom, dobijającym po raz pierwszy do tej egzotycznej wyspy, ale także i tym, co już ją odwiedzali i byli się z rzekomym synonimem kontynentalnym. „Wygoda" angielska, która mniejwięcej zbliża się do słowa „komfort", nie pokrywa się z pojęciem komfortu europejskiego jako czegoś luksusowego, nowego, błyszczącego niklem i kaflami. Złośliwy powie nawet, że Anglik stworzył to słowo wogóle na wywóz, ale nie będzie miał racji. Albowiem „wygoda" w Anglji istnieje, tylko inna kwestja dla kogo właśnie stworzyła pojęcie sportu. Szerokie masy w Anglji mają w rzeczywistości nader luźny kontakt z czynnem uprawianiem sportu i stoją daleko wtyle poza



Kontrast nowoczesnych bloków i piętrowych domków w dzielnicy St. John's Wood w Londynie



Dziedziniec z fontanną w Hampton Court Palace, rezydencji Henryka VIII, pod Londynem

usportowieniem mas Rzeszy czy Szwajcarji lub Skandynawji. Rozumieją natomiast ducha sportowego i animują się sportem. Ale jakim sposobem? Przeważnie sporkami wprost przygnębiające. Człowiek kontynentu czuje, że nigdy się na ten poziom nie dostanie. Chyba że zrobi majątek w Anglji.

Linja polityczna, ideologja partyjna — to znowu pojęcia, które w Anglji posiadają zgoła inny walor. Dlatego to obserwatorzy europejscy mylą się ustawicznie



Dwór Glyndebourne, należący od 400 lat do rodziny Christie; obecny właściciel Glyndebourne powołał własnym sumptem do życia operę, wznosząc osobny budynek tuż przy dworze: „The Glyndebourne Opera" posiada niezwykle wysoki poziom i zyskała sobie miano „angielskiego Salzburga"



Promenada w Hyde Parku w Londynie



Kew Gardens, jeden z najpiękniejszych parków Londynu



Stara rezydencja podparta rusztowaniem i wtłoczona między dwa nowoczesne bloki w dzielnicy St. John's Wood w Londynie



Nad stawem w Regents Parku w Londynie



Fragment dworu w Glyndebourne



Wśród drzew i łąk Kew Gardens pod Londynem

świecie przekonani, iż znają Anglję do gruntu.

Sprawiedliwość każe przyznać, że owe złudzenia na temat Anglji stworzył — kontynent. Jeżeli zaś Anglja przyczyniła się do umocnienia tych fałszywych wyobrażeń, — według terminologji Bacona tyjest ona dostępna i ile kosztuje. Ale też te sfery, które lansowały dane pojęcia oraz urabiały opinję kontynentu o Anglji, przeważnie nie pytały ani o to ani o tamto.

W wielu wypadkach Anglja, macierz pewnych idej i pojęć, pozostawiła roztem o charakterze zawodowego cyrku, powołanego świadomie do zaspokojenia apetytu tych właśnie tłumów. Dobrze sytuowane klasy trwają przy swojem pojęciu sportu jako **enjoyment.**

w ocenie odruchów angielskich i zrozpaczeni zwalają wszystko na „perfidję Albjonu". Anglik nie rozumie tego słowa, albowiem uważa że poprostu zmienił zdanie: — sytuacja wygląda dzisiaj inaczej,

powych „idola fori", — to w sposób bardzo nieznaczny. Błędy w ocenie i pomyłki na temat Anglji wynikają w wielkiej mierze z faktu, iż to samo pojęcie ma na kontynencie inny walor i sens aniżeli w Anglji.

wój ich i udoskonalenie innym, sama zatrzymując się przy staroświeckich zaczątkach. Tak jest np. ze sportem, gdzie na wszystkich prawie odcinkach Anglję ubiegły kraje kontynentu, ponieważ nie chciała się ona zgodzić na zasady upra-

tylko to — to także działanie prawa kontrastu w tym osobliwym kraju kontrastów. Obok wielkiego oddechu Imperjum — małomiasteczkowe „moja pani...". Obok doków, gdzie ładują statki oceaniczne ze wszystkich stron świata (tutaj

I sczasem ujrzymy w tem nawet pewien sens i logikę: w takich właśnie małych miasteczkach, w starodawnych domach wsi i prowincji krzewią się najbujniej marzenia o wielkim świecie. Te marzenia nie spalają się bezpłodnie w An-

wiania sportu metodycznie, naukowo, gromadnie i pod kontrolą. Sport w Anglji pozostał rozrywką — należy go **enjoy,** ale nie posuwać w kierunku specjalizacji. Oczywiście, tak pojęty sport jest przywilejem pewnej kasty — ale ona

Tak np. wierzymy, że słowo „komfort" jest pochodzenia angielskiego przynajmniej jeżeli chodzi o treść. Dla kontynentu Anglja jest oazą wszelakiego komfortu. Ale oto okazuje się, że nawet znaczeniowo słowo **comfort** nie pokrywa

Podobnie pojęcie bogactwa z kontynetu traci swój wdzięk w Anglji. Oto np. dowiadujemy się z procesu o szmugiel klejnotów z Francji, iż pewna skromna dama obdarowała swego męża spinkami do mankietów na drobną sumę 400 funtów, za co małżonek zrewanżował się jej kolją na 2 300 funtów. Gazety, które omawiają proces, zaznaczają ze współczuciem, iż „they were not rich people". Widać z tego doskonale, iż **rich people** zaczyna się w Anglji na innym poziomie aniżeli na kontynencie. Można zajmować mieszkanie, którego czynsz miesięczny wynosi 70 funtów, ale to nie znaczy żeby się należało do rzędu **rich people.** Pojęcie bogactwa jest w Anglji bardzo rozciągłe — w zestawieniu z naszemi stosunwięc nie mogę pozostać na tem samem miejscu. Krytyk zagraniczny nie rozumie mechanizmu działania olbrzymiego organizmu, który cierpi na przykrą chorobę: **vulnerability.** Nie wie, że organizm ten reaguje według własnych praw, tak zmiennych jak woda mórz, które oblewają Imperjum.

Komfort, sport, bogactwo, polityka, to jedynie przykłady wyrwane z brzegu. Jest ich więcej, jest ich legjon. Człowiek z kontynentu łamie sobie głowę w poszukiwaniu rozwiązania: więc jakaż jest naprawdę ta Anglja? Czy wszystko, co się u nas o niej czyta, pisze i mówi, to wymysł? Boże, jakież rozczarowanie!

Anglja żąda przezwyciężenia tego rozczarowania, które jest prostym wynite słowa nie są frazesem ale prawdą, którą czujemy pięciu zmysłami) — zaciszne **villages,** staroświeckie **inns,** idylliczne **country houses.** I to i tamto jest Anglją. Te same gazety, które przynoszą doniesienia o kłopotach Imperjum od Augji. Są spełniane.

Musimy odrzucić nasze kontynentalne miary i wagi, uczyć się Anglji odnowa, składać powoli zdobyte elementy. Trzeba liczyć, mierzyć i ważyć według tutejszych norm: yardów, stóp, **stone**'ów.

SKROMNE FRONTONY

Już ponure pudła, utrzymujące komunikację między brzegiem Francji a Anglji, stanowią przedsmak rozczarowania. Te brudne krypy pobierają słone ceny za przejazd a transport samochodu do Anglji na takiej odrapanej nawie kosztuje 5 funtów. Ale okręty te mają monopol i będą go miały przez lata, aż się rozpadną. Anglik bowiem nie inwestuje tam gdzie nie trzeba.

I tak samo zaskakują turystę małe i chybotliwe wagony kolejowe, gdzie jest uczciwie brudno a na szybach można kreślić pamiętniki. I to są słynne koleje angielskie? Po schludnych wozach Niemiec czy Szwajcarji, po spokojnym szyku kolei w Holandji czy Szwecji, te niepewne wagoniki wydają się nam wprost groteskowe. Ale są to linje prywatne a nie koleje państwowe — a przedsiębiorstwa prywatne nie zamierzają inwestować tam gdzie można się bez tego obejść. Nawet w angielskim sleepingu marzniesz, bo centralne ogrzewanie chronicznie nie działa a zasada angielska mówi, że „fresh air doesn't hurt" (świeże powietrze nie szkodzi). Zasada ta, połączona z kultem przeciągów (wspomnienie domów wiejskich), jest wcielana w życie tak dokładnie, że w szpitalach angielskich spory procent operowanych umiera na zapalenie płuc.

Angielski wagon restauracyjny na przeciętnej linji urąga czasem także temu pojęciu. Natomiast rozmaite „Golden Arrows", gdzie w pierwszej klasie rozpiera się klasa posiadająca, są naogół bez zarzutu. Zgodne jest to z zasadą kontrastu angielskiego, który obserwujemy także w lokalach, hotelach, restauracjach: albo bardzo dobrze i straszliwie drogo, albo bardzo źle.

Niektóre dworce angielskie wydadzą ci się godne Bałkanów, ale nie należy zapominać że są to także przedsiębiorstwa prywatne. Gdzież wspaniałości marmurowego dworca w Medjolanie, gdzież rozmach hal w Duisburgu czy Düsseldorfie albo imponujący ład i celowość dworca w Zürichu? Tak, frontony w Anglji są skromne, nic nie znaczące. Budował je w Anglji kapitał prywatny z tą myślą ażeby interes szedł, ale nie poto żeby ludziom było zbyt wygodnie i za pięknie. Dworzec jest czemś do przyjazdu lub wyjazdu — i kwita. Estetyka w rzeczach businessu wydaje się Anglikowi dalej jeszcze czemś nie na miejscu.

Frontony są skromne, odrapane, ale za temi frontonami tkwi pieniądz. Siedzi on w niepozornych domach, gdzie brudna i tania tabliczka mówi, że tu właśnie mieści się taka a taka firma o światowej sławie. W Warszawie zajmowałaby ona conajmniej gmach rozmiarów Banku Gospodarstwa Krajowego. W Londynie wędzi się ona w ciasnej, brudnej i niewonnej uliczce. Nie dałbyś trzech groszy na pierwszy rzut oka za przedsiębiorstwo, gdzie na schodach wydeptanych i czarnych od brudu rozbijasz sobie nos pociemku, gdzie w poczekalni krzesła grożą upadkiem a na stoliku leżą potargane pisma, gdzie urzędnicy w staromodnych tużurkach pracują przy oświetleniu gazowem na pulpitach, ratowanych książkami podłożonemi poczciwym zwyczajem pod nogi mebla. Znajdziesz w Londynie i poza Londynem firmy, gdzie gryzmoli się jeszcze gęsiemi piórami, gdzie klekocą maszyny do pisania dawno już zapomnianych marek, a urzędnicy mogliby pozować odrazu do sztychów do powieści Dickensa. Ale w tych ciemnych i brudnych biurach, w tych stęchłych izbach — leżą dyskretnie miljony zbierane od Hong-kongu aż po Aberdeen. Przedsiębiorstwa te mogłyby wystawić sobie pałace, ale tego nie robią. Uważają, że byłoby to w złym guście: nuworiszostwo. A może działa tu także hamulec przesądu? Może są przekonane że w nowym gmachu jużby się tak nie wiodło?

Jesteśmy stanowczo zepsuci nowoczesnym komfortem, totalnym rozmachem i pysznemi frontonami. Nie smakuje nam i niecierpliwi ta Anglja, która powoli przebudowuje, sztukuje, czepia się płotu tradycji. Do licha, — klniemy pocichu, — czy oni muszą pozostawać tak strasznie wtyle? Nie, nie muszą. Ale się nie spieszą. I dlatego w okręgu czarnej nędzy, — **black areas,** — w takim Newcastle nowe domy dla robotników są w olbrzymiej mierze kropla w kroplę podobne do starych piętrowych ruder, a w parlamencie posłowie mówią spokojnie, że te nowoczesne wymysły ze słońcem, wielkiemi kubami bloków i t. d., to wszystko głupia moda i że biedni ludzie „są daleko szczęśliwsi w swoich brudnych domkach, gdzie w ogródku mogą chować króliki i kury".

Frontony pozostają skromne. Jarzyniarz w dzielnicy gdzie mieszkam, posiadający sklep godny Baranowicz, dysponuje jednak wspaniałym samochodem ciężarowym do rozwożenia towaru. Jest sam czarny jak węglarz, ale wieczorem jedzie do domu ładną limuzyną. Jestem przekonany, że gdy umrze, zostawi po sobie sporą sumkę i że jego **last will** opiewać będzie na grubych parę tysięcy funtów. Lektura tych **wills,** ogłaszanych w pismach, należy do najciekawszych w Anglji. Jest to osobliwa rewja bogactwa ujawniającego się nieraz dopiero po śmierci. Spotykamy w tym wykazie stare panny żyjące po spartańsku w nędznych oficynach — ale legaty ich na szpitale (które w Anglji utrzymywane są wyłącznie z prywatnych datków i subsydjów), opiewają na 10 000 lub 50 000 funtów. Znajdziemy tam dziwaczki, zapisujące setki tysięcy na towarzystwa ezoteryczne, albo zmurszałe **spinsters,** przekazujące samochód i piękny legat dla służącej, a 5 000 funtów dla piesków. Te **wills** mówią najlepiej, jakie olbrzymie zasoby posiada ten kraj.

Gdy przed paru miesiącami ogłosiłem wspomnienie o kaznodziei, pacyfiście i człowieku wielkiego serca Dicku Sheppard i nazwałem go świętym — przyczepili się do mnie znajomi polscy w Londynie, iż „mój święty" zostawił 40 000 funtów w spadku.

— Ładny mi święty — mówili z pogardą obywatele z kraju, gdzie pieniądz raczej dyskwalifikuje moralnie.

— W Anglji opłaca się nawet być świętym — odpowiedziałem stoicko.

OPŁACA SIĘ

Tak, opłaca się. W tym kraju opłaca się także dobrze pisać, malować czy grać. Anglja jest dalej rajem dla artystów — dobrych artystów. Średni artysta nie ma czego szukać w Londynie, chyba że potrafi nagiąć się do innej kategorji potrzeb: do taniego stylu mas, do tego niesamowitego **hubbish,** jaki znajduje w Anglji doskonały zbyt. Znowu to samo prawo: albo poziom bardzo wybitny, albo najniższy poziom schlebiania sentymentalnej tandecie.

Wyzyskiwanie naiwności opłaca się znakomicie w tym trzeźwym z pozoru kraju. Medjumizm, latające stoliki, hipnoza, cudowne kuracje, wszelkie tajemnicze zaklęcia, środki i leki — cieszą się w Londynie pokupem. Opłacają się wszelkie oszukańcze preparaty farmaceutyczne, cała kurfuszerka czyli **quackery medicine,** niezliczone **fruit salts,** leczące nieznane nam choroby, jak **night starvation;** na tę **quackery medicine** rzuca Anglja rocznie ponad 28 miljonów funtów.

Bo Anglja lubi się niesamowicie leczyć, a hipochondrja i chorzy z urojenia są tutaj zawsze w modzie. Cudotwórcy w zakresie pigułek i proszków prosperują, ale liczba chorych na reumatyzm rośnie zastraszająco i dzisiaj blisko miljon ludzi na wyspie jest złamanych dokładnie reumatyzmem. Ludzie leczą się na tę plagę, tak jak leczą się na **indigestion** i **constipation,** — choroby dyskutowane swobodnie w towarzystwie, — ale nie poprawiają ani na cal jednego ze źródeł złego: straszliwej kuchni angielskiej. Sfera posiadająca nie skarży się, bo dba o jej żołądek francuski kucharz albo droga restauracja, prowadzona przez Francuza czy Włocha. Proletarjat je ohydnie, poniżej poziomu pozbawionych rzekomo środków żywności Niemiec. I dzieje się to w kraju, gdzie przelewa się od nadmiaru najlepszych produktów. Brak wyobraźni, pogarda dla niemęskiego rzemiosła kucharskiego? Może. W rezultacie jednak kuchnia angielska pozostaje dalej najdoskonalszym systemem psucia najlepszych środków żywności w świecie.

Staromodna wyda się nam cała medycyna angielska, gdzie lekarz w czasie narady przypomina wytwornego starszego pana, ale nie ma w sobie nic z naukowej rzeczowości fachowca kontynentalnego. Odwieczne są zwyczaje tej kasty, którą J. A. Cronin śmiało zaatakował w powieści „The Citadel". Kasta ta, oparta na kalkulacji i businessie, zarabia dalej zawrotne sumy. Chorowanie jest w Anglji bardzo drogą przyjemnością, a opieka szpitalna dalej niebywale zacofana. I znowu kontrast: posiadający leczą się zagranicą albo w prywatnych klinikach, szeroka masa jest niezaopatrzona zdrowotnie. Coraz częściej odbywają się alarmy na temat fatalnego stanu zdrowia publicznego, lichych zębów, zapuszczonych chorób, u tych miljonów potulnych heroicznie bytujących w zasmolonych domach. Jeden z raportów ministerstwa zdrowia stwierdził przerażający fakt, że w bogatej Anglji połowę ludności zaliczyć należy do kategorji niedożywionych.

Ale dobry i drogi lekarz ma dalej w Anglji powodzenie i bierze sobie spokojnie 5 gwinei za poradę. Dobry adwokat siedzi na pieniądzach, a nie brak kancelaryj adwokackich zarabiających do 30 000 funtów miesięcznie. Dobry pisarz ma przed sobą istotnie nieprzebrane możliwości. Potęga języka, który za nim stoi, sprawia, że powodzenie jego w Anglji przechodzi powrotną falę na terenie U. S. A. Nakłady angielskie są dla nas czemś fantastycznem, jak i honorarja lub zaliczki, które się tu daje uznanym autorom. Dostatni byt autora w modzie lub autora serjo jest w Anglji czemś tak samo przez się zrozumiałem, jak w Polsce stały brak gotówki u ludzi pióra. Autorzy angielscy nie gardzą też zasadniczo żadną okazją, pozwalającą im jeszcze pomnożyć swoje **royalties** — tak zwą się honorarja autorskie w Anglji, które są w naszych oczach „under Eastern eyes", iście królewskiemi apanażami. Wielkie nazwisko pajawia się w Anglji w zdecydowanych brukowcach, albowiem poza momentem finansowym decyduje tu także **publicity.** Rosnące zrozumienie dla niej w Anglji jest niewątpliwie nalotem amerykanizmu. Autor angielski nie ma naogół przesądu na temat t. zw. zniżania się do tłumu.

W czasach, kiedy wpływy pióra i słowa drukowanego zmalały niesłychanie, kiedy niezależne zdanie zgniecione zostało przez orgje propagandy i inspirowanych a raczej komenderowanych artykułów — dziennikarz, publicysta i pisarz angielski są dalej w pozycji wyjątkowej. Ich zdanie coś waży. Wiedzą też oni, że mają jeszcze wpływ na masy. Dlatego na łamach pism nie wahają się zabierać głosu najwięksi mężowie stanu (u nas inaczej). Dlatego też — z drugiej strony — żaden redaktor pisma angielskiego nie może lekceważyć głosów swoich czytelników. „Letters to the Editor" są uświęconą instytucją prasy angielskiej i stanowią doskonały barometr nastrojów ogółu. W Anglji istnieje bowiem dalej t. zw. opinja publiczna, chociaż nie tak łatwo jest ją dostrzec. W momencie jednak podrażnienia jej czy sprowokowania, reaguje ona energicznie a czasem wręcz groźnie dla rządu. Nie jest ona zjawiskiem prostem, przeciwnie — momenty sentymentalne i uczuciowe mieszają się w niej zabawnie z elementami rozsądku, rachuby i kalkulacji. Oburzenie angielskie na plany podziału Abisynji było niewątpliwie natury sentymentalno-uczuciowej. Zgoda na bierne stanowisko Anglji w sprawie wojny hiszpańskiej wynika niedwuznacznie z trzeźwej kalkulacji, że obie strony walczące w Hiszpanji nie są nadmiernie sympatyczne i że lepiej trzymać się zdala od tego podejrzanego bigosu.

LONDYN TO JESZCZE NIE ANGLJA

Frontony są stare, zmiany zachodzą powoli. Londyn buduje się stylem warszawskim: w niektórych punktach zwaliste **blocks of flats, luxurious courts,** stylu **slums,** piętrowe domki. Najdziwaczniejsze style walczą i potykają się na ulicach Londynu. Za imponującemi gmachami przycupły sobie pasaże, uliczki i przesmyki nędznego pochodzenia. W dzielnicach rezydencyjnych, w Mayfair czy przy Regents Park, hasa sobie w bocznych uliczkach dziatwa tak zaniedbana i obszarpana jak w Neapolu. Ale ta niereprezentacyjna uliczka zachowuje swój humor wysokiej miary, a dowcipy londyńskich **cockney**'ów godne są notowania.

Nędza Londynu, a jeszcze bardziej centrów przemysłowych, jak Newcastle czy Leeds, jest zastanawiająco cierpliwa i nie posuwa się do głośnych protestów. Uznaje ona milcząco hierarchję społeczną i rozczula się chętnie nad swoją błyszczącą **society.** Ta nędza jest nie tylko cierpliwa, ale i grzeczna. W marnych sklepikach ludzie czekają swojej kolejki bez rozpychania się i przekrzykiwania. Ta sama cierpliwa grzeczność uderzy cię w ruchu ulicznym Londynu, gdzie panuje pełne poszanowanie cudzego samochodu i gdzie cały ruch reguluje bardziej uprzejmość i cierpliwość aniżeli sygnały świetlne.

Tak, grzeczność angielska wywodzi się z cierpliwości, i przy niej grzeczność francuska wyda się nam dziwnie nerwowa. Możnaby powiedzieć, że Francuz jest zbyt niecierpliwy, ażeby być w stu procentach grzecznym.

Cierpliwość ta, iście wschodnia — chińska? — przybiera formy patologiczne u bezrobotnych, którzy popadają w tępą apatję, przerywaną wizytami w **pubs (public bar).** W **black areas** węglowych — haniebnych ropieniach nędzy — oglądamy odwrotną stronę tej pięknej cierpliwości angielskiej.

Iście wschodnia... Tak, chwilami cały Londyn, który przypomina raczej **place of business** aniżeli celowo planowane miasto, wydaje nam się wschodni *). Takie Camden Town mogłoby śmiało figurować — jak mówią bywalcy w — Szanghaju. Ale na tem nie kończy się orjentalizm Londynu. Wpływy Wschodu są tu napewno większe aniżeli się przypuszcza, a kto wie czy cały charakter angielski nie jest subtelnie przeniknięty temi elementami. Brudy londyńskie, zaśmiecanie ulic. niechlujstwo autobusów, tramwajów, fałszywy przepych niektórych gmachów i wnętrz ze słynnym Lyonsem naczele, to cechy niewątpliwie orjentalne. Pogoń za jaskrawością stroju i przesadna kolorystyka twarzy u Angielek — nie licuje także z wyobrażeniem o ludziach Północy. Leniwe maniery i pozy, jakie obserwować można w lokalach, kawiarniach, na rozmaitych **parties** — przywodzą nam nieodparcie na myśl Wschód. Lenistwo i żyłka do uprawiania dolce far niente jest w Anglji szeroko rozpowszechniona.

Nie ulega kwestji, że angielską koncepcję pracy stworzyły warstwy panujące, które miały w żyłach ukryte przekonanie, iż w Imperjum jest zawsze dosyć niewolników. Nie znaczy to, ażeby sfera posiadająca nie pracowała — ale znowu praca ta wygląda inaczej aniżeli na kontynencie. „Nigdy nic nie rób, tylko organizuj" — radził pono swojemu synowi pewien mądry papa angielski. Przepracowywanie się uchodzi w pewnych sferach za mauvais ton. Robotnik i rzemieślnik angielski zdumiewają często przybysza z kontynentu osobliwą nonszalancją, ignorancją fachową i wyraźnem flejtuchostwem roboty. Służba domowa w Anglji naogół nie wysila się zupełnie — toteż warstwy posiadające sprowadzają służbę z zagranicy. Wydajność pracy w Anglji, a także pewne jej metody (np. starodawny sposób szorowania schodów i podłóg na kolanach) — wydają się nam równie dziwne jak podejrzane.

Ale ten sam Anglik, który nieraz przypomina żywo Polaka z jego skłonnością do lenistwa i wolnem tempem roboty — potrafi w chwili niebezpieczeństwa, w dobie **emergency,** pracować djablo ostro. Wyścig pracy, jaki narzucają i dopinguja ustawicznie systemy totalne, zaczyna się coraz bardziej dawać we znaki Anglikowi. Pracuje on dzisiaj stanowczo więcej, ale dalej nie uznaje kultu pracy. Wprowadzenie religji pracy nie miałoby szans powodzenia na tej wyspie. W denerwujących politycznie tygodniach współczuje się w Anglji uciśnionym urzędnikom Foreign Office'u, że nie mogą oderwać się w sobotę w południe od swoich biurek. Cóż za podłe czasy!

Orjentalny charakter Londynu podkreśla jeszcze bardziej nieład i przepchanie wystaw, orgje złego smaku w sklepach albo taki malowniczy zabytek jak Caledonian Market, największy chyba w Europie bazar i **rummel,** poczynając od starego srebra a kończąc na licytacji nadpsutych bananów. Doki londyńskie pachną zdecydowanie Wschodem.

Jakież rozczarowanie spotyka tego, kto szuka elegancji na ulicach Londynu! Szara masa męska ubrana jest gorzej niż w Berlinie. Czasami tylko da się zaobserwować prawdziwy szyk angielski: nonszalancko skrojona marynarka, unikająca bokserskiej sylwetki niemieckiej, odrzucająca watowane ramiona, ścieśnia ona raczej niż poszerza plecy; spokojny krawat, dobry kapelusz, czasem **bowler hat** i parasol. To elegencja niepozorna ale napewno kosztowna. Moda męska nie jest ani trochę orjentalna. Rasowy Anglik — w przeciwieństwie do Polaka — nie przesadza, nie chwali się ani w stroju ani w słowie, nie opowiada cudów o sobie. Raczej niedocenia, bagatelizuje: **underrates.** Podobnie w swoich tryumfach politycznych powiada Anglja skromnie: wyłabudaliśmy się. To **muddle through** jest zasadą tej polityki przypadku i instynktu, który wygląda tak staroświecko skromnie przy ogłuszających tubach totalnych sukcesów. Anglik uznaje jako sportsman element szczęścia i trafu nawet w polityce.

Zato masa kobieca Londynu kwitnie orjentalnie. Te peleryny z królików, prawdziwe gronostaje, płaszcze koronacyjne, fantastyczne ogrody i pióropusze na głowach, czerwone plusze, kotary i festony zawieszone na podstarzałych babach dekoltowanych bardziej niż śmiało — to czysty Wschód. Mało smaku, ale wiele barw.

Tak ubiera się większość — parter teatrów, niedostępny cenami dla t. zw. intelektualistów, a także tłumek pchający się do dancingów podłego gatunku. Popularny dziennik opowie nam zabawną historję o procesie pewnej kobiety z proletarjatu, która oskarżyła firmę X. Y. o uszkodzenie wzroku. Babina doczepiała sobie sztuczne rzęsy, bo chciała być tak **glamorous** jak Greta Garbo. Miała 47 wiosen na karku. Takich kandydatek na glamour są tysiące.

Podzi[illegible] jest potężnym wychowawcą [illegible] londyńskiej, a pod jego wpływem kobiety z warstw niezamożnych rzucają spory grosz na kremy, pudry i świetnie prosperujące **beauty parlours.** Kino dyktuje też niewątpliwie tani szyk w stroju kobiet.

Czyż niema zatem w Londynie dobrze ubranych kobiet? Są — ale nie pokazują się na ulicy. Tak jak bogactwo Anglji — pozostają dyskretnie we wnętrzach domów i kosztownych restauracjach lub **night-club**'ach.

Nie bądźmy jednak zbyt surowi dla Londynu, który głównie i przedewszystkiem chce służyć swojemu celowi: być światowym **place of business.** Przeżywa on teraz okres burzenia całych partyj, tworzenia nowych dzielnic. Z okresu kiedy na wszystkie strony rozłaziły się indywidualne domki, wille, rezydencje — wkracza to potwornie wielkie miasto w epokę wyrastania dogóry. Parcele w Londynie są zawrotnie drogie, a każdy metr trzeba cenić. Więc też Londyn przypomina dzisiaj młodzieńca w wieku mutacji, kiedy przydługie nogi i ręce sprawiają mu ustawicznie kłopot. Ta mutacja potrwa lata, albowiem niełatwą rzeczą jest przerobić 9-miljonowy kolos.

Ale Londyn to jeszcze nie Anglja. Kraj ten nie wysila się na miasta, a przynajmniej dotychczas się nie wysilał. Jego uroda spoczywa na wsi angielskiej — jego moralny kościec: **backbone,** tworzy dalej **country.** I w tem częściowo Anglja przypomina Polskę. Jak u nas, tak i w Anglji najlepsza kultura zachowała się we dworze, i z tych **country houses** szły energje twórcze.

Podziśdzień dwór angielski jest potęgą. Wspaniałe zbiory obrazów, bibljoteki pełne białych kruków — oto skarby materjalne tych dworów. Swoboda, jaką zostawia się gościom, uspokajający tiktak tradycji, równe i spokojne bogactwo — oto atmosfera tych cudownych rezydencyj.

W tych dworach, jak i w domach małych prowincjonalnych dziur, spokojnych i zacisznych, — marzenie każdego emeryta, — oglądamy charakter angielski w jego możliwie czystej formie i mierzymy jego wypaczanie przez żywioł miasta. Albowiem pomimo wszystko Anglik czuje stale unję z wsią, i dlatego może parki Londynu są jakby wykrawkami szczerej wsi a nie ogrodami publicznemi w naszem pojęciu. Rasowy Anglik potrzebuje organicznie wypadu na wieś i przyzna chętnie, że Londyn wykoślawił wiele cnót angielskich. Za lat kilkanaście będzie ten Londyn liczył 12 miljonów ludności czyli blisko 1/3 zaludnienia Anglji, która wkracza w okres statyki populacyjnej. Anglja zdaje sobie sprawę, że zwichnięcie równowagi miasta i wsi zaczyna mieć coraz gorsze skutki i że upadek rolnictwa i rozwielmożnienie się **golf links** ma swoje ciemne strony. Ale dzisiaj już nie sposób pohamować procesu rozrostu miast.

Tradycja angielskiego **country house** nie umiera jednak. Wędruje ona do dominjów i kolonij. Tam tworzy ten leniwy w ojczyźnie Anglik rzeczy zastanawiające. Nie tylko przez wojskowe nieraz dokonania, jak nowa baza morska w Singapore czy inżynierskie cuda setek kilometrów **pipe-lines,** prowadzących ropę z Iraku do Jaffy, ale także przez stworzenie nowoczesnych dzielnic i miast. Miasta te są napewno bardziej nowoczesne i w naszem pojęciu komfortowe niż Londyn.

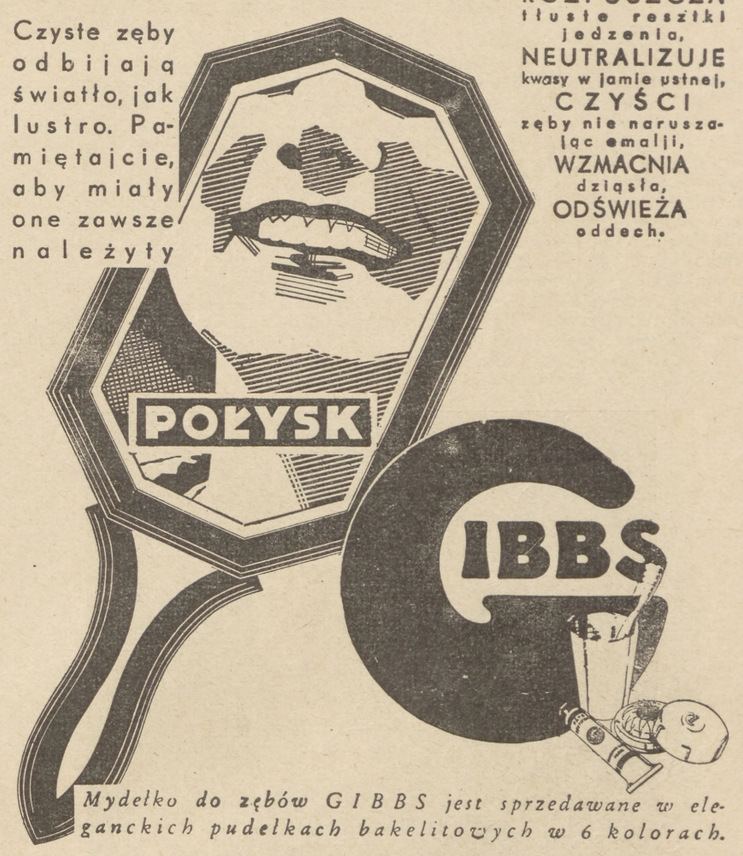
Pracy angielskiej nie możemy już mierzyć Londynem czy Anglją. Rozciąga się ona przez cały glob ziemski. Kultura **merry old England** rozprasza się, atomizuje i rozwadnia w olbrzymiem Imperjum. Na miejsce **English** przychodzi **British.**

Jako wspomnienie starej ojczyzny przenosi się w Imperjum nie tylko **cottage,** pnące się wino na murze, **evergreen, hall** i buzujący się **openfire.** Te wszystkie symbole zawierają dla Anglika pewną treść, jedynie dla niego zrozumiałą.

Dlatego trwa przy tych obyczajach. Stanowią one dla niego wewnętrzną a nie tylko pozorną unję z ojczyzną. Anglja, to nie tyle kraj co obyczaj — jak powiedział o niej bystry obserwator niemiecki Kurt von Stutterheim.

Zbigniew Grabowski.

*) Terminu „Wschód", „wschodni" i „orjentalny" używamy tu w szerokiem tego słowa znaczeniu. Chodzi o pewne właściwości i cechy, które podkładamy — nie zawsze może trafnie i zbyt ogólnikowo — pod pojęcie Wschód. Wyrażając się dokładniej: znaczy to, że elementy Wschodu i Południa przeważają w cytowanych przez nas zjawiskach nad elementami, które łączymy z wyobrażeniami Zachodu i Północy.



ŻEGLUJMY POD POLSKĄ BANDERĄ

Do malowniczych krajów Północy, Norwegji, Szwecji, Danji i Finlandji, prowadzą trasy tegorocznych wycieczek morskich na statkach transatlantyckich: „Piłsudski", „Batory" i „Kościuszko". Skandynawja w lecie, to raj dla turystów. Nasze transatlantyki, tylokrotnie opisywane, cieszące się dobrą sławą na obu półkulach, znakomicie wyekwipowane, w okresie letnim na pokładach swych gromadzą turystów polskich, którzy darzą je zawsze sympatją i życzliwością. Oto okazja, aby poznać naraz obydwa nasze nowoczesne motorowce: pierwsza wycieczka tegoroczna do Kopenhagi w maju przewiduje wyjazd na ms. „Batory", przyjazd na ms. „Piłsudski" do Gdyni! W programie wycieczek znajdujemy dłuższą podróż wypoczynkową na fiordy Norwegji i krótkie wypady do Kopenhagi i Helsinek oraz jedną wycieczkę do stolic Skandynawji. Niewielka ilość morskich wycieczek i ich tradycyjna frekwencja zalecają jak najszybsze zarezerwowanie kabiny na statku w biurach „Gdynia — Ameryka, Linje Żeglugowe" lub też w biurach podróży.

P. L. P. na wystawie w Londynie



Niedawno otwarto w Londynie międzynarodową wystawę próbek materjałów budowlanych. Polskie drewno, będące jednym z czołowych artykułów naszego wywozu do Anglji, reprezentuje na wystawie stoisko Polskich Lasów Państwowych. Materjały drzewne marki L Orzeł P zdobyły przebojem rynek angielski; drewno P. L. P. zaliczono do produkujących w świecie marek dzięki dobrej jakości i starannej obróbce.

Walory techniczne i estetyczne polskiego drewna zostały szczęśliwie podkreślone celową konstrukcją stoiska i artystycznem rozplanowaniem licznych eksponatów. Do budowy stoiska użyto dykty fornirowanej jesionem i wiązem. Przegródki wyłożone atłasowo lśniącym jaworem. Na ciepłem wiązowem tle rozmieszczono próbki tarcicy liściastej i iglastej, bale i deski z sosny, świerka, jodły, kantówki i fryzy z dębu, jesionu, buku i innych gatunków. W przegródkach mieszczą się próbki dykty olszowej, brzozowej, sosnowej i z innych drzew oraz wzory płyt stolarskich. Dół stoiska zdobią klocе dębowe, jesionowe, bukowe i jaworowe, przetarte na t. zw. bulsy używane do wyrobu mebli. Stoisko uzupełniają próbki skrzynek. Fotomontaż widoczny ugóry z prawej strony stoiska łączy lasy, a więc miejsce produkcji drzewa, z portem w Gdyni, skąd drewno produkcji P. L. P. odpływa w daleki świat. Wąska rama z czarnej gruszy obiegająca stoisko zamyka zharmonizowaną kompozycję artystyczną, która dzięki celowemu układowi uniknęła, mimo mnogości próbek, przeładowania, stwarzając plastyczny obraz licznych możliwości zastosowania polskich materjałów drzewnych.

Stoisko P. L. P. na wystawie londyńskiej nie tylko propaguje walory polskiego drewna, lecz reprezentuje wysoki poziom kultury plastycznej w Polsce, na którą złożyły się pomysłowość polskiego architekta i wysoki poziom fachowy polskiego rzemieślnika. Plastyczne i propagandowe wartości stoiska, zaprojektowanego przez inż. arch. Kraussów i wykonanego przez zakłady stolarskie Urbanowicza, podkreśla zgodnie cała prasa londyńska.

W. A. MAKŁAKOW

Lednicki, Rodiczew i sprawa polska

Artykuł niniejszy jest przeznaczony do księgi pamiątkowej, ku czci zmarłego w r. 1934 Aleksandra Lednickiego, którą grono przyjaciół i wielbicieli zmarłego wyda w najbliższej przyszłości. W księdze tej wezmą udział, oprócz W. A. Makłakowa, Ludwik Darowski, ks. P. D. Dołgorukij, Roman Dyboski, Włodzimierz Dzwonkowski, Stanisław Estreicher, Hipolit Gliwic, Adam Krzyżanowski, P. N. Milukow, T. W. Hessen, N. W. Teslenko, Antoni Wieniawski, Marjan Zdziechowski i inni. Artykuł Makłakowa otrzymała redakcja „Wiadomości Literackich" od prof. Wacława Lednickiego.

W. A. Makłakow, znakomity polityk rosyjski, jeden z najświetniejszych mówców sądowych i parlamentaruych Rosji przedrewolucyjnej, urodził się w Moskwie w r. 1870. Po ukończeniu wydziału historyczno-filologicznego uniwersytetu moskiewskiego, zdał jako eksternista egzaminy z zakresu wydziału prawa i uzyskał stopień kandydata do posad sądowych. Na jesieni 1896 r. zapisał się jako aplikant do Lednickiego. Pracował jak faktyczny pomocnik w gabinecie Lednickiego w ciągu roku, poczem rozpoczął praktykę samodzielną. Zdobył sobie szybko głośne imię, zwłaszcza jako jeden z najznakomitszych obrońców.

Wr. 1907 wybrano go na posła do II Dumy; mandat ten piastował również w Dumie III i IV. Po rewolucji został w r. 1917 ambasadorem Rządu Tymczasowego w Paryżu. Urząd ten sprawował w ciągu siedmiu lat; po śmierci M. W. Girsa, był prezesem Konferencji Ambasadorów Rosyjskich. Po uznaniu Sowietów przez Francję został prezesem Komitetu Emigracyjnego.

Począwszy od r. 1889 zamieszczał artykuły w następujących pismach: „Russkija Wiedomosti", „Russkaja Mysl", „Wiestnik Jewropy", „Moskowskij Jeżeniedielnik"; na emigracji pisuje w czasopiśmie „Sowriemiennyja Zapiski". Na emigracji ogłosił również trzytomowe wspomnienia polityczne „Własť i obszczestwiennost' na zakatie Staroj Rossii" oraz szereg świetnych rozpraw z zakresu kultury i literatury rosyjskiej.

Subtytuły pochodzą od redakcji „Wiadomości".



W. A. MAKŁAKOW

Byłoby rzeczą niedyskretną doszukiwać się przyczyn tego niezwykłego przywiązania, gdyby przyczyny te tkwiły wyłącznie w sferze osobistych sympatyj. Skąd się rodzą sympatje osobiste? Niekiedy z podobieństwa, niekiedy z kontrastu, a czasem wprost z przypadkowego kaprysu. I dlatego niewiele one nam tłumaczą. Banalne powiedzenie „dis-moi qui tu hantes i t.. d.", to tylko „odwrócony ogólnik" Bazarowa. Ale przyjaźń Lednickiego z Rodiczewem nie należy do tej kategorji; przyjaźń ta była oparta nie na osobistych sympatjach; wykwitała ona z politycznej jednomyślności i ze wspólnej pracy nad tem samem zagadnieniem, wypełniającem ich sumienia i dusze. To przyjaźń nawskroś ideowa i obu im przynosi zaszczyt. Korespondencja ujawnia tę właśnie stronę sprawy.

„RYCERZ WOLNOŚCI"

Z Rodiczewem zrosło się zaszczytne, chociaż według dzisiejszych pojęć staromodne, miano „rycerza wolności". Zasłużył na to miano. Był jednym z najjaskrawszych wzorów rosyjskiego **liberalizmu.** Obrońca wszystkich „poniżonych i skrzywdzonych" **(uniżennych i oskorblennych),** był oczywiście równie gorącym obrońcą i uciśnionych **narodów.** Nie on jeden był taki. Walka z uciskiem narodowym, obrona prawa narodów do stanowienia o sobie — figurowały w programach wszystkich rosyjskich partyj opozycyjnych. Ale w stosunku do tej sprawy istniały odcienie. Dla jednych nasza oficjalna polityka wobec narodowości była tylko najsłabszym punktem rządu, który można było „wyzyskać" w walce z władzą. Dla innych abstrakcyjna „doktryna" stała ponad wszystkiem, i nie myślano wcale o praktycznych skutkach jej zastosowania w wieloplemiennej Rosji. „Périssent les colonies, plutôt qu'un principe" — jak mówił niegdyś Barnave. W podejściu Rodiczewa do tego zagadnienia było coś innego. Rodiczew był szczerym patrjotą „wielkiej Rosji", był — jakby dziś powiedziano — „imperjalistą". Całość i wielkość Rosji były dla niego symbolem wiary politycznej; i właśnie **dlatego** potępiał politykę narodowego ucisku. Obrona prawa i interesów mniejszości narodowych była dla niego postulatem przedewszystkiem **rosyjskiego patrjotyzmu.** Wierzył, że olbrzymie imperjum rosyjskie może się ostać i rozwijać tylko pod tym warunkiem, jeśli w sposób właściwy rozwiąże **u siebie** kwestję **narodowościową.** Nie dość na tem; to rozwiązanie da mu taką nową międzynarodową potęgę, wobec której żaden wróg zewnętrzny nie będzie dlań groźny.

Te zasadnicze idee piastował Rodiczew oddawna; z ławy uniwersyteckiej poszedł jako ochotnik walczyć o Serbję. Ale jego istotny stosunek do spraw narodowościowych mógł się oczywiście ujawnić w całej pełni dopiero w „ruchu wyzwoleńczym" **(osvoboditielnoje dwiżenije).** I wtedy stanęła przed nim najbardziej ostra i najbardziej złożona z tych spraw — sprawa rosyjsko-polska.

KWESTJA POLSKA

Niepodobna przeceniać znaczenia tej sprawy w rodiczewowskim poglądzie na świat. Bezprzykładny los państwa zdruzgotanego przemocą, beznadziejna i bohaterska walka o jego restytucję, wierność Polaków dla tego dawnego państwa — wszystko to otaczało ich romantyczną aureolą, która od dawna czarowała nie tylko takich idealistów jak Rodiczew. W swej całości kwestja polska była oczywiście kwestją międzynarodową, a nie rosyjską. Ale zdaniem Rodiczewa, przed Rosją stawała ona w szczególnem świetle. Zbrodnia Rosji w epoce „rozbiorów" polegała nie na tem że Rosja odebrała Polakom swe dawne, w dodatku nie czysto polskie ziemie, lecz na tem że kraina słowiańska oddała „Niemcom" ziemie swego słowiańskiego brata. Ale po rozbiorach przyszedł rok 1815. Wtedy to na kongresie wiedeńskim „rozbiór" przekształcono na zagarnięcie przez Rosję samego jądra państwa polskiego ze stolicą — Warszawą. To [illegible] i gorsze, jeszcze grzech historyczny. A zato Rosja uzyskała odtąd możność odkupienia przeszłości, uczynienia szlachetnego gestu, niezmiernie dla niej samej pożytecznego. Mogła w swoich granicach odbudować państwowość polską, zrobić z niej nie tylko punkt przyciągania dla Polaków austrjackich i pruskich, ale istotne centrum Słowiańszczyzny — i zdobyć w ten sposób taką przewagę polityczną nad Niemcami i Austrją, któraby wyłączała dla tych państw możliwość starcia z Rosją.



F. I. RODICZEW Z CÓRKĄ ALEKSANDRA HERCENA

W tym poglądzie Rodiczewa jest oczywiście dużo romantyki, nie zawsze zgodnej z historją. Wszak Aleksander I chciał właśnie **tego samego;** rok 30 i 63 dowiodły, że takie rozwiązanie było znacznie trudniejsze i bardziej skomplikowane niż się poprzednio zdawało. Ale warunki się zmieniły. W okresie „ruchu wyzwoleńczego" możliwości te znowu ożyły. Wszystko temu sprzyjało. Na arenie dziejowej wystąpiły nowe pokolenia, które już nie znały jednej, całkowitej Polski i mimowoli mogły się zgodzić z tem, z czem ojcowie ich się nie godzili. Dla tych młodych pokoleń powino było być rzeczą jasną, że do walki o oderwanie od Rosji samego tylko **zaboru rosyjskiego** nie było podstaw. Z drugiej zaś strony, wobec przebudowy ustroju Rosji, nie powinny się były powtórzyć owe fatalne błędy „samodierżawia", które w roku 30 i 63 pchały Polaków do powstania. Tak więc „ruch wyzwoleńczy" niechybnie wyprowadzał na scenę kwestję polsko-rosyjską w nowem ujęciu.

Rzecz prosta, że działacze „ruchu wyzwoleńczego" próbowali przedewszystkiem porozumieć się z samymi Polakami. Rozpoczęły się niejawne, początkowo nawet tajne, narady rosyjskich i polskich działaczów politycznych — najpierw w Moskwie, potem w samej Warszawie (w latach 1904 — 1905). Ich inicjatorem w Moskwie był Lednicki; wtedy to prawdopodobnie zawarł on znajomość z Rodiczewem, a w każdym razie był to początek ich późniejszej wspólnej pracy.

Na przedwstępnych obradach w tej epoce problem polski nie mógł być stawiany w całej pełni. Takie rozwiązanie zagadnienia polskiego mogło nastąpić jedynie w trybie międzynarodowym, na drodze wojny europejskiej; a o wojnie nikt wtedy nie myślał. Stawiana była wówczas jedynie kwestja **rosyjsko-polska,** t. zn. stosunek Rosji do tej „rosyjskiej" Polski, którą już uznał kongres wiedeński. Taka Polska oczywiście nie mogła być państwem **samodzielnem.** Połknęliby je sąsiedzi. Ale na drodze autonomji państwowej można było zabór rosyjski szczerze pojednać z Rosją. Przez autonomję stworzyłaby Rosja zawiązek polskiej państwowości i zapewniłaby sobie na przyszłość — niezależnie od dalszego biegu zdarzeń — trwałą przyjaźń z Polakami. Wszystkie te myśli wypowiada Rodiczew w listach do Lednickiego w sposób głęboki i jasny.

Taki był punkt widzenia najlepszego przedstawiciela liberalizmu **rosyjskiego.**

Dla Polaków jednak kwestja ta była o wiele trudniejsza. Jeśli Rosja darem polskiej autonomji państwowej wyczerpywała wszystko co w owym momencie dać mogła, **Polaków** takie rozwiązanie sprawy nie mogło oczywiście zadowolić. Polacy pracujący nad zagadnieniem rosyjsko-polskiem przeżywali wewnętrzną tragedję, której nie znali Rosjanie. Dziś jest to jasne dla wszystkich. Jakże mogli Polacy pogodzić całkowitą lojalność względem **Rosji** z niewątpliwym u każdego z nich dążeniem do odbudowania „Polski"? Na polską „autonomję" patrzyli oni z konieczności jako na etap drogi prowadzącej do „oderwania się". **Separatyzm** polski był zarazem polskim **patrjotyzmem.** Nadzieja, że „Polska jeszcze nie zginęła", stanowiła istotną siłę Polaków. W późniejszym czasie mogła Rosja oddać należną sprawiedliwość temu uczuciu narodowemu, uznawszy niepodległość Polski. Ale w r. 1904 tak patrzeć na rzecz nie mogła. Co w r. 1917 stało się rzeczą realną, co dla Polaków było zawsze „wiarą" — w oczach Rosjan wyglądało na nierealne marzenie. Wojny europejskiej nikt nie chciał i nie oczekiwał. Rachubą na wojnę stała poza „polityką realną", która była w owym czasie „na porządku dziennym". W granicach zaś tej polityki można się było ze spokojnem sumieniem zadowolić cząstkowem zagadnieniem rosyjsko-polskiem i znaleźć w niem grunt dla porozumienia się i pogodzenia. Dlatego też kwestja polska w całości przez nikogo wyraźnie nie była stawiana i pozostawała jakby w sferze „podświadomości".

W ten sposób plany „odbudowania Polski" mogły rodzić jedynie akademicką wymianę myśli. Ale tem się w owym „realnym" czasie nie zajmowano. Zato w granicach aktualnego zagadnienia Lednicki i Rodiczew doskonale się rozumieli. Szermierz „wielkiej Rosji", Rodiczew, kochał i cenił „patrjotyzm" polski i nie obawiał się go dla Rosji. A **polski** patrjota Lednicki mógł pozostawać szczerym **przyjacielem Rosji,** ponieważ widział w niej obrońcę polskiej kultury i polskiej państwowości przed niebezpieczniejszym wrogiem — germanizmem. Ci dwaj ludzie świadczyli własnym przykładem jak możliwe i proste było wówczas pogodzenie Rosji z Polską.

Dla historji nastrojów politycznych byłoby rzeczą ciekawą widzieć dokładniej jak w duszy polskiej **wówczas** wyglądał ten problem. Niestety, nie byłem świadkiem tej sprawy. Nie brałem udziału w naradach, nie znałem nawet intymnych myśli Lednickiego. Wobec naszych stosunków mnie samemu wydaje się to dziś rzeczą dziwną. Ale wspominając Lednickiego, — gdy go już niema, — widzę że los w swoisty sposób ułożył nasze stotunki. I pozwolę sobie tutaj na osobistą dygresję.

MOJE ZETKNIĘCIE Z LEDNICKIM

Los ów w sposób zupełnie nieoczekiwany bardzo mnie do Lednickiego zbliżył. Od r. 1896 byłem zapisany jako jego „pomocnik" (aplikant) i pracowałem w jego kancelarji. Często bywałem u niego, gościłem w jego majątku nad Dnieprem w gub. smoleńskiej, spotykałem się z nim wszędzie w Moskwie. Nie zapomnę nigdy końcowego akordu wieloletnich przyjaznych stosunków, kiedy dn. 12 października 1917 r. we wczesne pochmurne rano wyjeżdżałem (jak się okazało — na zawsze) z Rosji, udając się jako ambasador do Paryża (co Rząd Tymczasowy zmuszony był ukrywać do chwili przekroczenia przeze mnie granicy), i wówczas na pusty dworzec finlandzki przybył jeden z niewielu wtajemniczonych — Lednicki, aby mnie pożegnać.

Ale jeśli los jak gdyby nas zbliżał, ten sam los sprawiał, że nigdy mi się nie zdarzyło nad czemś wspólnie z nim pracować — i tylkośmy się zdaleka wzajemnie obserwowali. Może dlatego nie mogłem nigdy w całej pełni poznać i odczuć tego **wielkiego** człowieka, z którym zewnętrznie łączyły mnie tak bliskie stosunki.

Pod tym względem charakterystyczne było nawet zawarcie naszej znajomości.



ALEKSANDER LEDNICKI

Stałem się jego „pomocnikiem" nie znając go i nie podejrzewając, **czem** on w przyszłości się stanie. Kiedy zdecydowałem się nieoczekiwanie dla samego siebie — wstąpić do adwokatury, znalezienie patrona nie było dla mnie rzeczą trudną. Jeszcze za życia ojca miałem dużo stosunków z różnymi koryfeuszami świata adwokackiego. Tak np. gdy się Plewako dowiedział, że zamierzam wstąpić do adwokatury, nie dopuszczał nawet myśli, żebym się miał zapisać nie do niego. Ale był w Moskwie niepospolity człowiek, sędzia pokoju Lubienkow; poszedłem do niego po radę. „Nie idź do generałów, — powiedział mi, — dostaniesz u nich praktykę, a niczego się nie nauczysz; są oni zawaleni sprawami, nie w głowie im aplikanci; idź do człowieka, który nie jest jeszcze sławny ale wkrótce nim będzie". I wymienił nieznane mi wówczas zupełnie nazwisko Lednickiego. „On daleko zajdzie. Stawał u nas w środy (w środy Lubienkow przewodniczył w zjeździe sędziów pokoju, i dlatego temu kompletowi przekazywano najbardziej skomplikowane sprawy), i wierz mi, to będzie wielki adwokat". Lubienkow sam poszedł do Lednickiego, aby go prosić o przyjęcie mnie, i nazajutrz byłem już w jego mieszkaniu „na Sobaczjej Płoszczadkie", gdzie się odbyło tyle historycznych posiedzeń *). Lubienkow okazał się dobrym prorokiem. Lednicki szybko urastał na pierwszorzędną siłę adwokacką. Działo się to w moich oczach, i ja byłem jego **pierwszym** oficjalnym pomocnikiem.

Mogłem był przejść u Lednickiego dobrą szkołę adwokata-cywilisty. Atmosfera jego gabinetu była dobrą szkołą dla początkujących. Był to adwokat-gentleman. Nieposzlakowana uczciwość, subtelna pomysłowość prawnicza przy zachowaniu całkowitego szacunku dla prawa, wzorowa lojalność w stosunku do sędziów i kolegów. Nie był to „moskwicz" z natury, lecz kulturalny „Europejczyk", nacechowany pewną rezerwą ale uważny i życzliwy. Powodzenie i rozgłos nie uczyniły go ani próżnym, ani zarozumiałym, sprawiły tylko że mógł stanąć ponad zawiścią. Wznosił się szybko w uznaniu powszechnem. Na przyjęciach w jego domu, gdzie się zbierała śmietanka moskiewskiej magistratury, adwokatury i inteligencji, mogłem obserwować jak rosła jego popularność.

Ale wspólna nasza praca urwała się w pierwszym zaraz roku, zupełnie przypadkowo. W Moskwie toczyła się głośna sprawa karna, w której m. in. brał udział i Plewako. Przed samą sprawą został on wezwany do Baku i klientowi swemu zamiast siebie narzucił mnie. Spowodu braku czasu klient musiał się zgodzić. Ale obrona tak mi się powiodła, że odrazu zdobyłem imię. Po tym wypadku nie byłem już w stanie nadążyć z pracą u Lednickiego. Zostałem samodzielnym adwokatem; zachowałem przyjaźń z Lednickim, ale przestałem być jego uczniem i współpracownikiem. Tak więc adwokatura zbliżyła nas jedynie na krótko.

Gdy się rozpoczął „ruch wyzwoleńczy" i Lednicki zainicjował narady polsko-rosyjskie, ja jeszcze w dalszym ciągu zajmowałem się wyłącznie adwokaturą. I jeśli się starałem, wzorem innych, robić w tym zawodzie robotę społeczną, a nawet polityczną, to jednak granic zawodu nie przekraczałem. To było jedną z przyczyn, dlaczego pomimo bliskich stosunków z Lednickim — nie miałem nic wspólnego z naradami polsko-rosyjskiemi i nawet o nich wcale nie wiedziałem. Ale z wynikami tej cudzej pracy zetknąłem się i ja. Jeden z listów Rodiczewa wspomina o tym pamiętnym dla mnie epizodzie owych czasów.

ZJAZD ADWOKATÓW I ZJAZDY „ZIEMCÓW"

Ukaz z dn. 18 lutego 1905 r. wyprowadził akcję polityczną z podziemi na światło dzienne. Jak wiadomo, proponował on wszystkim składanie projektów reform w radzie ministrów. W tej akcji wzięła oczywiście udział i adwokatura moskiewska. Na jej zebraniu ogólnem powzięto banalną „wyzwoleńczą" uchwałę i postanowiono zwołać wszechrosyjski zjazd w Petersburgu, celem utworzenia „związku adwokatów". Znalazłem się w liczbie wybranych na zjazd delegatów. I oto w Petersburgu stanęła przed nami zupełnie nieoczekiwanie kwestja polska. Organizatorowie zjazdu wiedzieli o tem prawdopodobnie zawczasu; ale dla mnie, jak i dla większości niewtajemniczonych, była to niespodzianka. Adwokaci-Polacy przybyli na zjazd, uprzedzili że wezmą w nim udział tylko w tym wypadku jeżeli zjazd uzna prawo Polaków do autonomji. Adwokatura rosyjska nie była poprostu na takie żądania przygotowana. Ludzie, którzy traktowali sprawę polską bez wszelkich uprzedzeń, uczuli się jednak dotknięci zarówno treścią jak i formą ultimatum. Opuszczenie zjazdu przez Polaków byłoby oczywiście skandalem; ale właśnie dlatego taka groźba z ich strony wydała się wymuszeniem. Wreszcie była ona w swej istocie obraźliwem uchyleniem się od **wspólnej** z nami pracy. Nie wiem czemby się to niezadowolenie skończyło, ale Rodiczew jako przewodniczący uratował wtedy sytuację. Otworzył zebranie mową powitalną, o której wspomina w swym liście. Pamiętam ją do dziś. Była to pierwsza mowa Rodiczewa którą słyszałem. Jest w niej **cały** Rodiczew — z nieodpartą siłą swych najlepszych przemówień. Podniósł sprawę na takie wyżyny, na których wszelkie protesty wydały się czemś niegodnem; stworzył nastrój, w którym żądania Polaków (referował je Konic, późniejszy poseł do II Dumy) zostały natychmiast przez wszystkich zaaprobowane. I to uchwalenie ex promptu autonomji Polskiej na zjeździe adwokatów było chronologicznie wcześniejsze niż na zjazdach „ziemców".

Ale fakt ten był tylko charakterystyczny dla nieprzygotowania i wrażliwosci inteligencji rosyjskiej. Uchwała zjazdu adwokatów nie miała żadnego znaczenia. Poważnie postawiły kwestję polską dopiero zjazdy **„ziemców"** (w latach 1904 — 1905: tam też ujawniły się istotne wyniki zorganizowanych u Lednickiego narad. Autonomja polska napotkała na tych zjazdach na niebezpiecznych przeciwników w postaci mniejszości „ziemców" — przyszłych „październikowców". Byli to przeciwnicy tem potężniejsi że nie bronili bynajmniej istniejącego stosunku do Polaków. Byli **przeciwni ograniczeniom**

*) W r. 1900 Lednicki przeniósł się do własnego domu w Kriwonikolskim zaułku nr. 8, gdzie się odbywały narady rosyjsko-polskie, gdzie w r. 1918 mieściło się przedstawicielstwo Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego **(przyp. red.).**



WYCIECZKI morskie

DO KOPENHAGI 4.V — 10.V
NA M/S „PIŁSUDSKI" i M/S „BATORY"
CENY OD ZŁ. 190.—

DO HELSINEK 18.VI — 21.VI
NA M/S „BATORY" CENY OD ZŁ. 90.—

NA FIORDY
NORWEGII 17.VII—27.VII
NA M/S „BATORY" CENY OD ZŁ. 326.—

DO KOPENHAGI 21.VII—24.VII
NA S/S „KOŚCIUSZKO" CENY OD ZŁ. 84.—

STOLICE
SKANDYNAWSKIE 1.VIII—8.VIII
NA M/S „PIŁSUDSKI" CENY OD ZŁ. 260.—

GAL

GDYNIA — AMERYKA LINIE ŻEGLUGOWE S. A.
ORAZ BIURA PODRÓŻY



OSTATNIE NOWOŚCI GEBETHNERA i WOLFFA

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI
ŻYCIE CHOPINA
Str. 129, 3nl. Cena Zł. 7.50

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
PASJE BŁĘDOMIERSKIE
(powieść dawniej zapowiadana p. t. „GARAŻ MĘKI PAŃSKIEJ")
Str. 323, 3nl. Cena Zł. 8.—

ZYGMUNT NOWAKOWSKI
Z MOJEJ PRALNI
Wybór najcelniejszych feljetonów. 30 ilustr. CHARLIEGO. Str. 288

ZYGMUNT SZWEYKOWSKI
DRAMAT DYGASIŃSKIEGO
Str. 229, 3nl. Cena Zł. 4.50

narodowościowym i zarządzeniom **wyjątkowym.** Polacy ich zdaniem powinni byli otrzymać **te same** prawa co Rosjanie. Ale nie więcej; autonomja zaś znaczyła **więcej.** Dawała Polakom **przywileje** w stosunku do Rosjan; z drugiej zaś strony mogła się stać niebezpieczna dla **całości** państwa rosyjskiego. To stanowisko mniejszości „ziemców" zdawało się mieć jak najlepsze pozory. Z tem stanowiskiem podjęli walkę Polacy wraz ze swymi przyjaciółmi — przed oczami szerokich sfer rosyjskiego społeczeństwa. Pamiętam ogólne wrażenie tych zjazdów. Nie byłem ich członkiem, ale gorliwie na nie uczęszczałem. Wiele rzeczy mi się tam nie podobało, i sympatje moje naogół były raczej po stronie mniejszości. Ale w kwestji polskiej przekonały mnie argumenty większości. Fałsz zasady „prawa równego dla wszystkich" został na zjeździe znakomicie zdemaskowany. Zasada ta ignorowała fakty: odrębność kultury polskiej, przeszłość polską, niezapomniane jeszcze dawne państwo polskie, nawet istniejące polskie prawodawstwo miejscowe. Ignorowanie tych faktów w imię zasady równości, uważanie Rosji wbrew oczywistości za kraj unitarny — były równem doktrynerstwem jak żądanie konstytuanty i czteroprzymiotnikowego głosowania. Idea autonomji polskiej była **dla owych czasów** najbardziej państwowa spośród idej, do których doszła nasza społeczność. A stworzyły ją wspólne narady u Lednickiego. Ich przedstawiciele obronili ją też na zjazdach. Ta walka, którą w pierwszych szeregach toczyli Rodiczew, Kokoszkin, Wróblewski, Lednicki i wielu innych, była walką o słuszną sprawę, o ideę pożyteczną dla Rosji. I szeroki ogół to zrozumiał. Trafnie wspomina Rodiczew w swym liście, że idea ta, przeciętnego „obywatela" bynajmniej nie zraziła, jak na to liczono. Okazało się, że jest dlań najzupełniej zrozumiała; mogłem się o tem sam później przekonać w czasie kampanij wyborczych.

Na zjazdach „ziemców" zobaczyłem po raz pierwszy swego byłego patrona Lednickiego nie w roli adwokata, lecz polityka; mogłem ocenić jego temperament, który dotychczas nie znajdował zupełnego ujścia w ramach adwokata-cywilisty. Na tych zjazdach, gdzie występowali nasi najlepsi mówcy polityczni, tacy czarodzieje słowa jak Wróblewski i Rodiczew, on stał w **pierwszym** szeregu. Ale wszystko to widziałem jedynie zdaleka, ponieważ nie brałem udziału w tych zjazdach; wolno mi było jedynie, aby móc przysłuchiwać się obradom, zasiadać w sekretarjacie z obowiązkiem protokółowania dyskusji. Potem przyszła pierwsza Duma; i w niej Lednicki zdobył sobie głośne imię i świetne stanowisko. Ale ja w tej Dumie nie brałem udziału. A kiedy po jej rozwiązaniu Lednicki wrócił do Moskwy, do adwokatury, ja zostałem posłem, a jako adwokat w Moskwie już prawie nie występowałem. Tak to los ustawicznie nas rozłączał, i jak powiedziałem, nie dane mi było robić z Lednickim wspólną robotę.

Na tem kończę swą dygresję osobistą; tłumaczyła ona również, dlaczego interesują mnie listy Rodiczewa, tak charakterystyczne dla jego stosunków z Lednickim. Wracam do kwestji polskiej.

Jak głęboko Rodiczew był nią przejęty, świadczą i te jego listy, i artykuły w czasopismach, i słynne wystąpienia w Dumie. Chcę wydobyć z tych listów pewien mniej znany szczegół. Akt 3 czerwca 1907 r. można było potępiać z różnych względów, choćby się nie było zwolennikiem ani czteroprzymiotnikowych wyborów, ani ustawy z dn. 11 grudnia 1905 r. Ale jest rzeczą charakterystyczną dla Rodiczewa, że i w tym akcie **najboleśniej** odczuł on cios zadany Polakom — liczebne zmniejszenie **ich** przedstawicielstwa.

Tak więc kwestja polska zbliżyła Lednickiego do Rodiczewa, a uporczywa i wieloletnia walka o słuszne jej rozstrzygnięcie, jednako przez nich rozumiane, walka, którą wspólnie toczyli, wystarcza do wytłumaczenia ich trwałej przyjaźni. Lecz oczywiście potrzebne były jeszcze ostatnie próby, aby ta przyjaźń stała się dla Rodiczewa ową duchową radością, o której tak wymownie świadczą jego listy.

Obecnego losu rosyjskiej emigracji doświadczały w różnym stopniu **wszystkie** emigracje. Nie jest to pociecha. „Stara to historja, śmierć, — mówi Balzarow, — a dla każdego nowa". Tragedję dzisiejszej emigracyjnej niemocy każdy przeżywa po swojemu; dla niektórych może ona nawet nie być tragedją. Rodiczew, w przeciwieństwie do wielu innych, nie przestał wierzyć w swe **idee;** przestał tylko wierzyć w **ludzi,** ale cierpiał skutkiem tego niezmiernie. Z natury bojownik — choćby za straconą sprawę — nie wahałby się ani chwili iść w bój za swoją starą wiarą. Ale na to brakło mu już zdrowia i sił fizycznych; dawni towarzysze broni przechodzili do innych obozów; umierał w samotnej bezsile.

W OBLICZU DNIA DZISIEJSZEGO

Życie w sposób okrutny wyszydziło i najdroższe jego marzenie o zgodzie polsko-rosyjskiej. Cóż z niej wyszło? Do samej wojny, poza paroma wypaczonemi reformami, które Polaków zadowolić nie mogły, wszystko zostało po dawnemu; o autonomji nie było już mowy. A z rozpoczęciem wojny, zbawcza idea autonomji Polski straciła swe znaczenie. Wojna władczo wysunęła nareszcie całą pełnię kwestji polskiej — kwestję „odbudowania Polski". Rosja skwapliwie to ogłosiła w manifeście wielkiego księcia. Lecz rozwiązanie, które manifest proponował, było nie tylko niezupełne ale także utopijne. „Nierealna" była myśl, aby odbudowana i zjednoczona Polska zgodziła się pozostać autonomiczną częścią Rosji. Byłoby to jeszcze może do pomyślenia, gdyby w swoim czasie, **przed rozpoczęciem wojny,** Rosja z własnej inicjatywy dała autonomję rosyjskiej Polsce, gdyby więc Polska stała się dzięki **Rosji** polskim Piemontem. Ale nato powinno było wszystko pójść inaczej. Ani przedwojenna oficjalna polityka Rosji w stosunku do Polski, ani efemeryczna próba rządów wojskowych w Galicji, ani stosunek do manifestu wielkiego księcia we wpływowych sferach oficjalnych — nic nie dawało podstaw do wytworzenia podobnych nastrojów w Polsce.

Rewolucja lutowa umożliwiła zbliżenie; Rząd Tymczasowy bezzwłocznie uznał całkowitą **niepodległość** Polski. Rodiczew z oburzeniem odpiera insynuację, jakoby ta decyzja Rosji była **narzucona przez Europę.** Ale w sytuacji, która się wytworzyła, i ta decyzja była spóźniona. Rosja faktycznie z wojny się usuwała. Ogłaszała niepodległość tego co już sama straciła. Polska mogła skorzystać z tego uznania tylko **w razie zwycięstwa sprzymierzonych,** a do nich Rosja wkrótce przestała należeć. Była rozbita i na dalszy los Polski wpływać już nie mogła. Oczywiście, gdyby względy moralne w polityce miały większe znaczenie, możnaby było nie zapominać, że katastrofa Rosji była jej udziałem wpłaconym na rzecz wspólnego zwycięstwa sprzymierzonych, a w tej liczbie i na rzecz „odbudowania Polski". Możnaby było nie zapominać że manifest Rządu Tymczasowego, proklamujący niepodległość Polski, stał się jedną z podstaw prawnych, na które w traktacie wersalskim powołano się w paragrafach ustanawiających niepodległe państwo polskie. Rodiczew, prawdziwy idealista, wierzył w sprawiedliwość i wdzięczność nie tylko jednostek, ale i narodów, i żywił nadzieję że obecna restytucja Polski była zamknięciem owej wspólnej walki o jej wyzwolenie, która się zaczęła ongi w mieszkaniu Lednickiego i trwała przez czas wojny, naznaczona bezmiarem nieznanych mogił rosyjskich na obszarach Polski. Rodiczew sądził że fakt ten zmazał dawne winy Rosji i że nie może być zapomniany; że teraz się spełni nareszcie marzenie jego życia: zgoda Rosji z Polską w postaci przymierza i przyjaźni dwóch niepodległych sąsiadów słowiańskich.

Lecz wszystko poszło inną drogą. Nie chcę rozkrwawiać niezgojonych ran; a zresztą nikt nie wie jak się jeszcze w przyszłości ułożą stosunki.

A jednak fakty mają swoją wymowę. Dla Rodiczewa, który tak wierzył w szlachetność polskiego charakteru, bolesną było rzeczą ujrzeć Polaków, kiedy **oni** stali się siłą a **Rosja** przeżywała straszliwe lata swego poniżenia, kiedy Rosjanie w Polsce przeistoczyli się albo w „mniejszość narodową", albo w bezbronnych „bezpaństwowców". Polska nie zapomniała dawnych krzywd. Rodiczew był zdziwiony i zmartwiony, lecz urazy to w nim nie wzbudziło. Wiedział że sytuacja zmienia ludzi. W cóż się obrócili bohaterowie podziemi, „miłośnicy wolności", gdy sami [illegible] rządem? I ujarzmiony naród, walczący o wolność, posiada czar, który częstokroć traci wraz z wyzwoleniem. Zwycięstwo, podobnie jak władza i bogactwo, nie przychodzi bezkarnie. I dlatego Rodiczew raczej cierpiał niż potępiał i nie mógł się wyrzec nadziei na przyjaźń polsko-rosyjską. W Lednickim widział dawnego człowieka, nie tylko w stosunku do siebie osobiście, lecz także w stosunku do wspólnej sprawy, i nie przestawał cenić w nim namiętnie tego co kochał niegdyś w „uciskanych" Polakach.

„Chcę Panu powiedzieć — pisze w liście — ile dobrych uczuć, radosnego zachwytu (nie lękajmy się słów) rodzi się we mnie, gdy wspominam Pana, zachwytu wobec szlachetnych rysów polskiego charakteru: wobec niezłomnego patrjotyzmu, ducha wolności i humanitaryzmu. Ileż to razy, spotykając w Rosji Polaków, widziałem żywy patrjotyzm opromieniający najskromniejszą egzystencję. Dzięki temu patrjotyzmowi zmartwychwstało państwo polskie".

Przeżywał wspomnienia czasów, kiedy to oni obaj usiłowali pogodzić Polskę z Rosją. Ten szlachetny cel zdawał się dziś zbrukany i zdeptany.

I ludzie na emigracji, dotknięci gniewem i utratą wiary, zaczęli karcić Rodiczewa za jego stałą wiarę w Polaków, za to że ich bronił w dawnych latach; i wytykali ze złośliwą radością, jak to Polacy za to Rosji odpłacili. A z drugiej strony Polacy mogli czynić wyrzuty Lednickiemu, że był **starym przyjacielem Rosji, stałym** zwolennikiem **zgody** polsko-rosyjskiej. Demagogowie odrodzonej Polski zaczęli już uważać za zdradę ojczyzny ową głęboką i prawdziwą myśl, która tkwiła u podstaw polityki 1905 r. I Rodiczew się niepokoił, myśląc o niesprawiedliwościach, z jakiemi mógł u siebie w domu spotkać się Lednicki. I starał się skwapliwie je usunąć.

„Uważam za rzecz niezmiernie ważną, aby działalność Pana w sprawie polskiej została słusznie oceniona"... „Dziś jest już jasne, jakie znaczenie miała moskiewska inicjatywa Pana. Nawet dla rozjaśnienia polskiej myśli, nie tylko rosyjskiej"...

Rodiczew — i to było największym jego cierpieniem — w ostatnich latach życia nie wierzył w odrodzenie Rosji. „Łatwiejby było znieść ten cios, — pisze o śmierci swej żony, — gdyby **istniało** poczucie że Rosja się odradza".

W nieszczęściu ludzie bywają niesprawiedliwi: wzajemna nienawiść i oskarżenia są udziałem zwyciężonych. Lecz jeśli Rosja została zwyciężona, na długo osłabła i mogła nawet stać się w nieszczęściu niesprawiedliwa, to wszakże Polska zmartwychwstała. Polska, zdaniem Rodiczewa, powinna była odczuwać tę radość zwycięstwa, która za dawne krzywdy **mścić się nie pozwala.** Szlachetny gest, którego Rodiczew domagał się od Rosji, mogła uczynić teraz zmartwychwstała Polska. Rodiczew z rozrzewnieniem i pewną zazdrością patrzył na Lednickiego, który był młodszy od niego i mógł w nowych warunkach prowadzić dalej pracę, zaczętą wspólnie przez nich obu w Moskwie.

„Zachowuję o Panu (pierwszy list) jasne i dobre wspomnienie, i wierzę, że polska opinja publiczna trafnie oceni znaczenie działalności Pana na rzecz Polski... na rzecz prawa".

Rodiczew i tu pozostał idealistą; nie podejrzewał, co kryje w sobie odwrotna strona rzeczywistości. Nie podejrzewał, co będzie musiał przeżyć Lednicki. I nie przypuszczał, że jego listy będą tym wieńcem żałobnym, który on sam — po własnej śmierci — złoży na grobie towarzysza broni i wiernego druha, co przeżył go nie na długo.

W. A. Makłakow.



OSTATNIE NOWOŚCI

WŁADYSŁAW KOWALSKI
RODZINA MIANOWSKICH
Powieść. Część I. Str. 282. Cena Zł. 6.—

EWA CURIE
MARJA CURIE
Przekład H. Szyllerowej. Str. 472. Cena Zł. 17.—(w opr. Zł. 21.—)

JOSEF LÖBEL
PROSZĘ SIĘ NIE LĘKAĆ
Przekład St. Baczyńskiej. Str. 242. Cena Zł. 6.—

GREY OWL
SEJDŻIO I JEJ BOBRY
Przekład A. Dobrota. Str. 236. Cena Zł. 7.— (w opr. Zł. 10.—)

A. J. CRONIN
GWIAZDY PATRZĄ NA NAS
Przekład J. Szpechta. Tom II. Str. 400. Cena Zł. 9.—

ERIK-ERNST SCHWABACH
DZIEJE PEWNEJ NOCY
Przekład Alfreda Liefelda. Str. 278. Cena Zł. 6.—

DOROTHY L. SAYERS
ZBRODNIA WYMAGA REKLAMY
Powieść kryminalna. Str. 532. Cena Zł. 8.—

ANDRÉ MAUROIS
DZIEJE ANGLJI
Przekład Wacława Rogowicza. Str. 640. Cena Zł. 15.—

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO • WARSZAWA

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

Tam gdzie się rozegrała „Dziadów“ część czwarta

W POSZUKIWANIU KSIĘDZA

Zdawałoby się: cóż jeszcze nowego i ciekawego da się powiedzieć o tem arcydziele poezji miłosnej, o tym „poemacie wspomnień“, tak wszechstronnie zbadanym i opisanym, któremu niedawno prof. Juljusz Kleiner poświęcił przeszło trzydzieści stron swej monografji?

A jednak okazuje się coraz dowodniej, jak bardzo daleka od doskonałości jest nasza wiedza o Mickiewiczu. Razporaz najbardziej napozór pewne i niewzruszone wywody uczonych, przy skonfrontowaniu z wymową danych dokumentalnych, okazują się budowlami zgoła iluzorycznemi, zasłaniającemi przed naszym wzrokiem rzeczywiste oblicze faktów. A prócz tych błędnych interpretacyj, w dziejach życia i twórczości poety istnieje jeszcze szereg luk. O całych okresach, czy też o poszczególnych epizodach, nie wiemy nic, albo też wiemy bardzo mało.

Weźmy np. ballady z pierwszego tomiku poezyj — grupę utworów o przełomowem znaczeniu dla kierunku i rozwoju twórczości młodego Mickiewicza. Cóż nam wiadomo o warunkach i o okolicznościach, w jakich powstały, ponad to że „Świtezianka“ została skomponowana w drodze znad Świtezi do Płużyn, dn. 12 sierpnia 1821 r., że „Świteź“ poświęcona jest Michałowi Wereszczace, a że „To lubię“ pisane było pierwotnie dla jakiejś Johasi?

Co się zaś tyczy części IV „Dziadów“, to wszyscy dzisiejsi badacze zgodnie przyjmują, że i teren akcji tego utworu, i odwiedziny Księdza przez Gustawa, i ich stosunek wzajemny — wszystko to jest czystej wody zmyślenie poetyckie, wytwór wyobraźni, wykarmionej na wzorach literackich polskich i obcych.

Okazuje się jednak, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, fabuła utworu oparta została na rzeczywistem zdarzeniu, w miejscowości odpowiadającej dokładnie danym topograficznym poematu, a mianowicie w położonem o 5 km od Tuhanowicz miasteczku Cyrynie.

Co więcej, są dane, że Mickiewicz bywał tam niejednokrotnie uprzednio, w latach swej wczesnej młodości i że te właśnie pobyty dostarczyły mu treści do „To lubię“, do „Kurhanka Maryli“, do „Dudarza“, do części II „Dziadów“, a częściowo i do sonetu „Do Niemna“.

Do wniosków tych doszliśmy na podstawie wyników kilkoletnich żmudnych dociekań. Punktem wyjścia stały się tu dwie miary, jakie stosowano dotychczas przy komentowaniu części IV „Dziadów“.

Chodzi o to, że postać Gustawa, charakter jego uczuć miłosnych, jego rozpacz po stracie ukochanej, słowem, to wszystko co znajdowało swój odpowiednik w znanych nam dotychczas faktach z życia poety, zakwalifikowano jako szczegóły autobiograficzne, natomiast i postać Księdza, i odwiedziny jego przez Gustawa-Mickiewicza, i wspomnienia dawnych wspólnych zabaw oraz pobytu w szkole, i wreszcie opowiadanie Gustawa o pierwszem ujrzeniu przezeń przyszłej pani jego serca — wszystko to, jako wykraczające poza ramy naszej wiedzy o Mickiewiczu, uznano za wymysł literacki.

Otóż bijąca w oczy dowolność takiego podziału, do którego w samym tekście poematu niema żadnych podstaw, skłoniła nas do podjęcia próby zbadania, czy i ta druga grupa szczegółów nie miała czasem w życiu poety realnych odpowiedników, o których jeno wieść nie doszła do naszych czasów.

Przedewszystkiem więc należało ustalić, czy w otoczeniu Mickiewicza nie było jakiegoś księdza unickiego, z którym łączyłyby go podobne stosunki, co Gustawa z Księdzem.

Brat poety Franciszek przekazał nam w swym „Pamiętniku“ wieść o ks. Aleksandrowiczu, parochu nowogródzkim i wielkim przyjacielu Mickiewiczów. Stanisław Wasylewski, a za nim i prof. Kleiner, wskazują nań jako na poszukiwany przez nas pierwowzór. W rzeczywistości jednak, tak jak go znamy, mało miał on wspólnego z Księdzem z poematu, w szczególności nie mógł go był poeta odwiedzać jesienią 1821 r. (czas akcji „Dziadów“), gdyż ks. Aleksandrowicz zmarł w połowie 1817 r. Pozatem w poemacie mieszkanie Księdza znajduje się w najbliższem sąsiedztwie miejsca zamieszkania ukochanej Gustawa, gdyż ten, rozpocząwszy opowiadanie o szczegółach swej szczęśliwej przeszłości od słów: „Ileż znowu pamiątek w twoim domku, w szkole! Tu-m z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek“ i t. d., wymienia w dalszym ciągu szereg miejsc, związanych z osobą ukochanej i widoczny niemal z okien domku Księdza: „...ten wzgórek był wałem. Tam ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci“, „Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice: tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice, tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem, tutaj, na wzgórku, Russa czytaliśmy razem; altankę jej pod temi uwiązałem chłody, z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody, z tych zdrojów, stojąc przy mnie, wywabiała wędką srebrnopiórego karpia, pstrąga z kraśną centką“. I w rzeczywistości więc mieszkanie księdza, odpowiadające warunkom poematu, musiałoby się znajdować w pobliżu Tuhanowicz. O Nowogródku tedy nie może tu być mowy.

Wiadomość o innym księdzu znajdujemy w „Notatkach z różnoczasowych podróży po kraju“ Edwarda Chłopickiego, który zwiedzając Rutę, miejsce zamieszkania sędziego Medarda Rostockiego, gdzie Mickiewicz często spędzał wakacje, zanotował następującą wersję miejscową o genezie ballady „To lubię“: „Powodem zaś do napisania ballady „To lubię“ była jakoby następna okoliczność. Jednego pięknego letniego poranku, młody poeta, nie znalazłszy pod ręką swego rannego ubrania, chwycił z kołka biały p. Rostockiego puderman, wdział go, i tak oryginalnie przybrany ruszył w pole; kiedy już był na opisanym w balladzie mostku, nagle postrzegł pędzącego śród zarośli z flintą w ręku syna miejscowego parocha: pusta myśl przyszła poecie schować się pod mostek i straszyć chłopaka; figiel się udał, chłopiec wystraszony padł jak nieżywy i tylko z wielką trudnością dał się uspokoić, a poeta rychło potem, wymyślonego przez się upiora nosząc w głowie, z starych ludowych podań usnuł śliczną balladę. Oglądając Rutę, widzieliśmy i ten mostek, i tę starą dzwonnicę, i ten chróśniak malinowy“.

Parochem ruciańskim był wówczas niejaki Grzegorz Pieszko, o którym jednak nic ponadto nie wiemy. Mickiewicz musiał go znać niewątpliwie, żadnych jednak bliższych szczegółów o tem nie posiadamy. Zresztą i Ruta, ze względu na znaczne oddalenie od Tuhanowicz, nie odpowiada warunkom topograficznym poematu.

W tym stanie rzeczy zdawało się, że sprawa nigdy już nie da się wyjaśnić.

Tymczasem klucz od zagadki odnalazł się w drobnej notatce, przechowanej w Muzeum Mickiewicza w Paryżu i dotychczas przez badaczy w tym kierunku całkowicie niewyzyskanej.

W rękopisie nr. 768, zatytułowanym: „Notatki o Adamie Mickiewiczu zebrane od P. Adolfa Kobylińskiego“, znajduje się m. in. zapis następujący: „Aleksander Mickiewicz opowiadał o figlu Adama. Na święta często jeździli oni do Wuja Stypułkowskiego do Cyryna. Był tam popowicz Horbacewicz, który z młodymi Mickiewiczami często się bawił. Raz rozeszła się była pogłoska, że Adam umarł, doszło to do Horbacewicza. Po niejakim czasie przyjechali znowu Mickiewicze do Stypułkowskich. Przychodzi Horbacewicz. Adam się nie pokazuje, ale wieczorem, kiedy miał już wracać do domu Horbacewicz, staje na mostku opodal w białem prześcieradle. Horbacewicz się strwożył zrazu, ale Adam uspokoił go i przypomniał mu tylko, że nie zmówił po nim Anioł Pański. Wróciwszy do domu, Horbacewicz uderzył w dzwony cerkiewki, czem ściągnął lud, bo to już była noc. Opowiedział wszystkim, co się zdarzyło, i odmówili Anioł Pański“.

Łatwo zauważyć, że mamy tu do czynienia z odmienną jedynie wersją tego samego zdarzenia co i w opisie Chłopickiego, podczas jednak gdy tam niema żadnych bliższych wskazówek, opowiadanie Aleksandra Mickiewicza zawiera szczegóły zdumiewająco zgodne z danemi poematu. Fakt, że Mickiewicz bywał w młodości w Cyrynie, miasteczku znanem nam wszystkim z wiersza: „I ksiądz przyjechał z Cyryna“ („Świteź“), położonem w tej samej co i Tuhanowicze dolinie rzeki Serweczy i graniczącem tylko o miedzę z tą posiadłością Wereszczaków, miasteczku, gdzie była wówczas jedyna w najbliższej okolicy cerkiew unicka, dalej fakt częstych zabaw z miejscowym popowiczem — jakże to się wszystko dziwnie zgadza z tem co opowiada Gustaw Księdzu! Gdyby się jeszcze dało stwierdzić, że ów „popowicz“ i późniejszy „Ksiądz z Cyryna“, to ta sama osoba i że w czasie pobytu Mickiewicza w tych stronach na przełomie lipca i sierpnia 1821 r. odwiedzał on był tego księdza, analogja byłaby niemal zupełna. Pozostałaby jeszcze, coprawda, do wyjaśnienia rola Księdza jako wychowawcy Gustawa-Mickiewicza, ale o tem będzie mowa później. Pozatem jednak autobiograficzne podłoże całej koncepcji części IV „Dziadów“ zarysowuje się jak na dłoni.

Ale może pamięć zawiodła Aleksandra Mickiewicza, i przeniósł on do Cyryna zdarzenie, które w rzeczywistości zaszło w Rucie, zniekształcając równocześnie nazwisko „popowicza“? Wszak jego wersja, chociażby tylko ze względu na szczegół o odmówieniu „Anioł Pański“, bardziej niż opowiadanie Chłopickiego przypomina balladę „To lubię“. A przecież za teren akcji tego utworu uchodzi Ruta, nie zaś Cyryn. Jeszcze niedawno wycieczka naukowa, zwiedzając Rutę uznała całkowitą zgodność m[illegible] terenu z opisem z ballady, a świeżo jeden z uczestników tej wycieczki, prof. Konrad Górski, zgodność ową potwierdził.

Trzeba było tedy sprawdzić, czy w Cyrynie był istotnie kiedyś paroch Horbacewicz. Sprawa napozór bardzo łatwa. Ale Cyryn w czasie wojny znalazł się na linji frontu i uległ całkowitemu zniszczeniu. Zginęły też wszystkie miejscowe księgi cerkiewne.

I tu znów przyszedł nam z pomocą szczegół, zanotowany swego czasu, zdawałoby się całkiem niepotrzebnie, przez Edwarda Pawłowicza. W swych „Wspomnieniach z nad Wilji i Niemna“, mówiąc o Poruczynie, pisze on: „Był tu ostatnim parochem unickim zacny staruszek ś. p. Horbacewicz, stryj kilku niemniej zacnych parochów Cyryna, Horodyszcza i Czernihowa, którzy przez apostatę Siemaszkę wyzuci ze wszystkiego, prześladowani długie lata, w wierze ojców dotrwali“.

Notując szczegół o parochu Horbacewiczu z Cyryna, nie przypuszczał Pawłowicz, jak bardzo przyda się on tu dla wyjaśnienia interesującej nas zagadki. To częściowe stwierdzenie ścisłości danych, przekazanych przez Aleksandra Mickiewicza, pozwala przyjąć, że i inne szczegóły jego opowiadania zostały nam wiernie powtórzone. Zachęciło to nas do dalszych poszukiwań.



Ogólny widok Cyryna z „kurhanu“; w środku widać groblę i mostek z „To lubię“

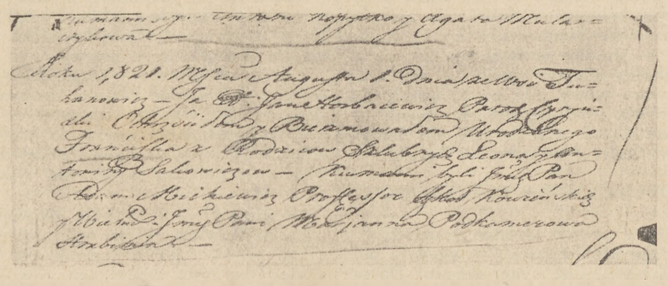
Wśród resztek akt unickiego konsystorza brzeskiego, przechowywanych w archiwum państwowem w Wilnie, znaleźliśmy dokument, stwierdzający, że parochem cyryńskim w r. 1824 był ks. Jan Horbacewicz. Dzięki uprzejmości p. Walerjana Charkiewicza, który zainteresowawszy się naszemi badaniami, czynił również poszukiwania w tem samem archiwum, zdobyliśmy wiadomość, że tenże Horbacewicz przebywał w Cyrynie od r. 1818 do 1831. Dalej, dowiedziawszy się od obecnego proboszcza prawosławnego w Nowogródku, również Horbacewicza, że w konsystorzu prawosławnym w Grodnie znajdują się duplikaty dawnych unickich ksiąg metrycznych z terenu Nowogródczyzny, przejrzeliśmy, przy łaskawie nam okazanej pomocy wyjątkowo uczynnego personelu miejscowego, księgi cerkwi cyryńskiej i na podstawie odpowiednich zapisów stwierdziliśmy, że ks. Horbacewicz pełnił obowiązki kapłańskie w Cyrynie od połowy sierpnia 1814 r. do połowy kwietnia 1838 r.



Widok na Cyryn z góry cerkiewnej: domek proboszcza prawosławnego, dalej gaj olszowy na błocie, a z lewej strony grobla wiodąca ku mostkowi



Plan Cyryna z r. 1817



Podobizna zapisu w księdze cerkwi cyryńskiej aktu chrztu, w którym Mickiewicz i Maryla byli kumami

Jak już wspomnieliśmy, Gustaw odwiedza Księdza jesienią 1821 r., w tym samym więc czasie musiałyby się odbyć i przypuszczalne odwiedziny ks. Horbacewicza przez Mickiewicza. Równocześnie, na słowa Księdza: „Kiedy się tobie przypatruję zbliska, zdaje się, że cię kiedyś widziałem w tej stronie“, Gustaw odpowiada: „O, tak, tak, byłem tutaj... o, dawno... zamłodu! Przed śmiercią!... Będzie trzy lata!“. A więc w myśl naszej hipotezy, poprzedni pobyt poety w Cyrynie przypadałby na r. 1818. Widzimy tedy, że w obu wypadkach Mickiewicz, podobnie jak Gustaw w poemacie, zastałby na miejscu tego samego księdza — starszego towarzysza dawnych zabaw dziecięcych.

Czy jednak poeta odwiedzał ks. Horbacewicza jesienią 1821 r.?

Zanim przejdziemy do tej kwestji, spróbujmy wprzód uświadomić sobie, czy nastrój uczuciowy i cały bagaż wspomnień, jakie musiałyby towarzyszyć Mickiewiczowi w wypadku takich odwiedzin, odpowiadają temu co widzimy u Gustawa. Innemi słowy, czy odwiedziny te mogły mieć charakter tego rodzaju przeżycia, które pozwalałoby uważać je za odpowiednik życiowy odwiedzin Gustawa.

Co do wspomnień, to ponieważ ani w korespondencji, ani w rozmowach poety niema żadnej bezpośredniej wzmianki o pobytach jego w Cyrynie, jedyne źródło stanowią tu współczesne jego utwory, w których mogły być utrwalone jakieś szczegóły tych pobytów. Aby jednak móc ujawnić, co w danym utworze zawdzięcza swe pochodzenie przeżyciom cyryńskim poety, należało przedewszystkim zebrać jak najwięcej danych o samem miasteczku.



„Kurhan“ w Cyrynie od strony rzeki Serweczy („Tam u Niemnowej odnogi, tam u zielonej rozłogi, co to za piękny kurhanek, spodem uwieńczon, jak w wianek“...)

„Kurhan“ w Cyrynie od strony grobli; z lewej strony wierzchołki drzew alei wjazdowej w Tuhanowiczach („Ten wzgórek był wałem. Tam ona wyszła patrzeć na igraszki dzieci“...)

CYRYN

Ze „Słownika geograficznego“ dowiedzieliśmy się tylko, że była to niegdyś kwitnąca osada i że Zygmunt I bawił tu dwa tygodnie, oczekując na wojska polskie powracające spod Moskwy. W innych źródłach drukowanych nie znaleźliśmy również żadnych potrzebnych nam szczegółów. Trzeba było zacząć szukać gdzieindziej.

W archiwum oddziału pomiarów rolnych przy urzędzie wojewódzkim w Nowogródku znaleźliśmy plan Cyryna z r. 1817, a więc z interesującego nas okresu. Na planie tym, którego fragment tu reprodukujemy, zwrócił naszą uwagę m. in. szczegół następujący: część błonia, oznaczona nr. 37, figuruje w dołączonym do planu „summarjuszu“ jako obszar „gruntu z kurhanami tudzież góry“. Ta wzmianka o kurhanach zainteresowała nas ze względu na to, iż zawsze byliśmy zdania, że jeśli istniał jakiś realny pierwowzór pagórka, opisanego w „Kurhanku Maryli“, to musiał się on znajdować w okolicach Tuhanowicz, nie zaś w Szczorsach, jak chcą niektórzy, lub gdzieindziej. Dotychczas jednak nie mogliśmy zdobyć żadnej wiadomości o istnieniu kurhanów w sąsiedztwie gniazda rodzinnego Maryli, teraz zaś zarysowały się możliwości wyjaśnienia tej sprawy.

A obok tego podłużny kształt wzgórza, figurującego na wymienionym obszarze błoni nadserweczańskich, nasuwał przypuszczenie, że jest to może ów objekt szturmów „hufców“ dziecięcych, o którym Gustaw mówi: „Aż pod wał trzebim drogę... ten wzgórek był wałem“. A i dalsze jego słowa: „Tam ona wyszła patrzeć na igraszki dzieci“ nabierają cech prawdopodobieństwa, jak bowiem widać z planu, grunta tuhanowickie (jasny teren na południe od rzeczki Pietuchówki) podchodzą aż pod sam Cyryn. Nicby więc w tem nie było dziwnego, gdyby Maryla z braćmi, dowiedziawszy się że malcy cyryńscy urządzają zabawy w „wojsko polskie“, wyszła, jak to często bywa z dziećmi dziedziców, przyjrzeć się tej wiejskiej atrakcji.

Dalej mamy na planie szczegóły, które zdają się potwierdzać przypuszczenie, iż miejscem akcji ballady „To lubię“ nie jest Ruta, lecz Cyryn i mostek cyryński. Widzimy bowiem, iż cerkiew (oznaczona na planie rysunkiem domku) oraz położone przy niej, a wymienione w sumarjuszu „mogiłki dawne“, znajdują się niedaleko mostku, tak jak w balladzie: „Tuż stara cerkiew, w niej puszczyk i sowy, obok dzwonnicy zrąb zgniły, a za dzwonnicą chróśniak malinowy, a w tym chróśniaku mogiły“. Ale taki układ szczegółów topograficznych jest dość typowy dla Nowogródczyzny. Należało więc jeszcze zbadać, czy w miejscowej tradycji nie zachowały się ślady podań, podobnych do tych, jakie mamy w powyższej balladzie. Przyjąć bowiem trzeba, że zarówno ten utwór jak i opisany figiel Mickiewicza powstać musiały na tle wierzeń miejscowych w pokutowanie „nieczystej siły“ na grobli i pod mostem.

Aby sprawdzić te wszystkie szczegóły, udaliśmy się na miejsce do Cyryna.

Dziś jest to raczej wieś cerkiewna, wyciągnięta długim szeregiem chat i domków wzdłuż prawej krawędzi doliny rzeki Serweczy. Niegdyś, jak już zaznaczyliśmy, było to znaczne osiedle. Jeszcze niedawno znaleziono w odległości 20 km słup kamienny z napisem: „Granica miasta Cyryna“. Za czasów Mickiewicza starostwo cyryńskie należało do wojewody Józefa Niesiołowskiego z Worończy, a po jego śmierci w r. 1814 przeszło w posiadanie pułkownikowej rosyjskiej Kiernowej.

Po cerkwi i po dzwonnicy, które stały na wyniosłem wzgórzu, zostały jeno podmurowania. Były to zresztą budowle, wzniesione w r. 1857 na miejscu dawnych, pochodzących z mickiewiczowskich czasów. Podobnież mieszkanie i obejście dzisiejszego proboszcza prawosławnego znajdują się w tem samem miejscu co i dawna plebanja unicka (widoczna na planie, tuż w lewo od cerkwi), u stóp cerkiewnego wzgórza. Ze szczytu wzgórza, pokrytego licznemi nagrobkami kamiennemi, roztacza się rozległy i malowniczy widok na całą dolinę Serweczy z parkiem tuhanowickim w stronie południowej, na gaj olszowy, rosnący tuż przy miasteczku, na groblę z mostem, na ów położony w lewo od niej pagórek i na wzgórza i gaje, ciągnące się aż het, ku Worończy. Na północy widać stąd Serwecz i Ostaszyn, a na wschód oko wybiega aż gdzieś ku okolicom Mira.

Przy pomocy niezmiernie uczynnego i gościnnego komendanta posterunku policji państwowej, p. Marjana Surwiłło-Bohdanowicza, udało nam się zebrać garść informacyj od miejscowych „starożyłów“. O Mickiewiczu wiedzą oni tylko tyle, że portret jego wisi w szkole powszechnej i że kochał się on w „panience“ z Tuhanowicz, która wyszła za hrabiego. Ani o pobytach poety w Cyrynie, ani też o ks. Horbacewiczu nie zachowało się tu już żadne wspomnienie. A ponieważ zadawaliśmy pytania bez jakichkolwiek uprzednich sugestyj, przeto w odpowiedziach, jakie otrzymaliśmy, w żadnym wypadku nie należy doszukiwać się wpływu lektury odpowiednich utworów poety.

Na pytanie, jak ludność miejscowa nazywa interesujący nas tu pogórek, odpowiedziano zgodnie, że „kurhanem“ lub też „szwedzką mogiłą“, i wspomniano o istnieniu podania, według którego pagórek ten usypali żołnierze szwedzcy, nosząc ziemię w szerokich swych kapeluszach. Dodano też, że przed paru laty wykopano tam starą, wyjątkowo dużą czaszkę ludzką.

NA KURHANIE; OBRZĘD DZIADÓW

Na pytanie, czy w okolicy są jakieś miejsca, w których „straszy“, oświadczono, że owszem są, a mianowicie grobla i właśnie ów „kurhan“. Marja Chałupkowa, licząca siedemdziesiąt lat, opowiedziała z przejęciem, jak razu pewnego, gdy zeszła koło mostku z grobli na łąkę, spod mostku wyszedł jakiś „jegomość“ w szerokim słomkowym kapeluszu i zaczął iść po moczarach jak po twardym gruncie. Widząc, że ma do czynienia z „nieczystą siłą“, przeżegnała go zdjętym z szyi krzyżykiem, a wtedy skoczył on do rzeki i zginął. Widział to również jeden z mieszczan Żydów. Kiedyindziej znów kilku mieszczan pojechało po drzewo do Worończy. Wyjechali na noc, a gdy zaczęło świtać, ujrzeli przed sobą... Cyryn! Okazało się, że przez całą noc jeździli dookoła kurhanu. Innym razem koń przez parę godzin zwoził z tegoż kurhanu i znów nań wwoził jednego z gospodarzy, którego w wieczór zimowy posłano do Worończy po wódkę. W tym wypadku odegrał niewątpliwie swą rolę i alkohol. Opowiedziano nam również o pewnym podróżnym, który wyjechał na noc z Cyryna a którego rano znaleziono zamarzniętego razem z saniami i z końmi w rzece, obok mostu.

Nazwa „szwedzkiej mogiły“ dla omawianego pagórka, istniejąca już niewątpliwie za czasów Mickiewicza, przyczynić się mogła do obrania tej właśnie wyniosłości gruntu za szaniec wojsk wrażych. Tem bardziej że w najbliższej okolicy Cyryna niema innego pagórka, któryby w tym stopniu co nasz „kurhan“ odpowiadał danym poematu.

A skoro na tym „kurhanie“, obok chorągwi Proroka, poeta ujrzał po raz pierwszy Marylę, więc naturalnym biegiem rzeczy nazwać go mógł później „Kurhankiem Maryli“, czyli uwzględniając objaśnienie samego autora, „Pagórkiem Maryli“. Ale kurhanek w balladzie, to nie tylko pagórek Maryli, lecz również i jej mogiła, przytem mogiła, położona w pobliżu jej miejsca zamieszkania. Mówi wszak „Dziewczyna“: „W całej wsi pytaj się, bracie, a cała wieś powie tobie: Maryla żyła w **tej** chacie, a teraz leży w **tym** grobie“.



„Tam u Niemnowej odnogi, tam u zielonej rozłogi, co to za piękny kurhanek, spodem uwieńczon, jak w wianek, w maliny, ciernie i głogi"... „Niemnowa odnoga", to niewątpliwie nie jakaś łacha Niemnowa, jak chcą niektórzy, lecz odgałęzienie, rzeka wpadająca do Niemna. W danym wypadku właśnie Serwecz: dopływ Niemna a zarazem jedyna większa rzeka w okolicach Tuhanowicz. „Zielona rozłoga", to znów niezmiernie rozległe błonia nadserweczańskie. Jedynym zaś widzialnym z powierzchni rzeki, bo stosunkowo niedaleko od jej koryta położonym, pagórkiem jest na tych błoniach nasz „kurhan". Dziś jest on niemal całkowicie ogołocony z zadrzewienia, na reprodukowanym zaś tu planie, a jeszcze wyraźniej na innym planie z r. 1845, zaznaczone są liczne krzewy, porastające podnóże pagórka od strony rzeki. Dla płynącego więc z wiciną był on rzeczywiście „spodem uwieńczon, jak w wianek"...

Wszystko więc zdaje się wskazywać na to, że istotnie mamy tu do czynienia z objektem uwiecznionym w omawianej balladzie.

Przedewszystkiem jednak z przytoczonych wyżej słów mieszkańców Cyryna wynika niezbicie, że to te miejscowe podania posłużyły Mickiewiczowi do napisania „To lubię". Wystarczy porównać owo całonocne jeżdżenie furmanek dookoła „kurhanu" ze słowami martwicy, która oświadczywszy, że „tu nad rzeczułką, w tym zielonym grobie złożone jego są kości", mówi dalej o swej pokucie: „I w cerkwi albo na Józia mogile, niebu i ziemi obrzydła, muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile, różne udając straszydła. Idących w błota zawiodę lub w gaje, jadącym konia uskubię"...

Widzimy więc, że ten zielony pagórek cyryński, to nie tylko „wał" zdobywany przez malców w części IV „Dziadów", lecz również i „Kurhanek Maryli", i „mogiła Józia" z „To lubię".

Jak wiadomo, ta ballada pisana była początkowo dla jakiejś bliżej nam nieznanej młodzieńczej sympatji Mickiewicza, Johasi. Nasuwa się tedy przypuszczenie, że ta poprzedniczka Maryli również mieszkała gdzieś tu blisko i że wspomnienia wspólnie z nią przeżytych chwil związane były dla poety właśnie z Cyrynem.

Udajemy się na „Kurhan". Stąd roztacza się również śliczny widok na spokojne i ciche błonia nadserweczańskie i na samo miasteczko, wyciągnięte długą linją na tle rozległej panoramy łagodnie falujących wzgórz, z ciemniejącemi tu i owdzie kępami gajów. Nastrój potęguje jeszcze świadomość, że na to wszystko patrzyły niegdyś oczy Mickiewicza i że tu najpewniej narodziły się tak uderzająco zgodne z topografją miejscową słowa: „Spojrzyj, Johasiu, gdzie się kończą gaje: w prawo łóz gęsty zarostek, w lewo się piękna dolina podaje, przodem rzeczułka i mostek".

Nie tylko jednak na trzech wymienionych utworach znać wpływ przeżyć cyryńskich. Poprzez 22 i 24 zwrotki „To lubię", dostrzec go można w „Romantyczności", po przez 5, 6 i 22 — w „Upiorze", zwrotki 17 — 21 łączą się wyraźnie z monologiem Zosi z części II „Dziadów", a w zwrotce 16 widzieć można jakby zarodek przyszłej koncepcji „godziny przestrogi" z części IV „Dziadów". Ze wspomnieniami tychże przeżyć skłonni jesteśmy pozatem łączyć „Dudarza", „Panicza i dziewczynę", sonet „Do Niemna", a może nawet i „Lilje". Zresztą prof. Kleiner, w cytowanej już monografji, również stwierdza istnienie nici wiążących „Dziady" z „Balladami i romansami".

Ustalenie tych związków pozwoliło nam pokusić się o wyjaśnienie innej jeszcze sprawy. W przedmowie do „Dziadów" mówi Mickiewicz, iż bywał naocznym świadkiem ich obchodu: „Cel tak poważny święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne, przemawiały niegdyś silnie do mojej imaginacji; słuchałem bajek, powieści i pieśni o nieboszczykach, powracających z prośbami lub przestrogami; a we wszystkich zmyśleniach poczwarnych można było dostrzec pewne dążenia moralne i pewne nauki gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane. Poema niniejsze przedstawi obrazy w podobnym duchu, śpiewy zaś obrzędowe, gusła i inkantacje są po większej części wiernie, a niekiedy dosłownie z gminnej poezji wzięte".

Niewiadomo było dotychczas, do jakiej to miejscowości i do jakich czasów odnosi się owo „niegdyś" poety. Oczywiście, na obrzędach tych mógł był bywać Mickiewicz jedynie za czasów nowogródzkich, z chwilą bowiem wyjazdu do Wilna, a później do Kowna, miesiące jesienne spędzał on zdala od swych stron rodzinnych. Ale gdzie mianowicie asystował on na tych obchodach, gdzie słuchał owych „bajek, powieści i pieśni"? W Nowogródku? W Zaosiu? Czy też może w Rucie?

Otóż na podstawie wszystkich powyższych danych, gotowi jesteśmy obecnie twierdzić, że działo się to nie gdzieindziej, lecz również tu, w Cyrynie, w cerkwi i na cmentarzu, które tak dobrze znamy już z cytowanych wyżej utworów. Część II „Dziadów" powstała niewątpliwie z tego samego źródła miejscowych wierzeń i podań, co ballady i romanse, osnute na opowieściach o „straszeniu" na mostku i na „kurhanie". A w widmie złego pana, mówiącego m. in. do zebranych: „Ja nieboszczyk pan wasz, dzieci! Wszak to moja była wioska. Dziś ledwo rok mija trzeci, jak mnie złożyliście w grobie...", wyraziła się najpewniej wiara w pokutę, wyznaczoną po śmierci właścicielowi Cyryna, wojewodzie Niesiołowskiemu, o którego nieludzkiem traktowaniu okolicznej ludności szeroko rozpisuje się Ignacy Jackowski w swej „Powieści z czasu mojego".

A skoro tak, to kto wie, czy księdzem, który przewodniczy początkowo w tej części poematu obrzędom, nie był ojciec owego „popowicza", stary ksiądz Horbacewicz. Stąd już krok tylko do przypuszczenia, że i Guślarz z części I poematu, a zarazem i cała ta część, związane są również z przeżyciami cyryńskiemi.

Wszak Aleksander Mickiewicz wyraźnie mówi o „częstem" bywaniu w Cyrynie i o „częstych" zabawach z Horbacewiczem, dodając przytem, że przyjeżdżano tu „na święta". Bardzo więc być może, iż byli oni tu kiedyś i w okresie Wszystkich Świętych i Zaduszek, świąt bliskich terminem obchodowi Dziadów.

Ileż różnych wspomnień musiało się łączyć dla poety z temi wszystkiemi miejscami, widnemi jak na dłoni ze szczytu „kurhanu"! Aż dziw bierze, że żaden szczegół nie przechował się w tradycji miejscowej, że nikt z badaczy nie zajął się tą sprawą wówczas, kiedy żyli jeszcze naoczni niemal świadkowie tamtych czasów, a zawierucha wojenna nie zatarła jeszcze była ostatnich wspomnień i pamiątek. Istotnie bowiem, gdyby nie przypadkowa notatka Kobylińskiego, nie dowiedzielibyśmy się zapewne nigdy o tak ważnym, „cyryńskim" okresie młodości Mickiewicza, rzucającym całkiem nowe światło na okoliczności i warunki, w jakich powstawała ówczesna jego twórczość.

Dziś okres ten wyłonił się już w głównych zarysach z mgły niepamięci. I dziś też dopiero, dzięki ujawnieniu tych faktów, zrozumiałe się stają w stosunku do przybywającego w te strony po stracie ukochanej poety, słowa „Upiora": „Umarły wraca na **młodości kraje**".

Tak tedy fakt autobiograficzności wspomnień Gustawa zdaje się nie ulegać kwestji. Wypada stwierdzić skolei, że i jego zabarwienie uczuciowe odpowiada ówczesnym nastrojom autora „Dziadów".

PÓŁ CZARNEJ
SMAKUJE NAJLEPIEJ
W ZIEMIAŃSKIEJ

PO UTRACIE MARYLI

Po wyjściu Maryli za mąż za Wawrzyńca Puttkamera w lutym 1821 r., Mickiewicz wpadł, jak wiadomo, w stan niezwykłej rozpaczy i przygnębienia, graniczący chwilami z myślą o samobójczej śmierci. Po raz pierwszy obojętnie oczekuje on zbliżających się wakacyj, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić i dokąd się udać. Wreszcie złożywszy dn. 12 lipca podanie o urlop roczny, jedzie, wbrew początkowym zarzekaniom, w swoje rodzinne strony. Po drodze zatrzymuje się na kilka dni w Solecznikach Wielkich, u swego starszego przyjaciela-opiekuna, ks. Pawła Hrynaszkiewicza, od którego dowiaduje się, że majątek Bolcieniki, gdzie mieszkają Puttkamerowie, znajduje się stamtąd „o milę tylko". „Chodząc na szpacjer, — doniesie o tem Janowi Czeczotowi w liście z końca lipca tegoż roku, — pytałem o każdą dróżkę, gdzie idzie, chcąc trafić na dróżkę do M. i w tę stronę choć popatrzyć! Ale wytrzymałem pokusę jechania. Jakoż ona tam nie była". Okazało się bowiem, że Maryla bawiła już wtedy w Nowogródzkiem, w Płużynach koło Świtezi, dokąd po jej zamążpójściu przeniosła się na mieszkanie stara marszałkowa Wereszczakowa.

Z Solecznik udał się Mickiewicz do Nowogródka, gdzie odwiedził m. in. opuszczony „dom nieboszczki matki" i skąd nie mogąc tu nigdzie zagrzać miejsca, ruszył wkrótce do Ruty, a przekonawszy się w ciągu jednego dnia, że i z tem miejscem nic go już nie wiąże, pojechał do Tuhanowicz, gdzie wówczas z rodziny Wereszczaków mieszkali tylko bracia Maryli, Michał i Józef.

W bramie tuhanowickiej rozminął się z karetą, w której siedziała Maryla. „Mijaliśmy się, — pisze do Czeczota, — mignęło coś w bieli. Nie śmiałem odezwać się; nie wiem zgoła, jak zajechałem. Dowiaduję się, żem się spotykał z M., o czem w duszy wiedziałem... Jest optymizm na świecie. Gdybym ją w tych miejscach widział, o tem strach pomyślić!".

„Tuhanowicze — czytamy tam dalej — mają zawsze wiele raju; Michał światy, oczytany i najzagorzalszy romantyk. Unosi się nad wiekami rycerskiemi, wyrywamy sobie z ust słowa, mówiemy o rzeczach ważnych, widujemy różne osoby. Zan czasem z przeszłego roku zarywa; po wieczerzy siostra moja Stypułkowska z Zanem śpiewa. Lada dzień mamy według projektu Michała (wyjechać): pojedziem w puszczę nad Świteź do małego folwareczku na dni kilka, będziem jeździć po lesie i dumać. Takiego człowieka trzeba kochać! Ale to w porównaniu do przeszłego roku jest jak nasz pusty dziedziniec — tak wiele ubyło! Muszę raz jeszcze widzieć i więcej nigdy nie będę w tych stronach. Iluż dowiedziałem się rzeczy! Przeznaczenie moje estetyczne już rozstrzygnione Zatrzymam tu rękę, bo dalej pisać nie wypada. Bądź zdrów, kochany Janie! Nie wiem, czy tu długo dosiedzę. Osoby najdobrańsze, najgodniejsze kochania i szacunku; ale muszę udawać równy humor. Pytają, zacom nudny. Boję się, żebym drugich nie nudził; to mię razi".

Wyjaśnijmy, że ów wyjazd do Płużyn miał na celu obecność na tradycyjnie rok rocznie obchodzonych w dn. 15 sierpnia imieninach Maryli. Wyjazd doszedł do skutku, i wówczas to Mickiewicz wpisał dn. 7 sierpnia do sztambucha ukochanej znany czterowiersz z bolesnem mottem z Dantego, dn. zaś 12 t. m., w drodze powrotnej znad jeziora, skomponował „Świteziankę". Co się tyczy zwrotu: „Iluż dowiedziałem się rzeczy!"; skłonni jesteśmy przyjąć za Tadeuszem Pinim, że chodziło tu o t. zw. „białe małżeństwo" Maryli.

O nastroju ówczesnym Mickiewicza mamy jeszcze relację w liście Tomasza Zana do Czeczota z dn. 25 lipca: „Adam od kilku dni w Tuhanowiczach, myślący, wzdychający, romantyczny, ale zdaje się być zimny, bo ja zimny, nie myślący, nie czujący, nie wzdychający".

Dalej, w drugiej połowie sierpnia, widzi się poeta w Nowogródku z Franciszkiem Malewskim. „Opowiadał mi — pisze ten do Józefa Jeżowskiego — swoje z Marją przygody; słuchałem z rozrzewnieniem i ze złością. To jest miłość prawdziwa, jaką pojmowałem sobie kiedykolwiek. Dusze dwie były dla siebie przeznaczone i od dzieciństwa kształciły się jedna dla drugiej. Pierwsze spotkanie się łączy obiedwie na zawsze, w obu roznieca płomień mocny, palący. Potąd działało przyrodzenie; odtąd ludzkie przywidzenia działają i szczęście, które gdzieś było zgotowane, idzie jak kamień na dnoł".

Wreszcie Czeczot, w liście do Onufrego Pietraszkiewicza z dn. 7 listopada, tak opisuje stan duchowy Mickiewicza po powrocie jego ze stron nowogródzkich do Wilna: „(Adam) przyjechał z Tuhanowicz, bezmała jak zwarjowany. Nic prawie nie robi, trudno z nim i nie można potrafić już nawet gadać; milczy, lulkę pali, chodzi wiele, zawsze zamyślony, a o niczem dobrem nie myśli, bo całą myśl opanowała Marja: słowem, zbrzydził świat i życie, ledwie że nas nie zbrzydził. Żyje na świecie imaginacji".

Wszystkie te relacje świadczą aż nadto wyraźnie, że w dobie, która znalazła swe odbicie w części IV „Dziadów", usposobienie Mickiewicza, jeśli chodzi o rodzaj i temperaturę uczuć, było bliźniaczo podobne do usposobienia Gustawa. Wynurzenia poety, czynione przed Malewskim, pozwalają twierdzić, że w razie odwiedzania przezeń ks. Horbacewicza, doszłoby niechybnie do podobnych wyznań. W tym stanie rzeczy analogje, jakie zachodzą pomiędzy relacją Malewskiego a odpowiedniemi ustępami „spowiedzi" Gustawa (na co zresztą zwrócono już dawniej uwagę), stają się całkowicie zrozumiałe.

Pozostaje jeszcze stwierdzić najważniejsze: że Mickiewicz w omawianym czasie istotnie był u ks. Horbacewicza w Cyrynie.

Najlepszym dowodem byłoby tu, oczywiście, bezpośrednie potwierdzenie tego faktu przez któregoś z nich. Ponieważ jednak w pismach Mickiewicza takiego stwierdzenia niema, ponieważ z odszukania jakichś listów czy pamiętników ks. Horbacewicza zmuszeni byliśmy zrezygnować, a ówczesne księgi cerkwi cyryńskiej uległy zniszczeniu, pozostała nam jedynie droga szukania dowodów pośrednich.

Wykazaliśmy na innem miejscu, że ballada „Świteź" zawdzięcza powstanie opisanej wyżej bytności poety w Płużynach i nad Świtezią. Treść jej łączy się tedy niewątpliwie z owym „projektem" Wereszczaki (ówczesnego „pana na Płużynach"), powziętym jeszcze w Tuhanowiczach, gdzie musiano widocznie debatować na temat tajemnic, ukrytych na dnie jeziora. Skoro zatem poeta stwierdza, że to on doradził nie zapominać o Bogu przy próbie zgłębienia tych tajemnic i że w związku z tą jego radą przybył nad jezioro „ksiądz z Cyryna", t. j. właśnie ks. Horbacewicz — mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że misji zaprosin tego księdza podjął się sam inicjator i że w czasie tych właśnie odwiedzin odbyły się między nimi rozmowy, które później dostarczyły Mickiewiczowi treści do nieśmiertelnego poematu.

Drugim dowodem pośrednim służyć może wzmianka w cytowanym już liście poety do Czeczota, informująca, iż widział się on w obchodzącym nas tu czasie z „ową Johasią, niegdyś dosyć lubioną, lubo pospolitą istotą", i że ze smutkiem stwierdził, że już nie dla niego myśleć o kobietach, a zwłaszcza „tak blisko Tuhanowicz". Te słowa zdają się świadczyć o trafności naszego przypuszczenia co do tego, iż owa Johasia mieszkała w Cyrynie lub w najbliższej jego okolicy, a co zatem idzie, pozwalają mniemać, iż fakt widzenia się z nią poety czyni wysoce prawdopodobną i ówczesną jego bytność w Cyrynie.

Oczywiście, nie są to argumenty całkowicie przekonywające. Dlatego też, dowiedziawszy się, że w Grodnie znajdują się duplikaty cerkiewnych ksiąg cyryńskich, pośpieszyliśmy sprawdzić, czy nie znajdą się tam czasem potrzebne dane. W szczęśliwym bowiem wypadku Mickiewicz, bawiąc w Cyrynie bądź też w Tuhanowiczach, mógł być przez kogoś zaproszony na kuma lub też na świadka przy ślubie, a w takim razie odpowiedni zapis w miejscowych księgach metrycznych byłby najlepszym dowodem jego tam bytności. Prawdopodobieństwo istnienia takiego zapisu było niemal żadne, niemniej należało wyczerpać wszelkie możliwości.

I oto rzeczywistość przeszła najśmielsze nasze oczekiwania. W księdze metryk chrzestnych znaleźliśmy zapis treści następującej: „Roku 1,821. M-ca Augusta 1. dnia ze wsi Tuhanowicz — Ja X: Jan Horbacewicz Paroch Cyryński Ochrzciłem y Bierzmowałem Urodzonego Franciszka z Rodziców Szlubnych Leona y Antoniny Sakowiczow — Kumami byli Jmć Pan Adam Mickiewicz Proffessor Szkół Kowieńskich y Wielm: Jmć Pani Marjanna Podkamerowa Hrabinia".

Niewiadomo było dotychczas, kiedy i w jakich okolicznościach kochankowie spotkali się po raz pierwszy po dramatycznem rozstaniu w sierpniu 1820 r. Od cytowanego wyżej rozminięcia się w bramie tuhanowickiej, aż po relację Czeczota z listopada 1821 r. o częstem ich widywaniu się w Wilnie, istniała dotkliwa, bo najciekawszego dla nas okresu dotycząca, luka, której nie postarano się dotychczas wypełnić choćby tylko stwierdzonym nie tak dawno przez nas faktem widzenia się Mickiewicza z ukochaną podczas sierpniowego pobytu w Płużynach. Teraz dopiero dowiadujemy się, że owo pierwsze spotkanie po rocznem niewidzeniu nastąpiło w Tuhanowiczach, dokąd Maryla, dowiedziawszy się najwidoczniej o przebywaniu tam Adama, przybyła w ostatnich dniach lipca.

Nawiasem mówiąc, ponieważ cała treść cytowanego tu listu poety do Czeczota wskazuje wyraźnie, że był on pisany przed tym jej przyjazdem, a więc i przed dn. 1 sierpnia, datę dzienną listu, ustaloną swego czasu przez prof. Jana Czubka na „około 10/22 sierpnia", a powtórzoną w t. I „Listów", w wydaniu sejmowem, należy obecnie cofnąć o jakieś dwa tygodnie.

Nie te szczegóły jednak stanowią o znaczeniu odnalezionego przez nas zapisu. Mickiewicz i Maryla, trzymający do chrztu niemowlę (coprawda nie własne, ale od czegoż imaginacja!) w tak pełnym znaczenia dla dziejów ich uczuć czasie, trzymający je przed księdzem u nickim, znanym poecie od dziecka, w cerkwi cyryńskiej, a więc w miejscowości pełnej dlań najmilszych i najdroższych wspomnień — jakiejż wspaniałej wymowy nabiera to wszystko na tle całego zgromadzonego przez nas materjału dowodowego! Niepodobna już dłużej wątpić o fakcie, że w zasadniczą osnowę najpotężniejszego naszego poematu miłosnego legły nie jakiekolwiek wpływy czy też mody i tradycje literackie, lecz rzeczywiste przeżycia i doznania osobiste poety. Niema też powodu kwestjonować twierdzenia, iż odwiedzinom Księdza przez Gustawa odpowiadać musiała w rzeczywistości bytność Mickiewicza u ks. Horbacewicza w Cyrynie na krótko przed owym przyjazdem tu w towarzystwie Maryli.

Łatwo możemy sobie wyobrazić, jakich uczuć musiał on był doznać podczas takich odwiedzin, będąc podobnie jak i Gustaw, „na miejscach najszczęśliwszych, w najsmutniejszym stanie!".

I jeszcze jedno. Krystyn Ostrowski, w objaśnieniach do swego francuskiego przekładu „Dziadów", przytacza z młodości Mickiewicza zdarzenie identyczne w ogólnych zarysach z owem nastraszeniem Horbacewicza na mostku cyryńskim i twierdzi że „zdarzenie to, napozór dziecinne, poddało poecie myśl prologu, a może i całego poematu". Słowa te, oparte niewątpliwie na jakichś wynurzeniach samego Mickiewicza, dowodzą, jeszcze raz ścisłego związku, jaki istniał pomiędzy koncepcją „Dziadów", a przeżyciami cyryńskiemi poety, i rzucają wymowne światło na całość poruszonego tu przez nas zagadnienia. Na nich też kończymy niniejsze nasze rozważania.

Oczywiście, interesujące byłoby jeszcze wiedzieć coś bliższego o tym „księdzu z Cyryna", który traktowany dotychczas jako wytwór fantazji poetyckiej, jako wyimaginowana „osoba działająca" poematu, staje naraz przed nami jako żywa i wysoce nieobojętna dla młodzieńczej twórczości Mickiewicza postać z ówczesnego jego otoczenia.

Ale ta sprawa zasługuje już na osobne omówienie.

Leonard Podhorski-Okołów.

W NAJBLIŻSZYM CZASIE UKAŻĄ SIĘ TRZY PIĘKNE KSIĄŻKI DLA DZIECI

JULJANA TUWIMA
SŁOŃ TRĄBALSKI
ILUSTRACJE JANINY JANKOWSKIEJ

ZOSIA SAMOSIA
ILUSTRACJE EDWARDA MANTEUFFLA

O PANU TRALALIŃSKIM
ILUSTRACJE STEFANJI THEMERSONOWEJ

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO • WARSZAWA






TORTURY
Chińskie
przeżywa ten kto nie posiada w domu instrukcji elektrycznego
SPRZEDAŻ RATALNA GRZEJNIKÓW W SALONIE ELEKTROWNI MIEJSKIEJ
marszałkowska 150

2R. 13.01
18.33 w K. 18.47 do Kalw.
~~20.12~~
20.12 w K.
20.20 do W.
20.58 w Wawr

Wszystkim P. T. Czytelnikom, którzy do dn. 15 b. m. nie odnowią prenumeraty za kwartał II b. r. dalsza wysyłka pisma zostanie bezwzględnie wstrzymana

STANISŁAW WASYLEWSKI

„SZATAN WARIACYI POLUJE"...

z korespondencji cioci Załuskiej

Jak nigdyindziej kusiła Riwjera w sezonie zimowym 1846 r. W kraju swąd już prawie nie do zniesienia. Grzmoty podziemne zwiastują wiosnę ludów, obiecują zwalić trony, zmienić mapę Europy, czerwoni hrabiowie ujeżdżają po prowincji, wzywając do krwawego porachunku już nie tylko z zaborcami, ale z wszystkimi coby się ważyli sprzeciwić ideałom równości społecznej, zniesienia własności i t. d. Siarka w powietrzu Warszawy dusi tem bardziej, że brak tu tych nawet klap bezpieczeństwa, które w Krakowie, Poznaniu czy na ziemi czerwieńskiej pozwalają się wyzwolić przynajmniej głośnemu frazesowi o czynie.

Nie dziw więc, że gen. Wincentemu Krasińskiemu nie śpieszy się z powrotem na Krakowskie Przedmieście. Tu w Nicei ma całą rodzinę przy sobie. Drapuje się na starca, choć liczy dopiero lat 63 (niektóre encyklopedje odmładzają go jeszcze o siedem lat). Postarzeć go mogły coprawda klęski w karjerze, związanej od upadku Napoleona z rządem rosyjskim, ale starcem z postawy psychicznej był w tem gronie raczej jedynak generała, Zygmunt, który zainstalował się w Nicei razem z obiema swemi paniami, z niedawno poślubioną żoną i z Delfiną Potocką. Z maskowaną wściekłością patrzy generał na tę trzecią, heroinę „Przedświtu". On wszakże sam wymyślił ją kiedyś, wyszukał i naraił, aby wyrwać syna z ramion pani Bobrowej. Ale nie przypuszczał, co z kuracyjnej „liaison" wyniknie.

Ojciec i syn przywykli oddawna meldować o wszystkiem co ich dotyczy, pani Amelji z Bronikowskich Załuskiej w Łaziskach pod Radomiem. Raz dlatego, że pani owa musiała pierwsza znać wszystkie nowiny w życiu towarzystwa polskiego, po wtóre: obu ich łączą z ciekawą damą węzły powinowactwa i duchowej zażyłości. Była domownicą i powiernicą tej gałęzi rodu Krasińskich.

Można powiedzieć: Marja Calergis w tańszem, kieszonkowem wydaniu. Bez jej czarodziejstwa, bystrości i lotności intelektualnej, ale rozpierana taką samą ciekawością i żądzą bycia wszędzie równocześnie. Napisała i odebrała więcej listów niż tuziny rówiennic, a przepisała cudzych listów drugie i trzecie tyle! Uratowała w ten sposób mimowiednie wiele cennych dokumentów z życia Balzaka, Liszta, pani Calergis i wielu innych. Mimo licznych bardzo znakomitych korespondentów, nie zwykła się poniżać do używania słowiańskiego idjomu w swych listach, konsekwentniejsza w tym względzie i kosmopolityczniejsza od samej Delfiny!

„I loved her as a child. I loved her as a youth, but she never did love me". Tym bolesnym parolem z poematu Mathurina („Melmoth") określił Zygmunt Krasiński w r. 1832 swą wieloletnią miłość dla uroczej, niewiele starszej cioci. Generał Krasiński nie byłby mógł tego powiedzieć o sobie, używał natomiast młodej, oddanej mu we wszystkiem kobiety do celów praktyczniejszych. Prowadziła mu gospodarstwo po śmierci żony, robiła honory pani domu na słynnych obiadach dla klasyków i romantyków w „salonie warszawskim", zastępowała matkę Zygmusiowi (o ile na to pozwoliła babka z domu Czacka). Za rękę prowadziła studenta na wykłady uniwersyteckie, własną piersią zastawiała go od zgubnych wpływów, jakie na umysł przyszłego poety „Irydjona" mogli wywrzeć koledzy w rodzaju Fryderyka Chopin (prononcez Szopę) lub Maurycego Mochnackiego. Udało się to lepiej, niż z własnym mężem Romanem Załuskim, który mimo starań poszedł — na krótko coprawda — w polskie dekabrysty czy jakieś inne masony.

„Jest w tej kobiecie wielki hart — duma bez granic — ale zarazem szlachetność" — napisze raz Siżyś do Delfiny o Amelce. Chwilami zdawało mu się, w czasie wieloletniej korespondencji, że nie ma przed nią żadnych tajemnic, jakoteż wyobrażał sobie, że nosi w sercu niezgaszony płomyk uczucia migocącego od studenckich „ero-fajkowych" czasów. To pewna, że starała się pośredniczyć między ojcem a synem, na czem najwięcej zarobiły poczty wszystkich krajów Europy, oraz że podawała ucha urojonym nieszczęściom kuzynka tem skwapliwiej że sama przecierpiała wiele nie tylko w urojeniu. Dwa listy, a raczej „bilety" Zygmunta Krasińskiego do Załuskiej — pierwszy z Bad Baden 1851 r., drugi z Paryża bez daty — zwierciedlą dobrze temperaturę ich przyjaźni. A oba są o pięć co najmniej lat późniejsze od listów papy, który ciekawsze tematy porusza. Nie trzeba mu wierzyć, że nie ma innych zmartwień ponad męczące seanse malarzowi, można zaś podpatrzeć generała z sympatyczniejszej, bardziej ludzkiej strony, gdy wśród pomarańczowych drzew tęskni do mazowieckiego piachu i szczerze kastyguje niepojętą dlań rzeczywistość. A można sobie doobrazić, o czem dyskutowali z „melancholijnym" synem i jakie ten syn „paradoksa utrzymywał".

Przeciw piekłu podnosił kord i bił szatanów czarny ród, gdy papa zatykając uszy, uciekał do cichej i ciepłej w morskiej wodzie kąpieli.

PISZE WINCENTY KRASIŃSKI:

I

6 Februarii 1846, Nicea.

Rok przybył do mej starości i o rok zbliżyłem się do końca życia i w głębi mej duszy szukałem czy duch mój czy u-

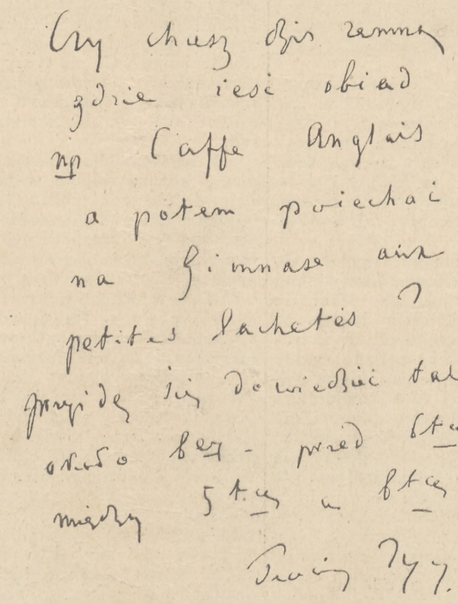


AMELJA ZAŁUSKA
w czasach listopadowych

czucie osłabły jak siły ciała? I przekonałem się, że jak kochałem tak kochałem, że prawo materji nic się nie zmieniło; z radością widzę, że ten Egoizm, co starości wyrzucają, jeszcze mnie nie zaatakował.

Dn. 30 stycznia syn mi dał portret żony, synowa wygodny axamitny szlafrok i gdy 12 seanse wytrzymała po półtory godziny i gdy tu jest jeden z dobrych malarzy olejnych z Londynu — maluję się, żebym także dał dowód cierpliwości, bo dawno żądali mego portretu, którego żadnego niema podobnego.

Synowa lepiej się ma, syn tylko czasami w melancholji, czasem wesół, paradoksa utrzymuje, ja z nim nie dyskutuję,



Twórca „Nie-boskiej" zaprasza swą ciocię na obiad w Paryżu

tylko proszę, by sam jak się położy, rozważył co powiedział. Delf(ina) słabuje zawsze razem z synową i mają minę, jakby się niezmiernie kochały...

Zbieram nasiona gdzie mogę i kolekcję kupiłem prosto z Indiów do trejbhauzu. Już mam blisko tysiąca to kwiatów, to stko, a człowiek nic nie robi. Oliwne drzewa rosną i pomarańcze jak chcą, prócz „pinus" prostego drzewa nikt nie zobaczy. Lud brzydki, brudny, ubogich tak że na ulicy trudno się przecisnąć, co krok to ręka lub kapelusz jest nastawionym — nie rachując dobrze ubranych, co po domach chodzą. Wszędzie tu ciepło, jednak co dzień z radością myślę, kiedy do Was przybędę i chciałbym na żniwa być w Opinogórze. Boże cię błogosław.

Krasiński.

II

20 lutego 1846, Nicea.

Twój list wielce mnie pocieszył i bar-



ZYGMUNT KRASIŃSKI
według medaljonu Norwida z r. 1860

dzom Ci wdzięczny za niego. Trochę znowu byłem słaby, ale mniej jak przeszłą razą. Ten piękny klimat, który przy zachodzie słońca się zmienia i w chłód mocny przechodzi a czasem znowu w nocy ciepło rozpościera, nerwy mi attakuje i apetyt odbiera.

Wczoraj była rocznica urodzin Syna. Dałem mu olejny mój portret, robiony przez pana Mayer, człowieka talentu, co z Anglii tu przybył... Synowa kontenta, zdrowa i Z(ygmunt) zdaje się codzień być więcej przywiązanym i ojcem, chociaż jeszcze ma ataki melancholji i nerwowe. Jeszcze po chmurach latamy ale już zaczynamy się na ziemię spuszczać.

Wymknąłem się grzecznie z towarzystwa lordów w które chcieli mnie lord Wattfort i Montegue wprowadzić, gdyż szukali mej znajomości, bo oba wojnę robili, gdym był w Hiszpanji, parę razy obiady odmówiłem i dano mi pokój.

Syn odebrał onegdaj twój list i winszuje ci, że ci w domu lepiej jak w mieście. Ja tu mam karnawał przed oknami, bo maski chodzą i na ulicy tańczą. Na teatrze nie byłem i nie będę... Wolę wieczorną kozetkę po obiedzie przy kominku i cygarze.

Najpiękniejszy mi teatr pójść nad Morze i admirować jego rozciągłość i okręta, co pod żaglami się przesuwają...

III

Dn. 4 marca 1846, Nicea.

Mój syn wczoraj mi powiadał, żeś mu doniosła o śmierci księcia Maksymiliana (Jabłonowskiego). Szczerze mi go żal, bo był poczciwym człowiekiem i sądzę mi przyjacielem, prócz tego był potrzebnym swej familji. Co dzień moi rówiennicy przechodzą do lepszego świata i dużo młodszych.

Moje towarzystwo warszawskie, com w domu przyjmował, zmniejszyło się o połowę, gdyż poczciwy Waleski, Staś Grabowski i książę teraz go opuścili z życiem. Co tylko czytam, wszystko mnie smuci. Jest fatallitas samobójstwa u nas. Trochę lepiej się mamy. Pani Delfi: tylko gorzej to (...nieczytelne) to bóle serca, to gorączki. Dawno już uważałem, qu'une femme du grand monde nie umie się starzyć i wędzi się i uśmierca.

Rossyni tu przybywał i gdzieś na drodze zwariował i nie wiedzą co się z nim stało. Pani Loewenstern z domu Obreskow, sławna przez swe życie rozpustne, przygotowała tu u siebie dla niego apartament i przed parą dniami padła do nóg gubernatorowi, prosząc i załamując ręce, żeby jeśli jest aresztowanym, oddał jej, jeżeli zaś gdzie we Francji, żeby go wyszukali.

...Syn mi mówił, że może do Warszawy pojedziesz. W pałacu wszystko na ciebie czeka... Aleksandryna (Radziwiłł) w Krakowie została w okropnym strachu, ale sądzę, że już przeszedł. Boże zmiłuj się nad krajem tym, gdyż zdaje się, że Szatan Wariacyi poluje po nim, tu zaś najspokojnej, cicho i ciepło, w morskiej wodzie ciepłej się kąpię.

Ja stąd dwa dni po Wielkanocy wyjadę do Turynu, a potem do Karlsbadu, gdzie może cię uściskam. Napisz mi czy się znalazł jaki konkurent do panny Ossolińskiej, czy prawda, że Taida idzie za kogoś... Księżnie Aleksandrynie także się kłaniaj, to biedna matka. Widzę, że mało ludzi się znajdzie, co z nadzieją umrą. Szczęśliwi ojcowie nasi! Jeszcze raz cię ściskam z całego serca.

Krasiński.

P. S. Staś Krasiński jak się ma i co robi jego żona, bo co on to sądzę i tak umrze, jak Giedroyć umarł bez przytomności umysłu. Kara boska jest na historyczne imiona.

PISZE ZYGMUNT KRASIŃSKI:

I

Moja droga Amelko!

Takim rozkruszon lekami temi przeklętemi, że ledwo widzę i piszę. Teraz nie mogę odpowiedzieć na to wszystko. Już wczoraj widziałaś, żeś mię w końcu przybiła tem jednem zdaniem: „Nieszczęśliwa byłam i jestem", na które nic do odpowiedzenia nie miałem. — Wszystkie kazania ono rozcina jakby przeznaczenia ostrzem.

Jednak później jeśli zechcesz wrócić do tej rozmowy, powiem Ci — nic innego — ale inaczej, w innych formach Ci rozprowadzę mój wczorajszy temat.

Myślę, że najlepszą radą na nieszczęście jest właśnie wydzieranie ducha o ile można, z sfer, w których dzieje się nasze nieszczęście — a oczewiście że temi sferami owe okręgi ziemskie i ludzkoludzkie — te, z których wysysa dusza zabawę — czasem zabawę, a codzień kwas, jad, gorycz, pogardę drugich, nienawiść ku wszystkiemu a ku niektórym zawiść. Ale o tem później. Kocham Cię. — Twój Zyg.

(Bad Baden 1851, ręką adresatki).

II

Czy chcesz dziś zemną gdzie jeść obiad np. Caffé Anglais a potem pojechać na Gimnase aux petites lachetés?

Przyjdę się dowiedzieć tak około 6-tej — przed 6-tą między 5-tą a 6-tą.

Twój Zyg.

Stanisław Wasylewski.

JULJAN TUWIM

WIERSZE DLA DZIECI*)

DYZIO MARZYCIEL

Położył się Dyzio na łące,
Przygląda się niebu błękitnemu
I marzy:
„Jaka szkoda, że te obłoczki płynące
Nie są z waniljowego kremu...
A te różowe —
Że to nie lody malinowe...
A te złociste, pierzaste —
Że to nie stosy ciastek...
I szkoda, że całe niebo
Nie jest z tortu czekoladowego...
Jaki piękny byłby wtedy świat!
Leżałbym sobie jak leżę
Na tej murawie świeżej,
Wyciągnąłbym tylko rękę
I jadł... i jadł... i jadł"...

O GRZESIU ŁAKOMCZUCHU I JEGO CIOCI

— Wrzuciłeś, Grzesiu, list do skrzynki,
jak prosiłam?
— List, proszę cioci? List? Wrzuciłem,
cociu miła!
— Nie kłamiesz, Grzesiu? Lepiej
przyznaj się, kochanie!
— Jak ciocię kocham, proszę cioci,
że nie kłamię!
— Oj Grzesiu, kłamiesz! Lepiej powiedz
po dobroci!
— Ja miałbym kłamać? Niemożliwe,
proszę cioci!
— Wuj Leon czeka na ten list, więc
daj mi słowo...
— No słowo daję! I pamiętam
szczegółowo:
List był do wuja Leona,
A skrzynka była czerwona,
A koperta... no taka... tego...
Nic takiego nadzwyczajnego,
A na kopercie — nazwisko
I Lwów... i ta ulica z numerem
I pamiętam wszystko:
Że znaczek był z Belwederem,
A jak wrzucałem do skrzynki,
To przechodził tatuś Halinki,
I jeden oficer też wrzucał,
Wysoki — wysoki,
Taki wysoki, że jak wrzucał, to kucał,
I jechała taksówka... i powóz...
I krowę prowadzili... i trąbił autobus,
I szły jakieś trzy dziewczynki,
Jak wrzucałem ten list do skrzynki...

Ciocia głową pokiwała,
Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia:
— Oj Grzesiu, Grzesiu!
Przecież ja ci wcale nie dałam
Żadnego listu do wrzucenia!...

ZOSIA — SAMOSIA

Jest taka jedna Zosia,
Nazwano ją Zosia-Samosia,
Bo wszystko: sama! sama! sama!
Ważna mi dama!
Wszystko sama lepiej wie,
Wszystko sama robić chce,
Dla niej szkoła, książka, mama,
Nic nie znaczą — wszystko sama!
Zjadła wszystkie rozumy,
Więc co jej po rozumie?
Uczyć się nie chce — bo poco,
Gdy sama wszystko umie?
A zapytać Zosi
— Ile jest dwa i dwa?
— Osiem!
— A kto był Kopernik?
— Król!
— A co nam Śląsk daje?
— Sól!
— Gdzie leży Kraków?
— Nad Wartą!
— A uczyć się warto?
— Nie warto!
Bo ja sama wszystko wiem
I śniadanie sama zjem
I samochód sama zrobię
I z wszystkiem poradzę sobie!
Ktoby się tam uczył, pytał,
Dowiadywał się i czytał,
Ktoby sobie głowę łamał,
Kiedy mogę sama, sama!

— Toś ty taka mądra dama?
A kto głupi jest?
— Ja sama!

SŁÓWKA I SŁUFKA

Dziś po dyktandzie w szkole
Wrócił Jerzyk do domu markotny.
Ziewał, ziewał — i zdrzemnął się
przy stole,
Bo i dzień był jakiś senny i słotny.
I przyszły do Jerzyka trzy słówka:
„Brzózka", „Jabłko" i „Główka"
I powiedziały:
— Jestem Brzózka, nie „bżuska".
— Jestem Jabłko, nie „japko".
— Jestem Główka, nie „głufka".
Jak można tak znieważać urodę naszą
i ród.
Trzeba się uczyć! Uważać! Napewno
opłaci się trud.
Nie pomogą tu żadne wykręty,
wymówki.
I rzuciły mu na stół swoje wizytówki,
Żeby wiedział z kim ma do czynienia
I wyzbył się takich zwyczajów
prostackich:

Jabłko z Jabłońskich
Brzózka z Brzozowskich
Główka z Głowackich

— A gdy i nadal będziesz sadził błąd,
po błędzie,
To zrobimy z Jerzego — Jeżego,
Złego jeża kolczastego,
I co? Przyjemnie ci będzie?

Wystąpiły na Jerzyka siódme poty!
Obudził się — i do roboty!

O PANU TRALALIŃSKIM

W Śpiewowicach, w pięknem mieście,
Na ulicy Wesolińskiej,
Mieszka sobie słynny śpiewak
Pan Tralisław Tralaliński

Jego żona — Tralalona,
Jego córka — Tralalurka,
Jego synek — Tralalinek,
Jego piesek — Tralalesek.
No a kotek? Jest i kotek,
Kotek zwie się Tralalotek,
Oprócz tego jest papużka,
Bardzo śmieszna Tralalużka.

Codzień rano po śniadaniu
Zbiera się to zacne grono,
By powtórzyć na cześć mistrza
Jego piosnkę ulubioną.
Gdy podniesie pan Tralisław
Swą pałeczkę-tralaleczkę,
Wszyscy milkną, a po chwili
Śpiewa cały chór piosneczkę:
„Trala trala
Tralalala,
Tralalala,
Trala trala" —
Tak to pana Tralisława
Jego świetny chór wychwala.
Wyśpiewują, tralalują,
A sam mistrz batutę ujął,
I sam w śpiewie się rozpala:
„Trala trala tralalalal".
I już z kuchni i z garażu
Słychać pieśń o gospodarzu,
Już śpiewają domownicy
I przechodnie na ulicy:
Jego szofer — Tralalofer
I kucharka — Tralalarka,
Pokojówka — Tralalówka
I gazeciarz — Tralaleciarz
I sklepikarz — Tralalikarz
I policjant — Tralalicjant
I adwokat — Tralalokat
I pan doktór — Tralaloktór.

Nawet mała myszka,
Szara Tralaliszka,
Choć się boi kotka,
Kotka — Tralalotka,
Siadła sobie w kątku,
W ciemnym tralalątku,
I też piszczy cieniuteńko:
„Trala — trala — tralaleńko"...

SPÓŹNIONY SŁOWIK

Płacze pani Słowikowa w gniazdku
na akacji,
Bo pan Słowik przed dziewiątą miał być
na kolacji,
Tak się godzin wyznaczonych pilnie
zawsze trzyma,
A tu już po jedenastej — i Słowika
niema!

Wszystko stygnie: zupa z muszek
na wieczornej rosie,
Sześć komarów nadziewanych
w konwaljowym sosie,
Motyl z rożna przyprawiony gęstym
cieniem z lasku,
A na deser — tort z wietrzyka
w księżycowym blasku.

Może mu się co zdarzyło? może go
napadli?
Szare piórka oskubali, srebrny głosik
skradli?
To przez zazdrość! To skowronek
z bandą skowroniątek!
Piórka — głupstwo, bo odrosną, ale
głos — majątek!

Nagle zjawia się pan Słowik,
poświstuje, skacze...
— Gdzieś ty latał? Gdzieś ty fruwał?
Przecież ja tu płaczę!
A pan Słowik słodko ćwierka:
— Wybacz, moje złoto!
Ale wieczór taki piękny, że szedłem
piechotą.

Juljan Tuwim.

*) Wiersze wybrane z trzech zbiorków, które ukażą się nakładem J. Przeworskiego.

F. HOESICK
WARSZAWA

25
NOWOŚCI WYDAWNICZYCH
WYŁĄCZNIE AUTORÓW POLSKICH

LECH NIEMOJEWSKI
SIEDEM CUDÓW ŚWIATA
1. W cieniu wielkości 2. Sztuka i technika 3. Banalność doskonała 4. Siedem cudów świata. 5. Wieczność i chwila. 6. Względność wielkości. 7. Trochę teorii. Resumé.
Bogato ilustrowane

WITOLD HULEWICZ
LUDWIK VAN BEETHOVEN
Posępne dzieciństwo. Na szeroki świat. Sukcesy i zawody. Sonata księżycowa. Testament. Napoleon. Jedyna opera. Wielka awantura. Piąta i szósta. Akademia muzyczna. Wśród przyjaciół. Dni wojny i t. d.
Bogato ilustrowane

ARKUSZ POETYCKI
Wydawnictwo seryjne
Każdy arkusz poświęcony twórczości jednego poety młodego pokolenia. Już się ukazało 12 arkuszy, m. in. **PRZYBOSIA, PIĘTAKA, CZECHOWICZA, SEBYŁY, CZUCHNOWSKIEGO i in.**
10 arkuszy zł. 4.– Prospekty na żądanie Cena arkusza 50 gr

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW
KOBIETY PISZĄ...
Szkice literackie zawierające rozważania nad twórczością 12 autorek polskich. Orzeszkowa. Wolska. Rogoszówna. Ostrowska. Iłłakowiczówna. Jasnorzewska. Nałkowska. Dąbrowska. Kossak. Szelburg-Zarembina. Naglerowa. Kuncewiczowa.

JAN RZEWNICKI
MOJE PRZYGODY W TATRACH
16 wycieczek w Tatry
Ilustrowane

LEOPOLD GOETZ
CHAOS
FILOZOFIA PRZYPADKU
str. 260 Cena zł. 9.–

KONRAD WRZOS
FRANCJA DZISIEJSZA
str. 210 Cena zł. 6.–

TADEUSZ CHROMECKI
AUTORATYWNE PAŃSTWO KORPORACYJNE MUSSOLINIEGO

HELENA POTULICKA
INDIE
KARTKI Z PODRÓŻY

AKRZYŃSKI J. Judaszowa zbrodnia.
Dramat, str. 120 cena zł. 5.–
CZECHOWICZ J. Trzy dramaty
CZERNIK ST. Delta półziemska
PIĘTAK ST. Obłoki wiosenne
PRZYBOŚ J. Nowe poezje
MALISZEWSKI A. Antygona. Dramat

10 NOWYCH POWIEŚCI
JERZY HULEWICZ. Drzazgi
JERZY STRZEMIĘ-JANOWSKI. Karmazyny i żuliki, ilustr.
EDWIN JĘDRKIEWICZ. Droga z Martynowic, str. 310 zł. 7.–
HALINA KAMIENIECKA. Odstępca
EDMUND KUDELSKI. Sosnowiec
LUDWIK MORSTIN. Kłos panny. Wydanie nowe.
STEFAN OTWINOWSKI. Marjonetki
STANISŁAW PIĘTAK. Młodość Jasia Kunefała, wyd. 2-e
JÓZEF TELL. Eksperyment
KAZIMIERZ TRUCHANOWSKI. Apteka pod słońcem
EMIL ZEGADŁOWICZ. Martwe morze

U OBCYCH

1 małe pudełko zamiast szeregu różnych środków



Automenth skoncentrowany suchy krem do zębów w proszku, bez mydła i alkaliów. Szczypta **Automenthu** wysypana na zwilżoną szczoteczkę wytwarza obfitą pianę, która czyści idealnie zęby, zapobiega powstawaniu kamienia nazębnego oraz nadaje zębom biel i zdrowie

Żądać bezpłatnych próbek.
GALANTERJA WIEDEŃSKA, Warszawa, Poznańska 38

SZKOŁA Z BLOOMSBURY

Zeszyt marcowy paryskiego miesięcznika „Le Mois" przynosi ciekawy przegląd najcharakterystyczniejszych tendencyj, nurtujących współczesną literaturę angielską, pióra Wladimira Weidlé. Najwięcej miejsca poświęcono tu „szkole z Bloomsbury" (nazwanej tak od jednej z dzielnic Londynu, uchodzącej za siedzibę intelektualistów), grupie pisarzy intelektualistów, zwalczających Anglję wiktorjańską i nawracających do ideałów XVIII w.:

„Poezję a nawet i prozę epoki Edwarda VII i początków epoki „georgjańskiej" charakteryzuje pewien neoromantyzm, który tryumfuje jeszcze, ale już po raz ostatni, w czasie wojny, w przerwanem przez śmierć dziele Ruperta Brooke. Naodwrót, pierwsze lata powojenne były świadkami rozkwitu całej szkoły literackiej, odznaczającej się swego rodzaju nawrotem do tradycji, do upodobań, a nawet pewnych dziwactw wieku XVIII, właśnie takiego, jaki był znienawidzony przez romantyków. Zmarły Lytton Strachey ze swą ironją, skierowaną równocześnie przeciwko nadętości i rozwichrzeniu, konwencjom wiktorjańskim i romantycznej burzliwości, jest być może, postacią, która najlepiej do tych lat przystaje. Zwalczał on wiek XIX przy pomocy broni zapożyczonej od wieku XVIII, i to z powodzeniem. Najmniej udana z jego książek jest ostatnia (jeśli nie liczyć tomów essayów) „Elisabeth and Essex" — wszedł on tu w epokę, wobec której broń jego okazała się nieskuteczna, przekształcił się w romantyka i przestał być samym sobą".

Inni wybitni przedstawiciele tejże szkoły, to Edith Sitwell i jej bracia, David Garnett, Richard Hughes, w krytyce — Leonard Woolf. Sceptycy, intelektualiści, wyśmiewają oni sentymentalną idealizację dziecka (Hughes) czy kobiety (Garnett). Do tejże szkoły należy także Virginia Woolf:

„Duch Bloomsbury wywarł wielki wielki wpływ na literaturę angielską w latach 1920 — 1930, ale w formę artystyczną przyoblekł się bezpośrednio w dziele jednej pisarki: Virginii Woolf. U innych szkodził on raczej dziełu, albo też objawiał się w marginaliach, obojętnych z punktu widzenia sztuki; u niej, dzięki jej wyjątkowemu talentowi, zdołał się ucieleśnić w tworach pełnych i żywych. „Mrs. Dalloway", „The Waves", „The Years" — oto decydujące etapy sztuki powieściopisarza, dla którego świat sprowadza się do mozaiki intelelektualnych refleksów i wrażeń, dla którego istnienie ludzkie rozkłada się na wielokolorowy pył oderwanych chwil. Ta wizja sproszkowanego świata i sproszkowanej duszy oddana jest w książkach p. Woolf z wyjątkowem wyrafinowaniem, przy pomocy techniki stylu i myśli, zdolnych uchwycić najlżejsze odcienie percepcji, — te szczególnie które ją wyróżniają i oddzielają od najbliższej percepcji, — zdolnych ująć tę atmosferę skomplikowaną i zdawałoby się, nieuchwytną, która sprawia iż każda chwila jest czemś jedynem, niepowtarzalnem w całej wieczności. Nic nie pozostaje, nie można niczemu zaufać, rozum jest suwerenny tylko dzięki temu iż wie, że nic nie wie, i powstrzymuje się od stwierdzenia czegokolwiek. Rzeczy, istoty, myśli są równie efemeryczne, nieuchwytne. Wszystko co istnieje, to tylko fluidy, fluorescencja, fluktuacja. Pozytywizm, postawa naukowa XIX w. zwraca się tu przeciwko samej sobie, nie rozpoznałaby się w świecie, wyrosłym przecie z danych, których ona dostarczyła wyobraźni".

W dalszym ciągu artykułu autor wskazuje jeszcze na więzy łączące Joyce'a ze „szkołą z Bloomsbury".

O D'ANNUNZIU

Paryski tygodnik „Das Neue Tagebuch" przynosi w zeszycie z dn. 12 marca b. r. artykuł Emila Ludwiga o d'Annunziu. Artykuł ten drażni pewnemi ryzykownemi zestawieniami („**Jak marnie wyglądają przy nim Rilke i George!**" — czyżby?), które wytłumaczyć można chyba tylko przesadą artykułów pośmiertnych, zasługuje jednak na przytoczenie zarówno ze względu na swoją rzetelność stosunku do wielkiego pisarza, nie zamąconego takiemi czy innemi antypatjami politycznemi, jak i na ciekawy materjał wspomnień osobistych. Sam Ludwig stawia się coprawda w tych wspomnieniach w dosyć osobliwem świetle (w czasie rozmowy spytał się m. in. d'Annunzia dlaczego pozwolił na to, że wodzem faszystowskich Włoch został Mussolini, a nie on. D'Annunzio miał odpowiedzieć: „Misterioso" — czytelnikowi polskiemu przypominają się słowa bajki Krasickiego: „Pytał głupi mądrego na co rozum zda się..."), ale to co przytacza jako wypowiedzi d'Annunzia jest naprawdę ciekawe.

„Nie! Trzeba się za nim opowiedzieć, nawet jeśli jest ojcem faszyzmu. Nie jesteśmy tu poto, aby powtarzać gesty berlińskich zelotów i odrzucać wielkiego poetę, kiedy nam nie odpowiada jego polityka. Tak ma się rzecz z Hamsunem, tak samo z d'Annunziem... „Wyczerpałem wszystkie możliwości" — pisał trzydziestoletni generał Bonaparte do brata. D'Annunzio mógł dawno to samo powiedzieć, on który był dramaturgiem swojego narodu, kochankiem najpiękniejszych kobiet, przyjacielem i wrogiem możnych swego kraju, lotnikiem w czasie wojny, bohaterem narodowym w czasie przewrotu, królem nowozałożonego państwa. Wszystkiego tego dokonał, stawiając na kartę swoje tak umiłowane życie. Jak nikt inny ze współczesnych, przekształcił swój genjusz poetycki w rzeczywistość. Czemże jest wobec tego stałe ostrożne życie Hauptmanna i tutti quanti! Kiedy mu jednak powiedziałem, że jest on pierwszy, któremu się to po lordzie Byronie powiodło, zaśmiał się swoim cichym, dźwięcznym śmiechem i odrzekł:

„Byron i ja? Po pierwsze, moje wiersze są lepsze. A po drugie, czegóż Byron dokonał? Chciał oswobodzić Greków, pojechał do nich, nabawił się kaszlu i umarł z przeziębienia".

Warto jeszcze zanotować:

„Gdy się w dziesięć lat później (w r. 1932 — przyp. red.) **pytałem d'Annunzia o jego czyny wojenne, siedemdziesięcioletni starzec skrzywił się i powiedział:**

„Fiume! Co z tego zostało? Zostało nędzne, małe, handlowe miasteczko!".

SAMOTNOŚĆ MAURRASA

Paryska „Nouvelle Revue Française" przynosi w zeszycie lutowym z b. r. świetny artykuł Jeana Grenier o Charles'u Maurras. Grenier przypomina tutaj, że doktryna „Action Française" potępiona została w r. 1926 przez kościół, że w r. 1937 wyparli się jej obaj pretendenci do korony: książę de Guise i hrabia Paryża. Wszystkie te protesty godziły nie tyle w zwolenników „Action Française" ile w Maurrasa:

„Uznano przez to ogromne znaczenie osobistości Maurrasa. I słusznie. „Action Française" zawdzięcza Maurrasowi dosłownie wszystko. Od czterdziestu lat ruch ten wywiera wielki wpływ intelektualny, bardziej jeszcze zagranicą niż we Francji. Co więcej: wielu ludzi stało się katolikami (nie powiem: chrześcijanami) za pośrednictwem poganina Maurrasa; a liczniejsi jeszcze, bez porównania liczniejsi, są ci, co stali się monarchistami (nie powiem: tradycjonalistami) za pośrednictwem nowatora Maurrasa. Ale chcemy, aby kochano nas dla nas samych. Ani papież, ani król nie mogą znieść, aby zawierano z nimi małżeństwa z rozsądku...

W rezultacie jesteśmy w tej chwili świadkami rozkładu doktryny, która wytrzymuje ataki z zewnątrz, ale która jest podminowana od wewnątrz. Być może, była ona zbyt ambitna, chcąc pogodzić zbyt różne elementy. Czy nie jest ryzykowne chcieć wywołać odrodzenie monarchji zapomocą idej nacjonalistycznych i oprzeć odrodzenie religijne na ideach pozytywistycznych. Maurras ryzykował tak przez trzecią część wieku, sprawił nawet że idee jego oblekły się w ciało. Nie zapominajmy, że zagranicą, jak to całkiem słusznie przypomina hrabia Paryża, „nauka „Action Française" przyniosła swe owoce". Salazar, Mussolini, między innymi, przyznają się do jego wpływu... W gruncie rzeczy wewnętrzna dwuznaczność, o której mówimy, wypływa ze sprzęgnięcia pewnego dogmatyzmu rozumu, właściwego Maurrasowi, z instytucjami (religijnemi i politycznemi), które są przedewszystkiem oparte na wierzeniach i tradycji... Osiągnął on mimo wszystko narówni ze sławą, na którą składa się tyleż nienawiści co podziwu, pewien rodzaj samotności. Jest on bardziej wygnańcem w Paryżu, niż był wygnańcem w Brukselli. Prawda, w jego oczach jest to raczej Elba niż Święta Helena, gdyż ten ateusz i myśliciel zaprzeczający postępowi należy do ludzi mających najwięcej wiary i nadziei...

Oto więc Maurras który oddala się coraz bardziej: odcięty od innych ludzi przez swoją głuchotę, odcięty od swych wodzów przez ich wyparcie się. Ale doktryna jego tak w jego oczach jak i w oczach jego ludzi jest dalej nietknięta: tracąc tylko możliwości zastosowania, jest ona w trakcie przekształcania się w dzieło sztuki".

Quidam.

Wystawa p. t. „Twórczość literacka Andrzeja Struga" w gmachu Bibljoteki Publicznej (Koszykowa 26) będzie dostępna jeszcze do dn. 13 kwietnia, a po przerwie świątecznej w dn. 24 — 30 kwietnia w g. 10 — 14 i 16 — 19.



Próbki wysyłamy bezpłatnie Scott & Bowne S. A. oddz. 6 Warszawa, Okopowa 21

„IN OLD CHICAGO"
FILM KTÓRY ZADZIWIŁ ŚWIAT

Pięć miesięcy temu D. F. Zanuck powiedział przedstawicielom prasy, którzy go zapytali o szczegóły nowego filmu „In Old Chicago": „Jestem człowiekiem pracy, nie mówcą. Nie lubię opowiadać o tem co dopiero ma być zrobione. O moim nowym filmie „In Old Chicago" powiem tylko jedno: wierzę, że obraz ten będzie niezwykłem wydarzeniem nie tylko w dotychczasowej produkcji „20th Century-Fox" lecz w historji kinematografji światowej wogóle.

*

Realizacji „In Old Chicago" towarzyszyło specjalne zainteresowanie prasy i publiczności. Opowiadano cuda zza kulis atelier „20th Century-Fox": o znakomitym zespole aktorskim, z Tyrone Powerem, Alice Faye, Don Amechem naczele tysiącznych tłumów statystów. O genjalnej realizacji Henry Kinga, jednego z najwybitniejszych realizatorów doby dzisiejszej. O wspaniałych, wznoszonych przez dwa miesiące, monumentalnych dekoracjach, w których odtworzono z idealną wprost wiernością Chicago. O pożarze, który sztucznie wzniecono w różnych partjach tych dekoracyj i który filmowano z krótkiemi przerwami przez okres czterech tygodni.

*

Po premjerach „In Old Chicago" w 60 miastach U. S. A. i Londynie, rozszalała się istna orgja zachwytów. „New York Times" pisze: „Pożar Rzymu za czasów Nerona był dziecinną zabawką w porównaniu z gigantycznym pożarem w filmie „In Old Chicago". „Variety": „Tyrone Power, który zmiejsca potrafił prześcignąć najgłośniejszych bohaterów, dzięki „In Old Chicago" znajduje się u szczytu swojej karjery. Ten film, to chyba najlepsze widowisko ekranu, o wiele prawdziwsze niż realizowane dotąd serjowo ckliwe i nudne dramaty filmowe".

Prezydent Roosevelt, który wraz rządem oglądał ten film na specjalnym pokazie w Białym Domu, uznał „In Old Chicago" za największy i najwspanialszy film kinematografji amerykańskiej.

*

Premjera w największym kinie dynie „Tivoli" była świętem artystycznem. Przybyli na nią przedstawiciele władz, dyplomacji i najwyższych sfer towarzyskich. Kino „Tivoli" wyświetla film od szeregu tygodni przy podwyższonych cenach, osiągając nienotowane rekordy kasowe.

D. F. Zanuck dotrzymał słowa.

*

Wytwórnia „20th Century-Fox" z radością i dumą donosi, że film p. t. „In Old Chicago" zostanie w dniach najbliższych sprowadzony do Warszawy.

KURSY PRZYGOTOWAWCZE
DO KORPUSU KADETÓW
przygotowują chłopców do egzaminów konkursowych w końcu czerwca do wszystkich klas w korpusie. — Lekcje odbywają się popołudniu. — Zapisy i informacje: Warszawa, ul. Hoża 13, lokal szkoły, od godz. 16 do 17.



ANNY ONDRA, znakomita aktorka, w przemiłej komedji p. t. „Szalona Claudette", wyświetlanej z wielkiem powodzeniem w kinie Studio (Nowy Świat 23/25 — Chmielna 7).

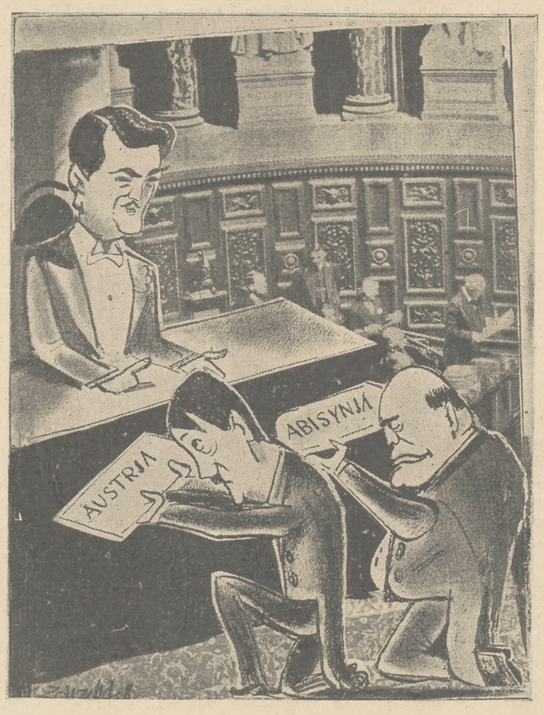
Maison Bachrach
Robes - Manteaux
Warszawa I, Alberta 1 *tel. 6-58-46*

RZECZY NIEPRAWDOPODOBNE

rys. JERZY ZARUBA



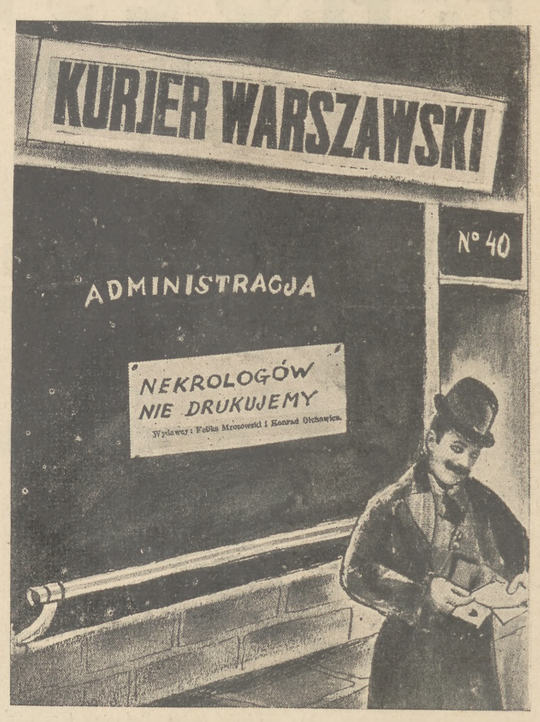
Rząd koalicyjny w Sowietach: Stalin, Tichon i Trockij



Uroczysty powrót Rzeszy i Włoch na łono Ligi Narodów

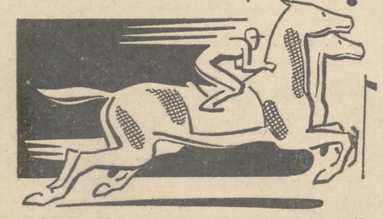


Cukiernia Ziemiańska opanowana przez sfery ziemiańskie



Zmiany w „Kurjerze Warszawskim"

KTO ZWYCIĘŻYŁ?



ODPOWIE NA TO PRECYZYJNE ZDJĘCIE MINIATUROWEJ KAMERY



Leica

ERNST LEITZ, WETZLAR
JEN. REPR. WARSZAWA, CHMIELNA 47a.

Kołysanka u kołyski

śpiewana w „Cyruliku Warszawskim", nad kołyską holenderskiej księżniczki

W dalekiej ziemi, w nieznanym kraju,
Wyrosło drzewo w majowym gaju.
Wśród młodych dębów i srebrnych brzóz
Szumiał — szumiał — szumiał a rósł
Jawor, jawor, jawor zielony,
Słońcem i rosą wyhołubiony.

A w tamtym kraju, w dalekiej ziemi,
Wieczór gwiazdami błyszczy złotemi,
A małe ptaszki, z drobnych swych gniazd,
Zbliska nucą do złotych gwiazd.
Szumi, śpiewa słodycz wieczoru —
Gwiazdy i ptaki w liściach jaworu.

Z tego jaworu, nieznani-mili
Ludzie kołyskę tobie rzeźbili
I z owej ziemi przywieźli tu,
By cię kołysała do snu —
Żeby było małej królewnie
Błogo, miękko, szumnie i śpiewnie.

A gdy w niej tylko mrużysz oczęta —
Już ci śpiewają tamte ptaszęta,
Już szumi liść i gwiazdki lśnią
Za jedwabną, zwiewną mgłą —
Słyszysz? śpiewa — szumi i szepce —
Lulaj, lulaj w ślicznej kolebce.

A gdy wyrośniesz pięknie i zdrowo,
Aby być naszą dobrą królową,
Niechaj nie przebrzmi w sercu twem,
Co w niem było najpierwszym snem:

Szumy leśne, piosenki ptaków
Śpiewność i rzewność ziemi Polaków.

I niech też z tobą zawsze zostanie
Ludzka życzliwość, ludzkie kochanie —
Jak ta kołyska z obcych stron,
Droższa dziś, niż złoty tron.
Lulaj, lulaj mała królewno —
Będziesz dobrą panią napewno,
Bo kołysał ciebie zielony
Jawor,
jawor
błogosławiony.

Marjan Hemar.

Trilysin

Przeciw wypadaniu włosów i tworzeniu się łupieżu

wyroby fabryki perfum Dralle używa cały świat

KURSY SAMOCHODOWE Reczko
NOWOGRODZKA 41. TEL. 7.16.34

GAZ — paliwo tanie, wygodne — stosowany jest w każdym gospodarstwie domowym
GOTUJEMY — PIECZEMY — PRASUJEMY I PRZYRZĄDZAMY NA GAZIE
tylko na gazie
POKAZY I INFORMACJE
w sklepie głównym i sali pokazów Gazowni Miejskiej
ul. Kredytowa 3, tel. 6-00-01

DOM MÓD Esquire
WARSZAWA
NOWY ŚWIAT 19
Tel. 680-04

NADSZEDŁ NOWY TRANSPORT
PŁASZCZY
Burberrys
MĘSKICH i DAMSKICH
ANGIELSKIE KRAWIECTWO MĘSKIE i DAMSKIE
Duży asortyment materjałów na palta, garnitury i kostjumy

CORONA
walizkowa maszyna z ruchomym segmentem to szczyt doskonałości!
DOGODNE SPŁATY.
Generalne Przedstawicielstwo na Polskę
TEOFIL GLOCER i SYN
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDM. 7
Tel. 5.02-91 i 2.36-69



Ukazał się nowy zeszyt

„SKAMANDRA"

ZA KWIECIEŃ — CZERWIEC 1938

W numerze: szkic **Franciszka Siedleckiego** „O swobodę wiersza polskiego", dwa akty sztuki **Witolda Gombrowicza** „Iwona, księżniczka Burgunda", poezje **Olgi Daukszty, Henryka Domińskiego, Eugenjusza Morskiego, Nory Odlanickiej, Bronisława Przyłuskiego, Adolfa Sowińskiego, Juljana Tuwima,** przekłady **Marji Jasnorzewskiej** z **Safony,** przegląd teatralny **Ireny Krzywickiej,** okładka **Edwarda Manteuffla**

Cena zeszytu **zł 2.50**

Dla prenumeratorów „Wiadomości Literackich" **zł 1.50**

CAMERA OBSCURA

O współpracę czytelników „Wiadomości Literackich" w „Camera obscura"

CO TYDZIEŃ ZŁ. 25.— NAGRODY

Zwracamy się do czytelników „Wiadomości Literackich" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura".** Prosimy o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materjałów, jak broszury, ulotki, czasopisma (w postaci całych numerów lub wycinków nie pozostawiających wątpliwości skąd pochodzą) z ustępami kwalifikującemi się do „Camera obscura" pod adresem: **Warszawa, Królewska 13,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne,** wystarczy surowy materjał. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materjału i zastrzega sobie prawo wyzyskiwania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości zł. 25.—,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

W ubiegłym tygodniu nagroda **zł. 25.—** została podzielona w sposób następujący: **zł. 10.—** otrzymał p. **Alfons Zieliński w Warszawie** (Akademicka 5) za wycinek z „Kroniki Nadbużańskiej", **zł. 10.—** p. **Halina Zielonkówna w Poznaniu** (Dąbrowskiego 23 m. 6) za wycinek z „Dziennika Poznańskiego" i **zł. 5.—** p. **Włodzimierz Pisterman w Łodzi** (6 Sierpnia 36/21) za wycinek z „Dziennika Ludowego".

A. D. 1938

Z pisma „Kronika Nadbużańska" (nr. 9), z artykuliku „Jak się rozmnażamy i giniemy":

Żydowskich małżeństw zarejestrowano oficjalnie 87 (ile było rytualnych?) przybyło 2.490 noworodków oficjalnie na tamten świat (o zgrozo!) przeniosło się niestety tylko 230 osób!

WYMAGANIA

Ogłoszenie z działu „Wolne posady" w „Dzienniku Poznańskim" (nr. 75):

Społecznik ideowiec do restauracji na sprzedaż butelkową. Zoll. Dachowa. Pieszchno.

TERATOLOGJA

„Dziennik Ludowy" (nr. 87) donosi z Łodzi, że

w klinice Hatarnita dr. Ebina przy ul. Głównej 50 urodził się niezwykły potworek dziecko o jednej głowie, natomiast posiadające dwie rączki i dwie nóżki.

Jak się dowiadujemy, potworek jest bardzo niezadowolony z tego stanu rzeczy, gdyż — powiada — „co ja z tem zrobię? szalona konkurencja!"...

OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE

„Nasz Przegląd" (nr. 77) donosi, że pewien zazdrosny kmiotek

chciał spalić żonę i sam zginął w płomieniach.

Sąd zlitował się nad biednym spalonym chłopkiem i

skazał go na 8 miesięcy więzienia, zawieszając wykonanie tej kary.

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE

Z działu „Czy wiecie, że..." („Express Wieczorny Ilustrowany" (nr. 70):

— w nowoczesnych grobach kopenhaskich lokatorzy posiadać będą obok garaży samochodowych również garaże na wózki dziecinne.

Nie, nie wiemy i nie chcemy wiedzieć!

WYBRAŁ I WYGRAŁ

Z „Głosu Porannego" (nr. 77):

W pewnej kolekturze gdyńskiej, pies wygrał 20 000 złotych. Właściciele psa, małżonkowie X., nie mogąc się zdecydować na wybór losu, powierzyli rozwiązanie tego pasjonującego zagadnienia swemu wilczurowi, który ku uciesze patrzących, wybrał los.

Na propozycje podzielenia się wygraną, sprytny piesek odpowiada groźnem warczeniem.

STYL

„Kurjer Warszawski" (nr. 68) o ministrze Ciano:

Ten sam, co z taktem i umiarem upojenia w walcu na parkietach Wiednia, tancerkę mocną ręką prowadził — ten sam wśród salw, spiekoty i pustynnego wichru na czele eskadr leciał. W boju o imperium rzymskie, dłoń, co ze spokojem kibić tancerki obejmowała, z takim samym spokojem ster aeroplanu dzierżyła.

Można było napisać inaczej, a wyszłoby lepiej. Qui va piano, va Ciano...

ACZKOLWIEK, TO JEDNAK...

Z artykułu „W sprawie pomnika dla H. Sienkiewicza" („Nowy Kurjer", nr. 58):

Trudno o lepszą „biblię polskości", aniżeli dzieła Henryka Mickiewicza.

Dodajmy od siebie, że mimo to Adam Sienkiewicz zasługuje na pomnik.

WER REITET SO SPAET?

„Nowy Dziennik" (nr. 81) w artykule „Szyller, szyby i szyldy":

wszystko to przypominało znaną balladę znakomitego poety „Erlkönig", gdzie król olch mówi do dziecka' „Und bist du nich willig, dann brauch ich Gewalt"... Ale rzecz w tem, co ma Szyller do szyb?

Nic, absolutnie nic. A jednak więcej, niż do wiersza „Erlkönig".

ROZRYWKA

Ulotka:

Najlepsza rozrywka dla starszych i młodzieży. Magiczne proszki strzelające do witania się. Palec średni zamaczać lekko w proszek brązowy, palec wielki zamaczać lekko w proszek biały, tak żeby proszki nabrane na palce nie były na kupie. Następnie przycisnąć dwa palce i potrzeć, przyczym nastąpi wystrzał rewolwerowy ku zdumieniu i przerażeniu drugiej osoby.

Elis Griebél
HAUTE - COUTURE
ul. Sienkiewicza 3/4, tel. 335-29
MODELE SUKIEN
PALT, KOSTJUMÓW

WYDAWNICTWO POLSKIE — POZNAŃ

CUDA POLSKI

Piękno przyrody — Pomniki pracy — Zabytki dziejów — Cykl monografij, poświęconych krajoznawstwu ziem i miast Rzeczypospolitej.

Wydanie luksusowe — ilustracje heliograwurowe — okładki wielobarwne.

Dotychczas wydano:

Tom I. *Smoleński J.*: MORZE i POMORZE, wyd. II
„ II. *Janowski A.*: WARSZAWA
„ III. *Smoleński J.*: WIELKOPOLSKA
„ IV. *Wasylewski St.*: LWÓW
„ V. *Morcinek G.*: ŚLĄSK
„ VI. *Ossendowski F. A.*: POLESIE
„ VII. *Remer J.*: WILNO
Tom VIII. *Malczewski R.*: TATRY i PODHALE
„ IX. *Ossendowski F. A.*: UŚZCZE POLSKIE
„ X. *Ossendowski F. A.*: HUCULSZCZYZNA
„ XI. *Kilarski J.*: GDAŃSK
„ XII. **Patkowski A.: Sandomierskie** (Góry Świętokrzyskie)

Cena tomu broszurowanego zł 16.—, w oprawie zł 20.— Każdy tom stanowi odrębną całość.

Czytajcie słynne monografie „Cuda Polski"

R. WEGNERA, ul. Słowackiego 8.

Należy wyciąć i wysłać w kopercie pod adresem:

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA w Poznaniu, Słowackiego 8

Niniejszym zamawiam i proszę o wysłanie w paczce pocztowej: **„CUDA POLSKI"**

1 komplet, 12 tomów

a) Cena za całość, 12 tomów w broszurze zł 172.80 (w ratach miesięcznych po zł 10.—)
b) Cena za całość, 12 tom. w opr. płóciennej zł 216.— (w ratach miesięczn. po zł 12.—)

TOM.....w broszurze zł 16.— TOM.....w opr. płóc. zł 20.—

Przy zakupie poszczególnych tomów, najniższe raty miesięczne zł 4.—

Należność zobowiązuję się spłacić w ..... ratach po zł..... miesięcznie w broszurze względnie po zł..... w oprawie. Pierwszą ratę..... za egz. brosz. wzgl. za egz. oraz koszty przesyłki proszę pobrać za zaliczeniem pocztowym. Dzieła aż do zupełnego wyrównania należności pozostają własnością Wydawnictwa Polskiego. O każdorazowej zmianie adresu nabywca zobowiązany jest zawiadomić Wydawnictwo Polskie.

Imię i nazwisko .....
podpis
Dokładny adres: .....
Zawód: .....
niepotrzebne skreślić

DRAGO

mieszanka benzyny, benzolu i spirytusu: To oszczędność łatwy rozruch czyste spalanie spokojna praca motoru

Stacje uliczne w Warszawie i na prowincji

„DRAGO"

S. A.

Warszawa, Żórawia 3, tel. 550-20

PRZEDSTAWICIELOM PRASY UDZIELAMY SPECJALNYCH RABATÓW

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

R. BRUNNGRABER

RADIUM

powieść o pierwiastku

Głośna nowość tłumaczona na wszystkie języki europejskie. Stron 330 (duży format) zł. 10.—, opr. zł. 13.—

M. SAINT HÈLIER
ZAMARŁY LAS
Powieść str. 320 Zł. 7.—

F. THIESS
DROGA DO IZABELI
Powieść. Str. 320 Zł. 7.—

BALICKI ST. **Ludzie na zakręcie.** Powieść. Str. 284 Zł. 5.—
KAWCZYŃSKI A. **Dannemora.** Powieść. Str. 240 „ 5.—
„ **Dziewczyna z Bilbao** Opowiadania. Str. 272 „ 5.—
KORCZAKOWSKA J. **Miłość Marty.** Powieść. Str 234 „ 5.—
ŁOPALEWSKI T. **Prawo przyjaźni.** Powieść. Str. 256 „ 5.—

Do nabycia w każdej księgarni
WYDAWNICTWO STEFANA DIPPLA W POZNANIU

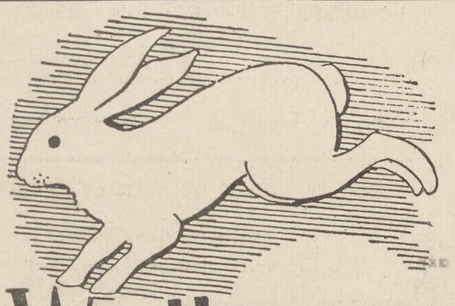
MODNE TKANINY

CWEJKO

WYTWORNE **Rękawiczki** damskie i męskie **Józef Rottel** i S-ka CENY FABRYCZNE Wierzbowa 11 (pl. Teatralny)

10 lat temu

Nr. 224 „Wiadomości Literackich" przynosi m. in. fragmenty z „Jeźdźca Miedzianego" Aleksandra Puszkina w przekładzie Juljana Tuwima i uwagi polemiczne K. W. Zawodzińskiego na temat stosunku Conrada do Polski.



Wielkanoc



Dulboksy dziecięce. Gwarantowane gumowe spody. Dla największych niszczycieli.



Lakierek dziecięcy. Bardzo wygodny. Spody skórzane.

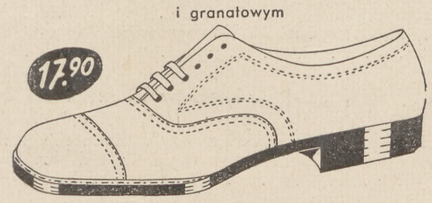
w NOWYM *obuwiu*



Dywetyna brązowe lub beige. Specjalna podeszwa. Obcas słupkowy.



Skórzane w kolorze beige, białym i granatowym



Dla eleganckiego Pana. Bardzo wygodny w kolorze brązowym i czarnym.

Bata

PUDRY KREMY RÓŻE



Z PODPIS. B. PA. UNIVERSITÉ DE BEAUTÉ C. SANDLER **RAVIS** PARIS—VARSOVIE

własne poradnie kosmetyczne w całym kraju

Uwaga: Żądać kuponów na bezpłatną poradę w każdej drogerji i perfumerji



Agfa

APARAT DLA WSZYSTKICH

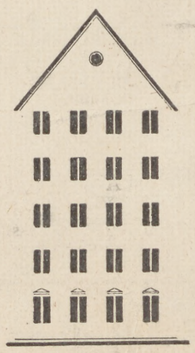
BILLY CLACK

ZŁ **40.—**
wraz z 2 rolkami
ISOCHROM
16 zdjęć formatu 4,5 × 6



Do nabycia w fotoskładach

Pfefferkorn



URZĄDZA

Wytworne Mieszkania

BYDGOSZCZ
WARSZAWA
KATOWICE



PODCZAS ŚWIĄT
butelka org. koniaku
HENNESSY
będzie mile widziana!

HENNESSY nazwa ta ustaliła renomę koniaku

Zajmująca lektura rozrywkowa

Linklater:
„Juan w Chinach"

Mulholland:
„Ideał dziewczęcia"

Russel:
„Teściowa wychodzi zamąż"

Zur Mühlen:
„Wspaniały pomysł Nory"

Najpiękniejszy upominek dla dzieci i młodzieży

Karin Michaelis:
„Dzieci z Nyhavn"

KSIĘGARNIA POPULARNA W WARSZAWIE

KUPON DO KONKURSU **„Muzeum Pana Grypsa"**

NOWE KSIĄŻKI

DĄBROWSKA MARIA, **Znaki życia** 5 opowiadań zł. 3,50 opr. 6.—
GOJAWICZYŃSKA POLA, **Słupy ogniste** powieść zł. 10.—
ZIELIŃSKI TADEUSZ, **Cesarstwo Rzymskie** IV i ostatni tom z cyklu **„Świat antyczny"** z ilustracjami zł. 20.— opr. 24.—
KORCZAK JANUSZ, **Uparty chłopiec** — życie Ludwika Pasteura zł. 2.50 w kart. 3.50
BĄK WOJCIECH, **Monologi anielskie** poezje zł. 2.80
SEBYŁA WŁADYSŁAW, **Obrazy myśli** poezje zł. 2.—
STERLING MIECZYSŁAW, **Rzeźba włoska** 103 fotografie zł. 8.—
Średniowiecze - Odrodzenie w opr. zł. 12.—

Wydawnictwo J. MORTKOWICZA

Księgarnia — Mazowiecka 12

Do nabycia we wszystkich księgarniach

OSTATNIE NOWOŚCI:



A. NEUMANN

Wielka epopea Francji Napoleona III

DRUGIE CESARSTWO

cena zł 15.–



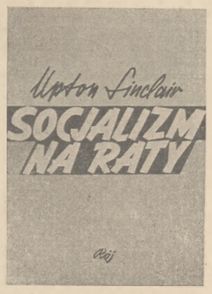
E. M. FORSTER

W SŁOŃCU INDYJ

cena zł 9.–

Powieść egzotyczna.

Z niespodziewaną plastyką odsłania autor nieznane a rewelacyjne aspekty odwiecznego konfliktu ras.



UPTON SINCLAIR

SOCJALIZM NA RATY

cena zł 12.–

Wspaniały wizerunek tragedii dziejowej dzisiejszej Ameryki.



Kpt. Fr. RINTELEN v. KLEIST

TAJEMNICZY INTRUZ

cena zł 6.–

Pamiętniki oficera niemieckiego pozwalają nam wejść w sam gąszcz zakulisowych wydarzeń wielkiej wojny.

JERZY OSTROWSKI

WIDŁY WISŁY i SANU

cena zł. 6.–

Ziemie między Sanem i Wisłą – to przyszły Centralny Okręg Przemysłowy.

tegoż autora

HISTORIE PRZEDHISTORYCZNE

cena zł 5.–

Zbiór pięknych opowiadań dla młodzieży.

Spis rzeczy: Mhum—Wielki Leń; Cocopoco; U-Brru i jego pasierb; Złośliwa Rusałka; Massa Bum; Fitumitu; Hipik i Hihik; Kamień „Ajaj" i dół „Ojoj"; Zębate kółko; Hucliposzli i 12 czarowników.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

III wyd.

C. O. P.

Ognisko siły – Centralny Okręg Przemysłowy

cena zł. 5.–

ZOFIA KOSSAK

LASKA JAKÓBOWA

cena zł. 5.–

Reportaż ze skautowego jamboree w Holandii

ZŁOTA WOLNOŚĆ

II wydanie – 2 tomy.

W KWIETNIU UKAŻĄ SIĘ:

MARCEL PROUST

IV część cyklu „W poszukiwaniu straconego czasu"

STRONA GUERMANTES

t. III i IV

cz. I. „SODOMA I GOMORA"

LAUREAT NAGRODY NOBLA r. 1937

ROGER MARTIN DU GARD

DZIEŃ PRZYJĘĆ DR. THIBAULT i SORELLINA

poprzednio ukazały się: „PIĘKNE CZASY"

cena zł .7.– w opr. zł 9.–

GEORGES DUHAMEL

z cyklu: „KRONIKA RODU PASQUIER"

WIDOK ZIEMI OBIECANEJ

poprzednio wydano: OGRÓD DZIKICH ZWIERZĄT

cena zł. 5.–

JULES ROMAINS

MIŁOŚĆ CHŁOPIĘCA

z cyklu:

„LUDZIE DOBREJ WOLI"

HELENA BOGUSZEWSKA

ANIELCIA i ŻYCIE

Powieść radiowa.

„ANATOMIA ŻYCIA SZCZĘŚLIWEJ URZĘDNICZKI"

JAN ST. BYSTROŃ

KSIĘGA IMION W POLSCE UŻYWANYCH

W ogólnym ujęciu przedstawia rozwój zwyczaju nadawania imion na ziemiach polskich.

WITOŁD BUNIKIEWICZ – Czarny karnawał

M. RUTH-BUCZKOWSKI – Zwyczajność i przeczucia

M. GEMBARZEWSKI – Wieża sprawiedliwości

A. RUDNICKI – Lato

E. ZIENKOWICZOWA – Tancerze

W. DOBACZEWSKA – Tam, gdzie się serca palą...

W. WASILEWSKA – Oblicze dnia (II wyd.)

C. MALAPARTE – Legenda Lenina

ANDRADE i J. HUXLEY – Prosta wiedza

KSIĄŻKI DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Na żądanie wysyłamy bezpłatnie katalogi i „Nowości Literackie"

WARSZAWA – KREDYTOWA 1. KONTO P. K. O. 9.880

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ" WARSZAWA

TOREBKI
RĘKAWICZKI

MINA FRIEDMANOWA
WARRZAWA, Czackiego 10
tel. 266-60

M. ARCT

POLECA

PIĘKNE DZIEŁA

St. O. Chrostowski

EXLIBRISY niewielką ilość pozostałych egzemplarzy bibliofilskiego wydania z 300 egz. numerowanych. 49 oryginalnych drzeworytów. Tekst Woźnickiego. Cena zł 90.–.

J. Czapski

JÓZEF PANKIEWICZ znakomita monografia i poglądy na sztukę wielkiego artysty. 160 reprodukcji, pięknie wydane zł. 18.– w płóc. opr. zł 24.–

St. Zadrożny

NA GDYŃSKIM SZLAKU monografia życia polskiego portu i marynarki handlowej. 32 plansze rotograw. i 27 fotogr. zł. 12.– w płóc. opr. zł 15.–

F. Burdecki

OPANOWANIE MATERII zdobycze polskiej nauki w dziedzinie chemii, fizyki, i t. p., o polskich wynalazkach. 32 plansze rotogr. i 30 fotogr. zł 12.– opr. zł 15.–

J. Ginsbert

DROGI ŻELAZNE RZPLITEJ zajmujący opis naszego kolejnictwa, rozwoju i pracy. (Ukaże się w kwietniu). 32 plansze rotogr., mapa, liczne rysunki i fotogr. zł 12.– w opr. zł 15.–

B. Olszewicz

OBRAZ POLSKI DZISIEJSZEJ fakty, cyfry, tabele, mapy, przedstawiające geografię, ludność, administrację i gospodarkę kraju. (Ukaże się w kwietniu).

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH PROSIMY ŻĄDAĆ KATALOGÓW i PROSPEKTÓW

NOWOŚCI WYDAWNICZE

H. G. Carlisle
KRZYK MATKI
str. 277, cena zł. 7.—

E. Czekalski
STARE SZTANDARY
str. 256, cena zł. 6.—
ARKA PRZYMIERZA
str. 256, cena zł. 6.—

W. Deeping
ŚLEPE SZCZĘŚCIE
str. 360, cena zł. 8.—

T. Dreiser
FINANSISTA
str. 358, cena zł. 9.—
PROCES
str. 380, cena zł. 9.—

F. B. Young
DALEKI LAS
str. 278, cena zł. 6.—
ŁAŃCUCHY
str. 258, cena zł. 6.—

M. Kennedy
W CIENIU WIELKOŚCI
str. 276, cena zł. 6.—
POJEDNANIE
str. 266, cena zł. 6.—

J. Kessel
NIEZNAJOMA Z SANS-SOUCI
str. 317, cena zł. 7.—

J. Knittel
VIA MALA
str. 311, cena zł. 7.—
MIŁOŚĆ SYLWII
str. 330, cena zł. 7.—
WIELKA GRA
str. 311, cena zł. 7.—

M. Lulofs
KULIS
str. 245, cena zł. 6.—

M. A. Nexö
PELLE ZWYCIĘZCA
str. 350, cena zł. 8.—
LATA NAUKI PELLEGO
str. 340, cena zł. 8.—

S. K. Smith
JOANNA GODDEN
str. 287, cena zł. 6.—
SIOSTRY GODDEN
str. 279, cena zł. 6.—

Dzieła historyczno-biograficzne:

F. Funck-Brentano
ODRODZENIE
str. 350, cena zł. 12.—

Wł. Fabry
MONIUSZKO
str. 350, cena zł. 12.—

V. Marcu
MACHIAVELLI
SZKOŁA WŁADZY
str. 280, cena zł. 10.—

D. Mereżkowski
JEZUS NIEZNANY
str. 384, cena zł. 12.—

D. Mereżkowski
JEZUS OBJAWIONY
str. 300, cena zł. 12.—

A. Neumann
KRYSTYNA KRÓLOWA SZWECJI
str. 310, cena zł. 12.—

R. Recouly
FRANCISZEK JÓZEF
ZMIERZCH CESARSTWA
str. 290, cena zł. 10.—

E. A. Rheinhardt
NAPOLEON I EUGENIA
str. 312, cena zł. 12.—

POWSZECHNA SPÓŁKA WYDAWNICZA

„PŁOMIEŃ"

WARSZAWA, UL. JASNA 22

tel. 2.32-50. P. K. O. 14.563

róża weissbaum

kapelusze

zgoda 9 m. 4

NASZA KSIĘGARNIA SP. AKC.

ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
WARSZAWA 1, UL. ŚWIĘTOKRZYSKA 18
Tel. 598-18, 598-07. Konto P.K.O. nr. 2058
EKSPEDYCJA HURTOWA UL. TRAUGUTTA 4, tel. 598-38
WILNO, ul. Wielka 42, tel. 20-31. Konto P. K. O. nr. 700.547

Poza bogatym działem wydawnictw własnych Nasza Księgarnia posiada stale na składzie bogaty zbiór książek popularno-naukowych i beletrystycznych wszystkich najpoważniejszych firm wydawniczych.

W szczególności poleca wydawnictwa własne:

Prof. S. Baley: Osobowość twórcza Żeromskiego	7.50
L. W. Biegeleisen: Wstęp do nauki ekonomii politycznej	18.00
J. Kornacka i H. Boguszewska: Polonez I Nous, Parisiens. Powieść.	7.00
— Polonez II Deutsches Heim. Powieść	10.00
Prof. S. J. Bystroń: Kultura ludowa	12.00
— Socjologia. Wstęp informacyjny i bibl.	6.50
Dr. L. Chmaj: Prądy i kierunki pedagogiki współczesnej	12.00
W. O. Döring: Główne kierunki nowoczesnej psychologii	3.00
E. Frankowski: Kalendarz obrzędowy ludu polskiego	3.00
S. Hessen: Szkoła i demokracja na przełomie	7.50
S. W. Jevons: Logika	8.60
R. Jouvenel: Republika koleżków	4.00
Z. Kwaśnicowa: Zbiór pląsów. I	15.00
S. Mierczyński: Pieśni Podhala: Na 2 i 3 głosy równe	4.00
Pamiętnik świętokrzyski r. 1930	12.00
Pamiętnik świętokrzyski r. 1930, lepszy papier	20.00
S. Rudniański: Technologia pracy umysłowej	3.60
M. Skierczyński i A. Mazurkowa: Gry sportowe	5.00
Dr. M. Sokołowski: Nasz las	2.20
S. Szober: Na straży języka	4.50
B. Wieczorkiewicz, H. Szletyński, J. Kochanowicz: Zarys nauki żywego słowa	4.80

Ponadto poleca bogaty dział wydawnictw własnych dla dzieci i młodzieży.

Komplet książek z cyklu „Ze Świata Przyrody", biblioteka przyrodnicza pod redakcją **Z. Bohuszewiczówny** od nr. 1 do nr. 10 cena kompletu 20.00

Komplet książek z cyklu „Opowieści Przyrodnicze", biblioteka przyrodnicza pod redakcją **Z. Bohuszewiczówny** od nr. 1 do nr. 15 cena kompletu 15.00

Książeczki przyrodnicze, opracowane przez pierwszorzędnych znawców poszczególnych zagadnień, wydane w ładnej szacie zewnętrznej, stanowią doskonałą pomoc w pracy szkolnej i miłą lekturę domową.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą zł. 12.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerokości 1 szpalty, 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Kolumna ma 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 10, tel. 2-42-82, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 16 — 18. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, w godz. 9 — 19. Konto w P. K. O. 8.515.

Drukarnia Galewski i Dau, Warszawa, Ordynacka 6

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI